

Pollyanna dorasta



ELEANOR H. PORTER

Pollyanna dorasta

TLUM. JANINA ZAWISZA-KRASUCKA

ROZDZIAŁ I. DELLA MÓWI TO, CO MYŚLI

Della Wetherby wbiegła po eleganckich schodach prowadzących do mieszkania jej siostry na Commonwealth Avenue i energicznym ruchem przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka. Od czubka szerokoskrzydłego kapelusza aż do obcasów skromnych pantofli emanowało z niej zdrowie, lotność umysłu i stanowczość decyzji. Nawet w głosie, gdy witała pokojówkę otwierającą jej drzwi, wibrowała szczerą radość życia.

— Dzień dobry, Mary. Czy jest moja siostra?

— O... owszem, *madame*, pani Carew jest w domu — zawahała się dziewczyna — ale dała mi polecenie, że nie ma ochoty widzieć nikogo.

— Istotnie? Ponieważ ja nie jestem „ktoś”, więc mnie chyba zechce zobaczyć — uśmiechnęła się panna Wetherby. — Nie bój się, już na siebie wezmę całą winę — skinęła głową, odpowiadając na przerażone spojrzenie dziewczyny. — Gdzie jest pani, w salonie?

— Tak, *madame*, ale zaznaczyła... — Panna Wetherby jednak była już na półpiętrze i pokojówka ze zrozpaczoną miną, rada nie rada musiała się cofnąć.

Znalazłszy się w hallu na górze, Della Wetherby bez chwili wahania skierowała się w stronę półotwartych drzwi i zapukała.

— Możesz wejść, Mary — usłyszała w odpowiedzi bezradny głos. — Czyż ci nie mówiłam... Ach, Della! — głos nagle zmienił swoje brzmienie, stał się cieplejszy, pełen uczucia i radości. — Ach, ty, kochana, skąd się tutaj wzięłaś?

— Tak, to ja — uśmiechnęła się młoda kobieta, idąc szybko przez pokój. — Wracam z niedzielnej wycieczki na wybrzeże, gdzie byłam z dwiema sanitariuszkami i wstąpiłam tu w drodze powrotnej do lecznicy. Nie mogę siedzieć zbyt długo. Przyszłam tylko po to — dorzuciła, darząc właścicielkę „bezradnego” głosu serdecznym pocałunkiem.

Pani Carew zachmurzyła się i cofnęła z odrobiną chłodu. Błysk radości i serdeczności zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca obojętnemu zniechęceniu, które zasadniczo było stałym gościem w tym domu.

— Ach, oczywiście! Powinnam się była domyśleć — mruknęła. — Ty nigdy tutaj dłużej nie możesz pozostać.

— Tutaj? — Della Wetherby zaśmiała się wesoło, rozkładając w komicznym ruchu ręce. Po chwili nagle głos jej i zachowanie uległy zmianie. Spojrzała na siostrę pełnymi smutku i serdeczności oczami. — Rutko droga, nie mogłabym mieszkać w tym domu. Wiesz, że to byłoby ponad moje siły — dodała łagodnie.

Pani Carew obruszyła się zirytowana.

— Właściwie nie wiem dlaczego — wyszeptała. Della Wetherby potrząsnęła głową.

— Owszem, wiesz, kochanie. Wiesz doskonale, że nie żywię sympatii dla tego wszystkiego: dla tej ponurej atmosfery, dla braku celu, dla ustawicznego nurzania się w niezadowolaniu i goryczy.

— Cóż zrobić, kiedy dusza moja jest przepelniona goryczą.

— Ale tak być nie powinno.

— Dlaczego nie? Jak mam temu zaradzić?

Della Wetherby uczyniła ruch zniecierpliwienia.

— Posłuchaj, Rutko — odezwała się. — Masz zaledwie trzydzieści trzy lata. Jesteś zdrowa, a właściwie byłabyś, gdybyś inaczej w stosunku do siebie samej postępowała:

możesz rozporządzać swobodnie czasem i pieniędzmi. Z pewnością każdy, kto by znał twoje warunki, musiałby orzec, że mogłabyś znaleźć sobie coś podczas takiego pięknego ranka, zamiast siedzieć skrzywiona w tym ponurym domu i nakazywać służącej, żeby nikogo do ciebie nie wpuszczała.

— Ależ ja nie chcę nikogo widzieć.

— Będąc na twoim miejscu, zmusiłabym się do tego, aby właśnie chcieć kogoś zobaczyć.

Pani Carew westchnęła głęboko i odwróciła głowę.

— Ach, Dello, dlaczego ty tego nie możesz zrozumieć? Nie jestem podobna do ciebie. Nie mogę zapomnieć.

Skurcz bólu przemknął po twarzy młodszej kobiety.

— Masz na myśli Jamiego, przypuszczam. Ja także nie zapomniałam, kochanie. Naturalnie, nie mogłabym. Ale przygnębienie nie dopomoże nam do odnalezienia naszego chłopca.

— Tak mówisz, jakbym przez długie osiem lat nie czyniła wszelkich starań, aby go odnaleźć, jakbym nic nie robiła, tylko rozkoszowała się moim przygnębieniem — wybuchnęła pani Carew ze łzami w głosie.

— Oczywiście, żeś robiła wszystko, kochanie — uspokoiła ją pośpiesznie Della. — I powinnyśmy nadal obydwie szukać, dopóki go nie znajdziemy, chyba żebyśmy wprawdzie umrzeć miały. Ale tego rodzaju zachowanie, jak twoje, pomóc w tym wypadku nie może.

— Przecież ja niczego innego nie pragnę, tylko go odnaleźć — wyszeptała w rozpaczy Ruta Carew.

Przez chwilę panowało milczenie. Della siedziała, patrząc na siostrę zmartwioną i z niezadowolaniem.

— Rutko — rzekła wreszcie z brzmieniem czułości w głosie — wybacz mi, ale muszę cię zapytać, czy zawsze masz zamiar w ten sposób postępować? Jesteś wprawdzie wdową, lecz małżeństwo twoje trwało zaledwie rok i mąż twój był o wiele starszy od ciebie. Byłaś wówczas prawie dzieckiem, więc ten krótki rok mógł ci się wydać tylko snem. Przecież to niemożliwe, żeby takie wspomnienie ocieniało chmurą twoje całe życie!

— Nie, ach, nie — wyszeptała jeszcze ciągle zrozpaczona pani Carew.

— Więc czy zawsze masz zamiar pędzić takie życie?

— Oczywiście, gdybym znalazła Jamiego...

— Tak, tak, wiem. Ale Rutko, czyż na świecie już nikt nie istnieje oprócz Jamiego, kto by ci mógł dać trochę szczęścia?

— Przynajmniej ja nikogo takiego nie widzę — westchnęła pani Carew obojętnie.

— Rutko! — zawołała młodsza siostra, wpadając w gniew. Po chwili jednak zaśmiała się. — Ach, Rutko, Rutko, dałabym ci chętnie dawkę Pollyanny. Mam wrażenie, że nikomu bardziej niż tobie nie jest ona potrzebna!

Pani Carew wyprostowała się z godnością.

— Nie wiem, co to jest pollyanna, lecz cokolwiek by to nie było, nie mam na to ochoty — odparła ostro, odwracając się do siostry. — Przecież tu nie jest ta twoja ukochana lecznica, a ja nie jestem twoją pacjentką, żebyś mnie zamęczała swoimi dawkami, bądź łaskawa o tym pamiętać.

W oczach Delli Wetherby zabłyśły figlarne ogniki, na ustach jej jednak nie było ani śladu uśmiechu.

— Pollyanna to nie lekarstwo, moja droga — odpowiedziała poważnie — chociaż już słyszałam, jak niektórzy ludzie nazywali ją balsamem. Pollyanna jest małą dziewczynką.

— Dzieckiem? A skądże ja mogłam wiedzieć — odpowiedziała pani Carew, jeszcze ciągle zniechęcona. — Macie przecież tam jakieś swoje „belladonny”¹, więc dlaczego nie miałyby być jakaś „pollyanna”? Zresztą ty zawsze zalecasz mi coś do przyjmowania i zawsze nazywasz to „dawką”, a dawka oznacza w każdym razie wszelkiego rodzaju lekarstwa.

¹belladonna (łac. *Atropa belladonna*) — gatunek wieloletniej rośliny z rodziny psiankowatych, inaczej: *po-krzyk wilcza jagoda*; z ziela belladonny od starożytności produkowano leki zmniejszające napięcie mięśni, działające hamująco na układ nerwowy, zmniejszające wydzielanie wszystkich gruczołów, stosowane w w okulistyce podczas badania oka (atropina), a także w leczeniu kaszlu, kolki nerkowej i żółciowej, astmy i schorzeń żołądkowo-jelitowych. [przypis edytorski]

— Właściwie Pollyanna jest pewnego rodzaju lekarstwem — uśmiechnęła się Della. — W każdym razie wszyscy lekarze w lecznicy twierdzą, że jest ona najlepszym lekarstwem, jakie możemy choremu zaaplikować. Jest to mała dziewczynka, Rutko, ma dwanaście czy trzynaście lat. Była u nas w lecznicy przez całe zeszłe lato i część zimy. Ja osobiście znałam ją zaledwie miesiąc czy dwa, bo wkrótce po moim przybyciu wyjechała. Ale ten czas najzupełniej wystarczył, żebym poddała się całkowicie jej urokowi. Cała lecznica jeszcze teraz wciąż mówi o Pollyannie i najchętniej zabawia się w jej grę.

— Grę?

— Tak — skinęła głową Della z tajemniczym uśmiechem. — W jej „grę w zadowolenie”. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy po raz pierwszy z tą grą się zaznajomiłam. Jeden z zabiegów w jej terapii był przykry, a nawet bolesny. Opatrunki zmieniało się jej w każdy wtorek rano, a ja wkrótce po przybyciu zaczęłam ją pielęgnować. Było to dla mnie straszne, gdyż z doświadczenia z innymi dziećmi, wiedziałam, czego się mogę spodziewać. Dzieci na ogół są rozgrymaszone i płacliwe, jeżeli nie posiadają jakiejś gorszej cechy charakteru. Ku wielkiemu memu zdziwieniu jednak Pollyanna powitała mnie uśmiechem, mówiąc, że jest zadowolona z tego, że mnie widzi. Nie skrzywiła się nawet, gdy jej robiłam zabieg, choć ja sama zdawałam sobie dokładnie sprawę z tego, że sprawiam jej ogromny ból. Widocznie powiedziałam coś takiego, czym wyraziłam swoje zdziwienie, bowiem Pollyanna wytłumaczyła mi całkiem poważnie: „Ach, tak, kiedyś też tak się czułam i bałam się różnych rzeczy, dopóki nie pomyślałam sobie, że to jest tak jak z wielkim praniem, które Nancy urządziła we wtorki. Odtąd zawsze odczuwam największe zadowolenie we wtorki, bo przecież w tym samym tygodniu drugiego wtorku już nie będzie”.

— Naprawdę oryginalne! — zmarszczyła brwi pani Carew, myśląc o czymś innym. — Ale w tym wszystkim nie widzę jeszcze żadnej „gry”.

— Ja też przez dłuższy czas tego nie rozumiałam. Później dopiero uświadomiła mnie sama Pollyanna. Okazało się, że była córką biednego pastora z zachodu kraju, któremu żona wcześniej umarła, więc dziewczynka wychowywała się dzięki paniom z Towarzystwa Dobroczynnego i misyjnym paczkom. Gdy była jeszcze zupełnie mała, pragnęła mieć lalkę i wierzyła, że dostanie ją w którejś z kolejnych paczek. Niestety w paczce zamiast lalki znalazła parę małych kul dla kalekiego dziecka. Biedactwo zaczęło płakać i właśnie wówczas ojciec nauczył ją „gry w zadowolenie”, która polega na tym, że należy się doszukiwać się powodu do radości we wszystkim, co się nam przydarza. Pastor zapoczątkował tę grę, mówiąc dziewczynce, że jest zadowolony, że właśnie ona takich kul *nie potrzebuje*. To był początek. Pollyannie gra ta ogromnie się podobała i obiecała ojcu, że od tej chwili grać w nią będzie stale. Im trudniej było znaleźć w czymś powód do zadowolenia, tym więcej było zabaw w szukaniu go, z wyjątkiem sytuacji, gdy okazywało się to zbyt trudne.

— Naprawdę oryginalne! — wyszeptwała pani Carew, jeszcze ciągle myśląc o czymś innym.

— Na pewno byłabyś zachwycona, gdybyś mogła widzieć rezultaty tej gry w lecznicy — skinęła głową Della. — Doktor Ames opowiadał, że Pollyanna wywarła wpływ na całe miasteczko, z którego pochodzi. Doktor zna doskonale doktora Chiltona, który ożenił się z ciotką Pollyanny. Podobno nawet zawarcie tego małżeństwa nastąpiło też dzięki dziewczynce. Potrafiła załagodzić dawne niechęci, jakie istniały między jej ciotką i doktorem Chiltonem. Nie wiesz pewno o tym, że jakieś dwa lata temu zmarł ojciec Pollyanny, a wtedy dziewczynka wysłana została na wschód do swej ciotki. W październiku uległa katastrofie samochodowej. Lekarze orzekli wówczas, że nigdy już nie będzie mogła chodzić. W kwietniu doktor Chilton przysłał ją do lecznicy, gdzie przebywała do marca tego roku, czyli prawie rok. Wróciła do domu zasadniczo zupełnie wyleczona. Chciałabym, żebyś zobaczyła to dziecko! Radość jej życia zaciemniała tylko jedna chmura, że już nigdy nie będzie mogła chodzić. Później dowiedziałam się, że gdy wracała do miasteczka, wszyscy mieszkańcy witali ją tak uroczyście, że aż wyszli na jej spotkanie z orkiestrą. Ale trudno jest opowiadać o Pollyannie, trzeba ją koniecznie zobaczyć. I właśnie dlatego powiadam, że chciałabym zaaplikować ci „dawkę” Pollyanny. Jestem pewna, że wówczas patrzyłabyś jaśniej na świat.

Pani Carew podniosła w górę głowę.

— Muszę powiedzieć szczerze, że bardzo ci się dziwię — rzekła chłodno. — Nie mam ochoty pozostawać pod niczym urokiem, jak również nie żywię do nikogo żadnej niechęci, którą ktoś musiałby łagodzić. Jeżeli istnieje coś, co jest dla mnie nie do zniesienia, to przyznaję, że tym czymś byłaby właśnie ta mała Panna Pocięszycielska, która by mi na każdym kroku dała odczuć, że powinnam być każdemu za coś wdzięczna. Ach, nigdy bym tego nie zniosła... — lecz w tej chwili przerwał jej wesoły śmiech siostry.

— Ach, Rutko, Rutko — zawołała Della. — Panna Pocięszycielska to istotnie Pollyanna! Ach, żebyś mogła tylko zobaczyć to dziecko. Zaznaczyłam, że o Pollyannie nikt nie potrafi opowiedzieć. Ale ty oczywiście nie masz ochoty ujrzeć tej małej, świetnie ją nazwałaś: Panna Pocięszycielska — i znowu wybuchnęła głośniejszym jeszcze śmiechem. Jednakże prawie natychmiast spoważniała i spojrzała na siostrę zatroskanym wzrokiem.

— Naprawdę, kochanie, czy nie można tego wszystkiego jakoś zmienić? — zapytała łagodnie. — Nie możesz przecież w ten sposób marnować życia. Czy nie mogłabyś się zmusić, żeby wyjść na trochę i spotkać się z ludźmi?

— Po cóż miałabym się zmuszać, kiedy mi się wcale nie chce? Jestem zmęczona ludźmi. Wiesz, że towarzystwo zawsze mnie męczyło.

— To dlaczego nie spróbujesz jakiejś pracy, może społecznej?

Pani Carew machnęła niecierpliwie ręką.

— Dello droga, już niejednokrotnie mówiliśmy o tym. Daję pieniądze na rozmaite cele, mnóstwo pieniędzy, i uważam, że to wystarcza. Zastanawiam się nawet, czy nie za wiele robię. W ogóle nie wierzę w to, że istnieją ludzie biedni.

— Ale gdybyś dała coś więcej z siebie społeczeństwu — perswadowała łagodnie Della — gdybyś mogła zainteresować się czymś, poza własnym życiem, na pewno by ci to dobrze zrobiło, gdybyś...

— Daj spokój, Dello — przerwała starsza siostra w zniecierpliwieniu — bardzo cię kocham i lubię, gdy do mnie przychodzisz, lecz nie znoszę, żeby mnie ktoś do czegoś zmuszał. Bardzo ładnie z twej strony, żeś się przeistoczyła w anioła opiekuńczego, że potrafisz podawać spragnionym szklankę wody, bandażować poranione głowy i spełniać temu podobne obowiązki. Może właśnie dzięki tej pracy potrafisz zapomnieć o Jamiem, ja jednak nie umiem. Na pewno w takiej sytuacji myślałabym o nim jeszcze więcej i zastanawiałabym się nad tym, czy on ma kogoś, kto mu wodę podaje i kto mu bandażuje głowę. Zresztą dla mnie taka praca byłaby bardzo nieprzyjemna, takie stykanie się z rozmaitego rodzaju ludźmi.

— A czy kiedyś próbowałaś?

— Oczywiście, że nie! — głos pani Carew był pełen niechęci i zranionej dumy.

— Wobec tego skąd możesz wiedzieć, skoro nie próbowałaś — zapytała młoda pielęgniarzka, podnosząc się z krzesła leniwie. — Ale muszę już iść, kochanie. Mam się spotkać z dziewczętami na Dworcu Południowym. Pociąg nasz odchodzi o 12:30. Bardzo mi przykro, żeś się na mnie rozgniewała — dorzuciła, całując siostrę na pożegnanie.

— Nie jestem wcale zagniewana, Dello — westchnęła pani Carew — chciałabym tylko, żebyś mnie mogła zrozumieć!

W kilka minut potem Della Wetherby przez ponury mroczny hall wyszła na ulicę. Wyraz jej twarzy, chód i całe zachowanie były całkiem inne od zachowania i wyglądu sprzed pół godziny, kiedy wbiegała na górę do mieszkania siostry. Energia, uśmiech i radość tycia zniknęły gdzieś bezpowrotnie. Szła teraz wolno, unosząc z trudnością nogi. W pewnej chwili odrzuciła w tył głowę i odetchnęła głęboko.

— Jeden tydzień pobytu w tym domu zabiłby mnie na pewno — zadrzała. — Nie wiem nawet, czy Pollyanna potrafiłaby zmienić tę atmosferę! Może powinnam być zadowolona, że biedaczka nigdy się tutaj nie zjawi.

Widocznie jednak Della Wetherby niedługo ufała własnej opinii na ten temat, bo już nazajutrz, podniecona, odbywała znowu tę samą pięćdziesięciomilową² podróż do Bostonu.

W domu siostry zastała identyczną sytuację, jak wczoraj i skłonna była nawet uwierzyć, że od chwili pożegnania się z nią pani Carew nie zdobyła się nawet na zmianę pozycji.

²pięćdziesięciomilowy — wynoszący 50 mil angielskich; *mila angielska*: jednostka długości (odległości), równa ok. 1,6 km; 50 mil to odcinek drogi o długości ok. 80 km. [zprypis edytorski]

— Rutko — wybuchnęła gorączkowo w odpowiedzi na zdziwione powitanie siostry — znowu zjawiałam się tutaj, lecz tym razem musisz zgodzić się na moją propozycję. Słuchaj! Możesz mieć tutaj małą Pollyannę, jeśli będziesz chciała.

— Ależ ja wcale nie chcę — odparła pani Carew z obojętną miną.

Della Wetherby zdawała się tych słów nie słyszeć.

— Gdy wróciłam wczoraj do lecznicy — mówiła dalej w podnieceniu — dowiedziałam się, że doktor Ames otrzymał list od doktora Chiltona, wiesz, tego, co się ożenił z ciotką Pollyanny. W liście tym doktor Chilton pisze, że zamierza na zimę pojechać do Niemiec na specjalny kurs i że pragnąłby tam zabrać swoją żonę, jeżeli zdoła ją nakłonić do umieszczenia na ten czas Pollyanny w jakiejś tutejszej szkole z internatem. Pani Chilton podobno za nic w świecie nie zgadza się zostawić Pollyanny w pierwszej lepszej szkole, więc mąż jej obawia się, że nie będzie mogła pojechać z nim do Niemiec. Rozumiesz, Rutko, że teraz my mamy szansę! Pragnę, abyś wzięła Pollyannę na zimę do siebie i posyłała ją tutaj do szkoły.

— Cóż za absurdalny pomysł, Dello! Mówisz tak, jakbym naprawdę miała ochotę, żeby to dziecko mnie męczyło!

— Ależ ona cię ani trochę męczyć nie będzie. Ma teraz już prawie trzynaście lat i jest najmilszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam.

— Nie lubię „miłych” dzieci — odparła pani Carew ironicznie, lecz jednocześnie zaśmiała się. Ten śmiech dodał młodszej siostrze odwagi do podwojenia podjętych wysiłków.

Może stało się tak dlatego, że decyzja musiała być natychmiastowa, może historia życia Pollyanny wzruszyła nieco serce Ruty Carew, a może po prostu pani Carew nie chciała odmawiać prośbom siostry, dość, że w rezultacie Della Wetherby, wychodząc po pół godziny z mieszkania siostry, uzyskiwała zgodę na przywiezienie Pollyanny do Bostonu.

— Ale pamiętaj — ostrzegła ją pani Carew przy pożegnaniu — pamiętaj, że z chwilą, gdy dziecko zacznie mi wygłaszać kazania i żądać, abym liczyła swoje grzechy, odeślę je natychmiast do ciebie, a ty możesz sobie z nią robić, co ci się podoba. Trzymać jej dłużej u siebie nie będę!

— Będę pamiętała, lecz o to się nie martwię — skinęła głową Della, wychodząc. Zbiegając po schodach, z uśmiechem szeptała do siebie: — Połowy dzieła dokonałam. Teraz druga połowa, żeby Pollyannę tu sprowadzić. Ale musi przyjechać koniecznie. Napisać taki list, że mi na pewno nie odmówią!

ROZDZIAŁ II. DAWNI PRZYJACIELE

Tego dnia sierpniowego w Beldingsville pani Chilton czekała aż Pollyanna położy się do łóżka, bo dopiero wówczas chciała pomówić z mężem o liście, który nadszedł ranną pocztą. Musiała jednak mieć jeszcze trochę cierpliwości, gdyż pacjentów podczas godzin przyjęć było mnóstwo, później zaś doktor musiał odbyć dwie dłuższe podróże do chorych, przez co nie miał czasu na omawianie domowych spraw.

Dopiero około pół do dziesiątej wszedł do saloniku żony. Zmęczona jego twarz rozjaśniła się uśmiechem na jej widok, lecz zaraz potem spojrzął na żonę pytająco.

— Co nowego zaszło, Polly, najdroższa? — zapytał zaciekawiony.

Żona zaśmiała się wesoło.

— Idzie mi o ten list, chociaż nie pojmuję, jakim cudem mogłeś się tego domyśleć, patrząc na mnie.

— Widocznie miałaś jakiś specjalny wyraz twarzy — odparł dobrotliwie doktor. — Ale powiedz mi jaśniej.

Pani Chilton zawahała się, przygryzła wargi, po czym sięgnęła po list leżący na stoliku.

— Zaraz ci go przeczytam — zdecydowała. — Przysłała go panna Della Wetherby z lecznicy doktora Ames.

— Doskonale. Czytaj — zachęcił ją mąż, lokując się wygodnie na kozetce w pobliżu fotela, na którym siedziała.

Lecz pani Chilton nie od razu zaczęła czytać. Wstała najprzód i przykryła leżącego męża szarym, ciepłym pledem. Od ślubu ich upłynął już prawie rok, a pani Chilton liczyła

teraz czterdzieści dwa lata. Zdawać się mogło, że podczas tego krótkiego okresu małżeństwa usiłowała zgromadzić całą swą troskliwość i oddać ją na usługi męża, rehabilitując tym samym długie dwadzieścia lat swej samotności. Doktor, który skończył czterdzieści pięć lat w dniu ślubu i który również do dnia tego był zupełnie osamotniony, przyjmował tę troskliwość z radosną czułością. Postępował tak, jakby mu troskliwość żony sprawiała wiele przyjemności, aczkolwiek chwilami starał się jej tego nie okazywać. Przecież pani Polly, mogłaby się zrazić jego zbyt wielką wylewnością, a do tego za żadne skarby nie chciał dopuścić. Zadowolili się więc teraz przelotnym pogładzeniem jej ręki, gdy otulała go pledem i gdy usiadła wreszcie, aby przeczytać mu list na głos.

Della Wetherby pisała:

„Szanowna Pani Chilton,

Już sześć razy rozpoczynałam ten list do Pani i za każdym razem darłam go, teraz jednak postanowiłam bez żadnych wstępów wytłumaczyć Pani, o co mi chodzi. Potrzebna mi jest Pollyanna. Czy mogłabym mieć nadzieję, że ją będę miała?

Poznałam Panią i męża Pani w zeszłym roku w marcu, gdy przyjechaliście Państwo, aby zabrać Pollyannę do domu, przypuszczam jednak, że mnie Pani nie pamięta. Prosiłam doktora Amera (który zna Państwa tak dobrze), aby napisał do Pani Męża, żebyście Państwo nie lękali się powierzyć mi swą małą siostrzenicę.

Wiem o tym, że pragnie Pani wyjechać do Niemiec ze swym Mężem, lecz nie ma Pani ochoty pozostawić bez opieki Pollyanny. Właśnie korzystając z tego, ośmielałam się prosić, aby pozwoliła nam Pani zabrać ją do siebie. Naprawdę proszę Panią o to gorąco, droga Pani Chilton, a zaraz wytłumaczę, dlaczego mi tak na tym zależy.

Otóż moja siostra, Ruta Carew, jest samotna, przygnębiona i niezadowolona z życia. Przebywa stale w świecie mroku, do którego nigdy promienie słońca nie przenikają. Ja ze swej strony uwierzyłam, że jeżeli cośkolwiek na świecie może wnieść trochę słońca do jej życia, to przyczynić się do tego może jedynie siostrzenica Pani, Pollyanna. Czy nie pozwoliłaby jej Pani spróbować? Chciałabym opowiedzieć Pani, ile pogody i radości wniosła Pollyanna do naszej lecznicy, ale o takich rzeczach opowiadać trudno. Trzeba być ich naocznym świadkiem. Zorientowałam się już dawno, że i Pani nie potrafi opowiadać o Pollyannie. Jeżeli nawet pragnie Pani coś opowiedzieć, to wszystko brzmi nienaturalnie i nie posiada żadnej treści. Ja i Pani wiemy, czym jest ta mała dziewczynka. Niechaj Pani pozwoli zjawić się Pollyannie i mówić jej samej za siebie. Pragnę zabrać ją do mojej siostry, a resztę już pozostawiam jej samej. Oczywiście Pollyanna będzie chodziła do szkoły, a w międzyczasie, wierzę w to święcie, zdoła może zabić ranę w sercu mojej siostry.

Nie wiem, jak mam zakończyć ten list. Zakończenie jest o wiele trudniejsze niż początek. Wolalabym go w ogóle nie kończyć. Mam dziwne pragnienie mówienia i mówienia bez końca, gdyż odczuwam obawę, że z chwilą, gdy zaprzestanę mówić, nie uwzględni Pani mojej prośby. Zanim mi jednak Pani odmówi, proszę jeszcze to rozważyć i wziąć pod uwagę to, że nie mogę przestać wciąż powtarzać, że Pollyanna jest mi naprawdę bardzo potrzebna.

Pozostaję pełna nadziei,
Della Wetherby”.

— No! — zawołała pani Chilton, odkładając przeczytany list. — Czyś kiedykolwiek czytał coś podobnego i czyś słyszał jakąś bardziej absurdalną propozycję?

— Pewny nie jestem — uśmiechnął się doktor. — Nie widzę w tym nic absurdalnego, że komuś potrzebna jest Pollyanna.

— Ale... ale ten sposób, w jaki ona to tłumaczy: ma zabić ranę w sercu jej siostry! Gotów ktoś pomyśleć, że to nie dziecko, tylko pewien rodzaj lekarstwa!

Doktor zaśmiał się głośno i uniósł brwi ku górze.

— Bo właściwie tak jest, Polly. Zawsze twierdziłem, że pragnąłbym ją móc komuś przepisać i kupić w aptece, jak pudełko pigulek. Charlie Ames opowiadał mi, że w lecznicy częstowano pacjentów dawką Pollyanny przez cały rok jej pobytu.

— „Dawka”, istotnie! — wyszeptala z przekąsem pani Chilton.

— Więc nie pozwolisz jej pojechać?

— Pojechać? Oczywiście, że nie! Czy przypuszczasz, że oddam dziecko zupełnie obcym ludziom i do tego takim ludziom? Naprawdę, Tomaszu, gdybym ją oddała pod opiekę tej pielęgniarki, z pewnością po powrocie z Niemiec nie poznałabym dziewczyny.

Doktor odrzucił w tył głowę i wybuchnął serdecznym śmiechem, który trwał jednak tylko krótką chwilę. Twarz mu się zmieniła, gdy sięgnął do kieszeni, aby wyjąć z niej list.

— I ja dzisiaj otrzymałem wiadomość od doktora Amesa — powiedział dziwnie tajemniczym głosem, który zastanowił panią Chilton. — Pozwolisz, że teraz ja przeczytam ci jego list.

„Drogi Tomku — zaczął. — Panna Della Wetherby prosiła mnie o pewną przysługę, którą spełniam bardzo chętnie. Panny Wetherby znam od dzieciństwa. Pochodzą one ze starej dobrej rodziny i są naprawdę szlachetnymi kobietami. Pod tym względem możesz nie mieć żadnych obaw.

Były tam trzy siostry Doris, Ruta i Della. Doris poślubiła człowieka nazwiskiem John Kent, właściwie wbrew woli rodziny. Kent pochodził z dobrego domu, lecz sam niewiele był wart i przypuszczam, że żona miała z nim niezbyt miły żywot. Rozgoryczony był zawsze do państwa Wetherby, toteż mało komunikował się z całą ich rodziną, dopóki dziecko nie przyszło na świat. Państwo Wetherby uwielbiali małego Jamie. Matka jego, Doris, umarła, gdy chłopiec miał cztery lata, a ponieważ państwo Wetherby usiłowali odebrać dziecko ojcu, Kent pewnego dnia zniknął wraz z synem. Od tego czasu nikt o nim więcej nie słyszał, chociaż czyniono wszelkie możliwe poszukiwania.

Strata wnuczka przyczyniła się do szybszej śmierci starych państwa Wetherby, którzy wkrótce umarli. W międzyczasie Ruta wyszła za mąż i owdowiała. Mężem jej był niejaki Carew, bardzo zamożny człowiek i o wiele od niej starszy. Żył z nią zaledwie rok i umarł, pozostawiając ją z małym synkiem, który także wkrótce zeszedł z tego świata.

Od czasu, kiedy Jamie zaginął, Ruta i Della straciły wszelki cel w życiu i pragną jedynie, aby odnaleźć. Na poszukiwania wydały mnóstwo pieniędzy, poruszając niebo i ziemię, lecz, niestety, bezskutecznie. Della zajęła się pielęgniarstwem. Pracuje sumiennie i stała się pełną pogody i stanowczości kobietą, która wie, czego chce, mimo to jednak nie zapomniiała o zaginionym siostrzeńcu i nie straciła nadziei, że go jednak kiedyś zdoła odnaleźć.

Z panią Carew sytuacja przedstawia się całkiem inaczej. Po stracie własnego syna całe swe macierzyńskie uczucie skierowała na siostrzeńca, możesz więc sobie wyobrazić jej rozpacz, gdy chłopak zginął. Miało to miejsce przed ośmiu laty, dla niej zaś te osiem lat jest jednym długim pasmem przygnębienia i goryczy. Wszystko, co można kupić za pieniądze, pani Carew ma do swego rozporządzenia, lecz nic jej nie sprawia przyjemności i nic nie wzbudza w niej zainteresowania. Della twierdzi, że najwyższa już pora, by zbudzić siostrę z tej zbyt długotrwałej melancholii i wierzy w to święcie, że siostrzenica twojej żony, Pollyanna, posiada tajemniczą siłę, która umożliwi pani Carew rozpoczęcie nowej egzystencji. A zatem sprawa tak się przedstawia i mam nadzieję, że poznawszy sytuację dokładnie, zadośćuczynisz prośbie panny Wetherby. Od siebie dodać mogę, że bardzo by mi zależało na tym, bowiem Ruta Carew i jej siostra są serdecznymi przyjaciółkami mojej żony i wszystkie ich zmartwienia są naszymi zmartwieniami.

Twój zawsze oddany
Charlie”.

Po skończeniu listu w pokoju zaległa długa cisza, którą przerwał doktor, zwracając się do żony:

— No i cóż, Polly?

Cisza panowała nadal. Obserwując twarz żony z bliska, doktor Chilton zauważył, że usta jej i podbródek drżały. Czekał cierpliwie, dopóki sama nie przemówiła.

— Jak sądzisz, kiedy spodziewają się jej przyjazdu? — zapytała wreszcie.

Całkiem mimo woli doktor Chilton niewidocznie drgnął.

— Więc pozwolił jej pojechać? — zawołał.

— Cóż za dziwne pytanie, Tomaszu Chilton! — odpowiedziała pani Polly w zniecierpliwieniu. — Czy przypuszczasz, że po takim liście mogłabym jej nie pozwolić? Zresztą, czyż to nie doktor Ames zwraca się do nas z tą prośbą? Czy przypuszczasz, że po tym wszystkim, co uczynił dla Pollyanny, mogłabym mu kiedykolwiek w życiu odmówić?

— Boże, Boże! Całe szczęście, że Amesowi nie przyszło do głowy, aby domagać się tego przybycia, moja najdroższa — wyszeptał małżonek z figlarnym uśmiechem, pani Polly jednak obdarzyła go tylko pełnym nagany wzrokiem i rzekła:

— Możesz napisać doktorowi Amesowi, że przysłemy Pollyannę i poprosz go, aby zawiadomił o tym pannę Wetherby. Musi to być załatwione w każdym razie przed dziesiątym następnego miesiąca, bo wtedy przecież chcesz wyjechać, a pragnęłabym sama wyeksponować dziecko.

— Kiedy powiesz o tym Pollyannie?

— Prawdopodobnie jutro.

— A co jej powiesz?

— Jeszcze nie wiem dokładnie, lecz właściwie niewiele mam jej do powiedzenia. Cokolwiek by się stało, Tomaszu, nie chciałabym za nic w świecie zepsuć Pollyanny, a dziecku można przewrócić w głowie, gdy mu się wmówi, że jest pewnego rodzaju...

— Lekarstwem, które może kogoś uzdrowić? — podchwycił doktor z uśmiechem.

— Tak — westchnęła pani Chilton. — Ratuje ją tylko jej nieświadomość. Wiesz o tym dobrze, kochanie.

— Tak, wiem — skinął głową doktor.

— Pollyanna zdaje sobie z tego sprawę, że ty, ja i połowa miasteczka zabawia się z nią chętnie w tę jej grę i że jesteśmy dzięki temu o wiele szczęśliwsi. — Głos pani Chilton zdrzął na chwilę, po czym przybrał znowu nutę poważną. — Lecz gdyby uświadomiła sobie, że przedstawia sobą coś, co ludzi uszczęśliwia, stałaby się nieznośna we współzyciu. Cokolwiek jej powiem, nie wolno mi wspomnieć o tym, że jedzie do Bostonu, aby wyleczyć z melancholii panią Carew — zakończyła pani Chilton, wstając energicznie z krzesła i odkładając do szuflady swą robótkę.

— Uważam, że postępujesz bardzo rozsądnie — pochwalił żonę doktor.

Pollyanna dowiedziała się o wszystkim nazajutrz rano i to w sposób następujący:

— Moja droga — zaczęła pani Polly, gdy na chwilę zostały same — jakby ci się podobało spędzenie zimy w Bostonie?

— Z tobą?

— Nie, ja postanowiłam jechać z wujem do Niemiec, ale pani Carew, przyjaciółka doktora Armesa, zaprasza cię do siebie na zimę i przypuszczam, że przyjmiemy to zaproszenie.

Twarzyczka Pollyanny posmutniała.

— Ależ ja w Bostonie nie będę miała Jimmy'ego, ani pana Pendletona, ani pani Snow, ani nikogo ze znajomych, ciociu Polly.

— Nie, kochanie, lecz nie miałaś ich również tutaj, dopóki ich nie znalazłaś.

Pollyanna uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

— Rzeczywiście, ciociu Polly, nie miałam! To znaczy, że tam w Bostonie są jacyś Jimmowie, panowie Pendleton i panie Snow, którzy czekają na to, żebym ich poznała?

— Tak, kochanie.

— Wobec tego szalenie się cieszę. Wierzę teraz, ciociu Polly, że ty lepiej umiesz grać w tę moją grę ode mnie. Nigdy nie pomyślałam o ludziach, którzy czekają na to, żebym ich poznała. A przecież ludzi jest tak dużo! Nawet widziałam ich sporo, gdy byłam tam przed dwoma laty z panią Gray. Byłyśmy w Bostonie dwie godziny, jak ci wiadomo, w drodze do ciebie. Na stacji był jeden pan, bardzo miły, który mi wskazał, gdzie mogę napić się wody. Czy przypuszczasz, że jest tam jeszcze teraz? Bardzo bym go chciała poznać. I była tam także bardzo miła pani z małą dziewczynką. Mieszkają stale w Bostonie, powiedziały mi

Dziecko, Obyczaje, Prawda,
Kłamstwo

o tym. Ta dziewczynka nazywa się Zuzia Smith. Możliwe, że ją będę mogła bliżej poznać. Sądzisz, że będę mogła? I był jeden chłopiec i jeszcze jedna pani z dzieckiem, tylko, że oni mieszkają w Honolulu, więc na pewno nie spotkam ich w Bostonie. Ale w Bostonie w każdym razie będzie pani Carew. A kto to jest pani Carew, ciociu Polly? Czy to nasza krewna?

— Boże święty, Pollyanno! — zawołała pani Chilton na pół ze śmiechem, na pół z rozpaczą. — Jak możesz żądać, żeby ktoś nadał za twoimi myślami, skoro w ciągu dwóch sekund przerzucasz się z Honolulu do Bostonu! Nie, pani Carew nie jest naszą krewną, lecz siostrą panny Delli Wertherby. Czy pamiętasz pannę Wetherby z lecznicy?

Pollyanna klasnęła w dłonie.

— To jest jej siostra? Siostra panny Wetherby? Ach, wobec tego musi być bardzo miła, bo panna Wetherby jest ogromnie miła. Szalenie ją lubiłam. Ma takie uśmiechające się fałdki dookoła oczu i ust i umie opowiadać cudowne historie. Wprawdzie była ze mną tylko dwa miesiące, bo przyjechała na krótko przed moim wyjazdem. Z początku byłam zmartwiona, że nie była ze mną przez cały czas pobytu, lecz potem cieszyłam się. Bo widzisz, ciociu Polly, gdybym ją miała cały czas przy sobie, to później bardziej przykre byłoby pożegnanie niż wówczas, kiedy ją znałam tak krótko. A teraz mam takie wrażenie, jakbym znowu miała być z nią razem, ponieważ jadę do jej siostry.

Pani Chilton odetchnęła głęboko i zacięła wargi.

— Ale Pollyanno droga, nie możesz się spodziewać, że obydwie siostry są jednakowe — zauważyła.

— Jak to, przecież są siostrami, ciociu Polly — argumentowała dziewczynka, otwierając szerzej oczy — a ja mam wrażenie, że siostry zawsze są do siebie bardzo podobne. Znałam takie siostry w Towarzystwie Dobroczyńnym. Były to nawet bliźnięta i tak do siebie podobne, że po prostu nie mogłam odróżnić, która jest panią Peck, a która panią Jones, dopóki na nosie pani Jones nie wyrosła wielka brodawka. Wówczas wystarczyło na nią spojrzeć, a właściwie na tę brodawkę, żeby się przekonać, z którą siostrą się rozmawia. Powiedziałam jej właśnie o tym pewnego dnia, gdy się dowiedziałam, że niektórzy ludzie biorą ją za panią Peck i zaznaczyłam, że przede wszystkim powinno się patrzeć na tę brodawkę na nosie. Wtedy pani Jones strasznie się na mnie rozgniewała, to znaczy była niezadowolona, chociaż ja osobiście nie wiem dlaczego. Uważam, że powinna być raczej zadowolona, że jest coś takiego, dzięki czemu można ją poznać. Później słyszałam, jak pani White opowiadała pani Rawson, że pani Jones stara się pozbyć tej brodawki i że robi wszystko, nawet sypie ptakowi sól na ogon. Ciociu Polly, czy sypanie ptakowi soli na ogon usuwa brodawki z ludzkich nosów?

— Oczywiście, że nie, moje dziecko! Jakżeś ty się zmieniła, Pollyanno, od czasu, gdyś wyszła spod opieki tych pań z dobroczynności³!

— Naprawdę, ciociu Polly? — zapytała dziewczynka z przerażeniem. — A czy to sprawa ci przykrość? Bo ja naprawdę nie chciałabym ci robić przykrości, ciociu Polly. W każdym razie, jeżeli sprawia ci przykrość, mówiąc o tych paniach, to powinnaś być zadowolona, bo zawsze myślę o nich w ten sposób, że jestem szczęśliwa, że już nie opiekuję się mną i że znalazłam wreszcie moją własną, rodzoną ciocię. Jesteś chyba zadowolona, prawda, ciociu Polly?

— Tak, tak, kochanie, oczywiście, że jestem — zaśmiała się pani Chilton, wstając, aby wyjść z pokoju i czując się nagle winna na wspomnienie, że niejednokrotnie denerwowało ją to wieczne zadowolenie Pollyanny.

Podczas następnych kilku dni, gdy listy w sprawie zimowego pobytu Pollyanny w Bostonie wędrowały tam i z powrotem, Pollyanna przygotowywała się do wyjazdu w ten sposób, że niezamordowanie składała wizyty swym licznym przyjaciółom w Beldingsville.

Każdy niemal w małej wiosce Vermont znał teraz Pollyannę i prawie każdy brał udział w jej grze. Ci, którzy udziału nie brali, nie byli temu winni, bowiem nie zdawali sobie sprawy, czym właściwie była „gra w zadowolenie”. Tak więc z domu do domu obnosiła Pollyanna wiadomość, że wyjeżdża do Bostonu na całą zimę. Wszyscy wyrażali żal

³dobroczyńność — tu: towarzystwo dobroczynności, instytucja zajmująca się niesieniem pomocy osobom jej potrzebującym. Instytucje takie najczęściej dbają o zapewnianie swoim podopiecznym mieszkania, wyżywienia, ubrania, środków higieny i innych rzeczy niezbędnych do życia. [przypis edytorski]

z tego powodu, poczynawszy od Nancy, królującej w kuchni ciotki Polly, aż do właściciela obszernego domu na wzgórku, pana Johna Pendletona.

Nancy nie zawahała się wyznać szczerze wszystkim, z wyjątkiem swej chlebodawczyni, że uważa tę wycieczkę do Bostonu za wariactwo i że ona ze swej strony wolałaby zabrać ze sobą pannę Pollyannę do swych rodziców, mieszkających w Corners. Wówczas pani Polly mogłaby spokojnie pojechać do Niemiec.

Zamieszkujący na wzgórku John Pendleton powiedział właściwie to samo, tylko nie zawahał się wyznać tego szczerze również i pani Chilton. Co do Jimmy'ego, dwunastoletniego chłopca, którego John Pendleton przyjął do swego domu dzięki Pollyannie i którego adoptował (już z własnej woli), co do Jimmy'ego zatem, to był on po prostu oburzony i wcale tego nie ukrywał.

— Ale przecież dopiero przyjechałaś — czynił wymówki Pollyannie takim dziwnym tonem, jakim mówi każdy mały chłopiec, gdy chce usilnie ukryć to, co dzieje się w jego sercu.

— Jak to, jestem tu już od marca, a zresztą nie mam zamiaru zostać tam na stałe. Będę tylko przez zimę.

— Mniejsza o to. Nie było cię prawie przez cały rok i gdybym przypuszczał, że zaraz znowu wyjedziesz, na pewno bym nie organizował tego przyjęcia dla ciebie ze sztandarami i z orkiestrą, jak wracałaś z lecznicy.

— Ależ, Jimmy Beanie! — zawołała Pollyanna zaskoczona, po czym tonem zranionej dumy, zauważyła: — Przecież cię nie prosiłam o to, żebyś mnie witał tak uroczystie, a jeżeli chodzi o ścisłość, toś znowu zrobił dwa błędy w jednym zdaniu. Te wszystkie zdania, które budujesz, brzmią nieprawidłowo.

— Co to kogo obchodzi?

Oczy Pollyanny zabłyśły teraz gniewem.

— Powiedziałeś, że ciebie samego to obchodzi, kiedy mnie prosiłeś tego lata, żebym poprawiała wszystkie twoje błędy, bo pan Pendleton pragnie, abyś mówił poprawnie.

— Gdybyś była wychowana w przytułku i nie miała nikogo, kto o ciebie dba, na pewno też robiłabyś stale błędy i jeszcze gorsze ode mnie, Pollyanno Whittier!

— Jak to, Jimmy Beanie! — zapaliła się Pollyanna. — Ja też byłam wychowywana prawie w przytułku, a jednak...

— Przede wszystkim już nie jestem żaden Jimmy Bean — przerwał jej chłopak, podnosząc z dumą głowę do góry.

— Nie jesteś... Jak to, Jimmy Be... Co to znaczy? — zdziwiła się dziewczynka.

— Zostałem legalnie zaadoptowany. Pan Pendleton powiada, że miał ten zamiar już od dawna, tylko jakoś się wszystko nie składało. Teraz nareszcie to zrobił. Nazywam się Jimmy Pendleton, a pana Pendletona nazywam „wujem Johnem”, tylko się jeszcze jakoś do tego nie przyzwyczaiłem i właściwie nie zacząłem go jeszcze tak nazywać.

Chłopak mówił ciągle gniewnie i z wielką dumą, a z twarzyczki Pollyanny zniknął bezpowrotnie po tych słowach wyraz niezadowolenia. Po chwili klasnęła radośnie w dłonie.

— Ach, jak cudownie! Teraz nareszcie masz kogoś, kto o ciebie dba. I nie potrzebujesz się przed nikim tłumaczyć, bo nosisz nawet nazwisko pana Pendletona. Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

Chłopiec wstał nagle z kamiennego murku, na którym obydwójce siedzieli i szybko się oddalił. Policzki miał rozpalone, a w oczach piekły go łzy. Przecież to wszystko zawdzięczał Pollyannie, to wielkie dobro, które go spotkało i zdawał sobie z tego dobrze sprawę. I to, co mówił, też było dzięki Pollyannie...

Cisnął małym kamykiem zawzięcie, potem drugim i trzecim. Miał wrażenie, że te gorące łzy nie pomieszczą się w oczach i spłyną mu po policzkach wbrew jego woli. Podniósł jeszcze jeden kamień i cisnął nim z całych sił. Po dłuższej chwili przybiegł z powrotem do Pollyanny, która ciągle jeszcze siedziała na kamiennym murku.

— Załóżmy się, że dobiegnę do tej sosny prędzej od ciebie — zawołał wyzywająco.

— Możemy się założyć — odpowiedziała Pollyanna, podnosząc się z miejsca.

Wyścigi się jednak nie udały, bo Pollyanna przypomniała sobie w porę, że lekarze zabronili jej biegać. Ale Jimmy nie zważał już na to. Policzki mu już nie pały i do oczu przestały napływać łzy. Jimmy teraz był znowu sobą.

ROZDZIAŁ III. DAWKA POLLYANNY

Gdy zbliżał się ósmy września — dzień przybycia Pollyanny — pani Ruta Carew stawała się coraz bardziej zdenerwowana i podniecona. Zaznaczała wszystkim, że żałuje danej siostrze obietnicy dotyczącej przyjęcia do siebie dziecka i żałuje tego właściwie od pierwszej chwili. Istotnie, jeszcze nim minęło dwadzieścia cztery godziny od wyrażenia zgody, napisała do siostry, żądając od niej zwolnienia z danego tak nieopatrnie słowa, Della jednak odpowiedziała, że niestety, jest za późno, gdyż zarówno ona, jak i doktor Ames napisali już do państwa Chilton.

Wkrótce potem przyszedł drugi list od Delli, w którym komunikowała, że pani Chilton wyraziła swą zgodę i że w najbliższych dniach przybędzie do Bostonu, aby pozatłwiać najważniejsze sprawy, związane ze szkołą i temu podobne. Nie pozostawało więc nic innego, tylko czekać cierpliwie i zdać się na łaskę losu. Pani Carew orientowała się w tym, zrezygnowana, lecz niechętna Usiłowała być nawet uprzejma, gdy Della i pani Chilton zjawily się z zapowiedzianą wizytą, a jednocześnie zadowolona była, że nie musi pani Chilton dotrzymywać towarzystwa, bowiem ciotka Pollyanny podczas krótkiego pobytu w Bostonie miała mnóstwo spraw do załatwienia.

Całe szczęście, że przybycie Pollyanny miało nastąpić nie później niż ósmego września, bo pani Carew miała niezbyt wiele czasu na zastanawianie się nad owym „szaleńcym pomysłem tej zwiariowanej Delli”.

Nie należy przypuszczać, że Della nie zdawała sobie sprawy ze stanu, w jakim znajdowała się jej siostra. Jeżeli pozornie patrzyła na wszystko z najzupełniejszym spokojem, to w głębi duszy lękała się dalszych następstw. Wierzyła tylko w Pollyannę i to jej dawało pewność, że dziewczynka zdoła zaskarbić sobie serce pani Carew. Właśnie z tego względu urządziła wszystko w ten sposób, że pani Carew miała wyjść po nią i po Pollyannę na dworzec, jednak po przedstawieniu dziewczynki i po pierwszych powitaniach, pod jakimś pierwszym lepszym pretekstem oddaliła się spiesźnie. Pani Carew zdążyła zaledwie spojrzeć na swą nową pupilkę, gdy nagle zorientowała się, że została sama z dzieckiem.

— Ach, Dello, Dello, nie odchodź, przecież ja nie mogę... — zawołała w podnieceniu, spoglądając rozpaczliwym wzrokiem za znikającą w oddali postacią młodej pielęgniarki.

Lecz Della, jeżeli nawet słyszała, nie zwracała na te wołania uwagi i pani Carew zagiewana, rada nie rada, zwróciła się do dziewczynki, stojącej tuż przy niej.

— Jakie to okropne! Nie słyszała, prawda? — zapytała Pollyanna, śledząc również zrozpaczonym wzrokiem oddalającą się pannę Wetherby. — I ja nie chciałam, żeby nas tu zostawiła. Ale w każdym razie mam chociaż panią, prawda? Powinam być z tego zadowolona.

— O tak, masz mnie, a ja mam ciebie — odparła pani Carew niezbyt łaskawym głosem. — Chodź, pójdziemy tędy — rozkazała, kierując się na prawo.

Pollyanna posłusznie skierowała się w tę stronę, drecząc przy boku pani Carew obszernym peronem. Od czasu do czasu tylko spoglądała niespokojnie w pozbawioną uśmiechu twarz swej opiekunki. Wreszcie odezwała się wahająco:

— Obawiam się, iż pani myślała, że ja jestem ładna — wyszeptała te słowa zmartwionym głosem.

— Ładna? — powtórzyła pani Carew.

— Tak, że mam loki i że w ogóle mam inną twarz. Na pewno zastanawiała się pani, jak ja właściwie wyglądam, tak samo, jak ja się nad tym zastanawiałam. Tylko, że ja od razu wyobrażałam sobie panią taką ładną i sympatyczną, bo znałam przecież pani siostrę. Mogłam mieć chociaż jakieśkolwiek pojęcie o pani, a pani o mnie nie miała żadnego. Ja oczywiście ładna nie jestem, chociażby z powodu tych piegów, więc musiało pani być przykro, gdy mnie pani zobaczyła, wówczas gdy spodziewała się pani ujrzeć ładną dziewczynkę, zresztą...

— Głupstwa pleciesz, moje dziecko! — przerwała ostro pani Carew. — Chodź, do- wiemy się teraz o twój bagaż i pojedziemy do domu. Miałam nadzieję, że siostra moja pojedzie z nami, lecz najwidoczniej nie miała czasu; nawet dzisiejszy wieczór miała zajęty.

Pollyanna uśmiechnęła się i skinęła główką.

— Tak, chyba rzeczywiście nie mogła zostać. Przypuszczam, że komuś tam była potrzebna. Zawsze jest komuś potrzebna w lecznicy. To bardzo męczy, jak człowiek wiecz-

nie jest potrzebny ludziom, prawda? Bo nigdy nie ma się ani chwili czasu dla siebie. Ale z drugiej strony przyjemnie jest być komuś potrzebnym, prawda?

Nie było odpowiedzi, może dlatego, że pani Carew zastanawiała się nad tym, czy istnieje ktoś taki na świecie, komu by ona rzeczywiście była potrzebna, nie dlatego, że pragnęła, aby ktoś tę potrzebę odczuwał, lecz po raz pierwszy dopiero przyszło jej to na myśl. Najwyraźniej była zagniewana i niechętnie spoglądała na dziecko drepczące przy swoim boku.

Pollyanna nie widziała tej chmury na obliczu swej nowej opiekunki. Oczy Pollyanny błędziły dookoła, pełne radości i zaciekawienia.

— Mój Boże, jak tu dużo ludzi — dziwiła się co raz bardziej. — Więcej nawet niż było wówczas, gdy ostatni raz przebywałam w Bostonie. Ale nie widziałam jeszcze nikogo ze znajomych. Oczywiście ta pani z małym dzieckiem mieszka w Honolulu, więc na pewno tutaj jej nie ma, ale ciekawe, czy Zuzia Smith będzie na dworcu, bo mieszka stale w Bostonie. Może ją pani zna? Zna pani Zuzię Smith?

— Nie, nie znam Zuzi Smith — odpowiedziała sucho pani Carew.

— Nie zna pani? Ach, ona jest szalenie miła i bardzo ładna: ma takie piękne czarne loki. Ja bym chciała mieć takie, jak pójdę do nieba. Ale mniejsza o to. Możliwe, że ją spotkam, bo bardzo bym chciała, żeby pani ją poznała. O Boże! Jakie to cudowne auto! Więc tym autem teraz pojedzie-my? — zawołała nagle, gdy przystanęły przed wspianiałą limuzyną, której drzwiczki otwierał teraz szofer w liberii.

Szofer usiłował ukryć uśmiech, lecz mu się to nie bardzo udawało. Pani Carew odpowiedziała takim tonem, jakby auto było dla niej rzeczą całkiem obojętną i stanowiło tylko pewną lokomocję, dzięki której mogła się przemieszczać swobodnie z jednego miejsca na drugie.

— O, Boże, więc to pani auto? — zapytała Pollyanna, orientując się nagle, gdy spojrziała na swą opiekunkę. — Jakież ono cudowne! Więc pani musi być bogata, strasznie... chciałam powiedzieć: bardzo bogata, bogatsza nawet od tych ludzi, którzy mają dywany w każdym pokoju i jedzą w niedzielę lody, jak White'owie, to jest jedna z tych pań z towarzystwa dobroczynnego i jej mąż. Zawsze przypuszczałam, że oni są bogaci, lecz teraz wiem, że bogaty człowiek to taki, który ma brylantowe pierścionki, dużo służby, futer, suknie jedwabne i aksamitne na co dzień i do tego samochód. Czy pani ma to wszystko?

— Owszem, tak, przypuszczam, że mam — przyznała pani Carew z bladym uśmiechem.

— To pani jest naprawdę bardzo bogata — Pollyanna skinęła rezolutnie głową. — Moja ciotka Polly też ma to wszystko, tylko zamiast auta ma konie. O Boże, jak ja lubię jeździć samochodem — zachwyciła się Pollyanna z radosnym uśmiechem. — Właściwie dotychczas nigdy nie jechałam autem, tylko raz mnie samochód przejechał. Później wzięli mnie do tego samochodu, jak mnie spod niego wydobyli, ale oczywiście byłam nieprzytomna, więc nie mogłam się nawet cieszyć. Od tego czasu nigdy już więcej nie jeździłam. Ciotka Polly nie lubi samochodów. Wuj Tom bardzo lubi i nawet chciałby sobie kupić auto. Powiada, że jest mu ogromnie potrzebne do pracy. Jest lekarzem, jak pani wiadomo, a wszyscy inni lekarze w naszym mieście mają już samochody. Nie wiem, jak to będzie z tym autem, bo ciotka Polly jest strasznie uparta. Pragnęłaby bardzo, aby wuj miał to, czego chce, tylko chciałaby, żeby pragnął zawsze tego samego, czego ona pragnie. Rozumie pani?

Pani Carew zaśmiała się nagle.

— Tak, moja droga, sądzę, że rozumiem — odparła sztywno, chociaż w oczach jej ciągle jeszcze błyskały figlarne, tak rzadkie u niej ogniki.

— Oczywiście — westchnęła z zadowoleniem Pollyanna. — Wiedziałam, że pani zrozumie, chociaż mnie nie każdy zrozumieć potrafi. Ciotka Polly powiada, że nie chciałaby mieć auta nawet wówczas, gdyby jej auto było jedyne na świecie i gdyby nie miała już obawy, że jakieś może ją przejechać. O Boże! Jakie mnóstwo domów! — przerwała nagle, rozglądając się zdziwionymi oczami. — Czyż te domy nigdy się nie skończą? Naturalnie, musi ich być tak dużo, żeby ci wszyscy ludzie, których widziałam na dworcu i tu na ulicach mieli gdzie mieszkać. Tam, gdzie jest dużo ludzi, musi być i dużo domów. Bardzo lubię ludzi, a pani?

— Lubisz ludzi?

— No tak, ludzi. To znaczy lubię każdego, wszystkich.

— Ja bym tego o sobie powiedzieć nie mogła, Pollyanno — rzekła pani Carew chłodno, marszcząc brwi.

W oczach pani Carew nie było już tych ogników. Spojrzenie jej zwrócone teraz było podejrzliwie w stronę Pollyanny. Pani Carew myślała w duchu:

„A teraz będzie pierwsze kazanie, że należy przebywać wśród bliźnich, chociażby w ten sposób, jak moja siostra Della”.

— Pani nie lubi? Ach, szkoda — westchnęła Pollyanna. — Ludzie są tacy mili i tacy różni, wie pani? Przecież nawet tutaj musi być bardzo dużo miłych ludzi. Jestem ogromnie zadowolona, że tutaj przyjechałam! Z góry wiedziałam, że będę zadowolona, jeżeli będę z panią, to znaczy z siostrą panny Wetherby. Bardzo lubię pannę Wertherby i dlatego wiedziałam od razu, że i panią będę lubić. Wiedziałam, że pani musi być podobna do niej, przecież wszystkie siostry są do siebie podobne tak samo, jak pani Jones i pani Peck, chociaż później już nie były tak bardzo podobne z powodu tej brodawki. Ale pani nic o tym nie wie. Zaraz pani opowiem.

I tak się stało, że pani Carew, którą wszystko drażniło, a najbardziej nie lubiła dowiadywać się o obcych ludziach, ku swemu własnemu zdziwieniu wysłuchała historii o brodawce na nosie niejkiej pani Peck.

Zanim opowiadanie dobiegło do końca, limuzyna wjechała na Commonwealth Avenue i Pollyanna nagle zaczęła się zachwycać wspaniałą ulicą, na której był „taki piękny, długi dziedziniec, który przecinał ją przez sam środek” i która była jeszcze ładniejsza, jak stwierdziła, „po tych wszystkich wąskich uliczkach”.

— Jestem pewna, że wszyscy chcieliby na niej mieszkać. — zawołała w pewnej chwili z entuzjazmem.

— Prawdopodobnie, ale niestety, to byłoby niemożliwe — odpowiedziała pani Carew, marszcząc czoło.

Pollyanna, biorąc ten grymas swej opiekunki za wyraz niezadowolenia z tej przyczyny, że jej własny dom nie znajdował się na tej pięknej ulicy, pospieszyła z zapewnieniami.

— Ależ nie, oczywiście że nie — uspokajała. — Nie uważam wcale, że te węższe uliczki są takie brzydkie. Może nawet wygodniejsze są pod pewnym względem, bo o wiele łatwiej przedostać się na drugą stronę, gdy się chce kupić w sklepiku jajka lub chleb... Ach, więc pani też tutaj mieszka? — zdziwiła się nagle, gdy auto przystanęło przed wspaniałą bramą domu pani Carew. — Więc pani tutaj mieszka?

— Ależ tak, oczywiście, że tu mieszkam — odparła dama najwyraźniej zirytowana.

— Ach, jaka pani musi być szczęśliwa, że może pani mieszkać w tak cudownym miejscu! — zawołała dziewczynka, wyskakując na chodnik i rozglądając się gorączkowo dokoła. — Jest pani szczęśliwa?

Pani Carew nie odpowiedziała. Bez uśmiechu, ze zmarszczonymi brwiami wysiadła z limuzyny.

Po raz drugi w ciągu pięciu minut Pollyanna usiłowała ją uspokoić.

— Nie miałam na myśli tego, żeby pani miała być grzesznie dumna — wyjaśniła, spoglądając w twarz pani Carew niespokojnym wzrokiem. — Może mnie pani właśnie o to posądzała, jak czasami posądza mnie o taki grzech ciotka Polly. Brzydko jest być zadowolonym z posiadania czegoś, czego inni nie mają, ale przyjemnie odczuwać tego rodzaju zadowolenie, kiedy się chce krzyknąć i zawiadomić cały świat o tym, że się ma coś bardzo miłego — dodała, podskakując na palcach.

Szofer odwrócił się pośpiesznie, udając, że zajęty jest czymś wewnątrz auta. Pani Carew ciągle jeszcze bez uśmiechu, z nachmurzoną twarzą, skierowała się w stronę szerokich, kamiennych schodów.

— Chodź, Pollyanno — rozkazała krótko i stanowczo.

*

W pięć dni później Della Wetherby otrzymała list od siostry i z niecierpliwością otworzyła kopertę. Była to pierwsza wiadomość, jaka nadeszła od przyjazdu Pollyanny do Bostonu.

„Moja droga siostrzyczko” — pisała pani Carew. — „Na miłość boską, Dello, dlaczego nie uprzedziłaś mnie, czego mogę się spodziewać po dziecku, które pod twoją presją przyjechałam do swego domu? Zaczynam po prostu szaleć, a nie mogę się jej przecież pozbyć tak bez powodu. Próbowałam już trzykrotnie, lecz za każdym razem, nim zdążę wypowiedzieć słowo, ta mała zawsze mi przerywa, zachwycając się swoją obecną sytuacją, opowiadając, jak jej u mnie dobrze, jaka jest zadowolona i jaka ja jestem dobra, że pozwoliłam jej przyjechać do siebie na ten czas, kiedy jej ciotka Polly przebywa w Niemczech. Powiedz sama, czy mogę w takim wypadku wyjawić jej to, co myślę? Czy mogę powiedzieć jej: »Proszę cię, może byś pojechała do domu, bo mnie jesteś niepotrzebna«. Najstraszniejsze jest to, że temu dziecku nawet na chwilę nie przyjdzie do głowy, że goszczę ją u siebie z taką niechęcią, a ja jej tej myśli wcale nie podsuwam.

Oczywiście, gdyby zaczęła mi prawić jakieś kazania na temat moich grzechów, z pewnością odesłałabym ją natychmiast. Zapowiedziałam Ci na samym początku, że kazań jej nie zniosę i nie zniosłabym na pewno. Już kilkakrotnie miałam wrażenie, że właśnie jakieś kazania się rozpoczną, lecz zazwyczaj w takich sytuacjach zaczyna mi w najniewinniejszy sposób opowiadać o paniach z dobroczynności. Mądrze robi, jeżeli chce dłużej tutaj zostać.

Ale naprawdę, Dello, ona jest niemożliwa. Przede wszystkim w dziki sposób zachwyca się moim domem. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe zaczęła mnie błagać, żebym jej otworzyła wszystkie pokoje i zadowolona była dopiero wówczas, gdy mogła swobodnie obejrzeć »te wszystkie precudne rzeczy«, które, jak twierdzi, są o wiele ładniejsze od tego, co widziała u pana Johna Pendletona — najwidoczniej musi to być ktoś, kto mieszka w Beltingsville. W każdym razie nie należy on do Towarzystwa Dobroczynnego, co do tego upewniłam się dokładnie.

Poza tym nie wystarcza jej bieganie z pokoju do pokoju, bo oto wczoraj znalazła gdzieś moją białą wieczorową suknię, której od wielu lat nie nosiłam, przybiegła do mnie i zaczęła mnie prosić, abym ją włożyła. Włożyłam suknię oczywiście, sama nie wiem dlaczego, ale po prostu jestem bezradna w jej obecności.

Ale to był dopiero początek. Później chciała zobaczyć wszystko, co mam i była taka zabawna, jak zaczęła opowiadać o swym życiu w domu Towarzystwa Dobroczynności, że mimo woli musiałam się śmiać, chociaż w zasadzie powinnam była płakać na samą myśl o tym, jakie to dziecko jednak było biedne. Oczywiście po obejrzeniu sukien przeszła do biżuterii i taka była oczarowana moimi trzema pierścionkami, że zgłupiałam do reszty i otworzyłam kasetkę, żeby się mogła nasycić widokiem klejnotów. Wiesz, Dello, myślałam, że to dziecko zwariuje. Ubierała mnie w każdy pierścionek z oddzielną, w każdą broszkę, bransoletkę i naszyjnik i chciała nawet włożyć mi na głowę brylantowy diadem przystrojony perłami i szmaragdami. W końcu zgodziłam się i na to i czułam się jak jakaś z bogini w hinduskiej świątyni. Na domiar wszystkiego Pollyanna zaczęła tańczyć dokoła mnie, klaszcząc w ręce i wysławiając: »Ach, jak cudownie, jak cudownie! Mogłabym panią teraz zawiesić w oknie w świetle słońca, takie piękne rozsiewa pani tęczowe widma!«

Miałam zamiar już zdjąć te wszystkie świecidełka z siebie, gdy nagle Pollyanna rzuciła się na podłogę i zaczęła płakać. Jak przypuszczasz, dlaczego płakała? Płakała dlatego, że radowała się, iż posiada oczy, którymi może widzieć! Co teraz powiesz na to?

Oczywiście to jeszcze nie wszystko. To dopiero początek. Pollyanna jest u mnie dopiero cztery dni i ani chwilki nie ma wolnego czasu. Zaprzyjaźniła się już ze wszystkimi. Najlepszymi jej przyjaciółmi są: kominiarz, policjant z rogu i mały gazeciarz, nie mówiąc już o mojej własnej służbie. A musisz wiedzieć, że służba jest nią zachwycona. Nie myśl tylko, że i ja podzielałam ten zachwyty. Chętnie odesłałabym tę małą z powrotem do Ciebie, gdyby nie to,

że obiecałam zatrzymać ją przez całą zimę. Jeżeli sądzisz, że przy niej zdołam zapomnieć o moim Jamiem, to zaręczam Ci, że to niemożliwe. Właśnie w jej obecności odczuwam jeszcze dotkliwiej moją wielką stratę, dlatego, że mam ją zamiast niego. Ale powiadam Ci, że zatrzymam ją, dopóki mi się zbyt-
nio nie naprzykrzy. Jak zaczniesz mi prawić kazania, pojedzie natychmiast, tymczasem jednak jeszcze się na to nie zdobyła.

Całuję Cię mocno, Twoja
Ruta”.

— Jeszcze się na to nie zdobyła! — uśmiechnęła się do siebie Della Wertherby, składając list siostry i chowając go do kieszeni. — Ach, Rutko, Rutko! Więc sama przyznajesz się, że otworzyłaś dla niej wszystkie pokoje, żeś się ubrała w białą jedwabną suknię i w klejnoty, a przecież Pollyanna jest u ciebie dopiero niecały tydzień. Ale kazań jeszcze prawić nie zaczęła i jestem pewna, że nie zacznie!

ROZDZIAŁ IV. PANI CAREW I „GRA W ZADOWOLENIE”

Boston dla Pollyanny był czymś całkiem nowym i prawdopodobnie Pollyanna dla Bostonu — w kręgu małego światka, w którym się obracała — była też całkiem niepowszednim typem.

Twierdziła, że jej się Boston podoba, lecz wolałaby, żeby był nieco mniejszy.

— Bo widzi pani — tłumaczyła poważnie pani Carew, nazajutrz po przyjeździe — chciałabym go całego poznać i wszystko w nim zobaczyć, a nie będę mogła. To zupełnie jak z tymi proszonymi obiadami u ciotki Polly. Zawsze jest tak dużo do jedzenia... chciałam powiedzieć do patrzenia, że nie można nic jeść... to znaczy nic zobaczyć. I trudno się zdecydować, co właściwie należałoby wybrać.

— Oczywiście należy być zadowolonym, że jest tego wszystkiego takie mnóstwo — rozumowała po chwili, zacerpnąwszy w piersi powietrza — bo wszystko, co się widzi jest piękne, wszystko jest dobre, nie takie, jak lekarstwa albo pogrzeby! Ale z drugiej strony wolałabym, żeby prośzone obiady u ciotki Polly były podzielone na kilka dni, nawet na takie dni, kiedy na zwykły obiad nie ma deseru. Tak samo uważam, jak myślę o Bostonie. Chciałabym część Bostonu zabrać ze sobą do Beldingsville, ażeby pozostało mi coś na przyszłe lato. Oczywiście, to jest niemożliwe. Miasta nie są takie, jak mrożone ciastka, chociaż i ciastka zbyt długo się nie trzymają. Chciałby je człowiek przechować, a tu się wszystko rozpущa i psuje. Lepiej już zjeść wtedy, gdy są świeże, więc lepiej chyba będzie, jak obejrzę Boston, dopóki jestem tutaj.

Zupełnie inaczej niż wszyscy ludzie, którzy uważają, że świat należy zwiedzać od najdalszego jego krańca, Pollyanna zaczęła „ogłądać Boston”, rozpoczynając od najbliższego otoczenia, to znaczy od pięknej rezydencji na Commonwealth Avenue, która była teraz jej domem. Oglądanie to oraz praca w szkole pochłaniały cały jej czas i uwagę przez dobrych kilka dni.

Tyle było do zobaczenia i tyle do nauczenia się, a wszystko było takie piękne, takie zadziwiające, począwszy od małych guziczków w ścianie, dzięki którym w pokoju robiło się widno, aż do wielkiej zacisznej sali balowej, w której wisiało mnóstwo lusterek i obrazów. Poza tym tyle ciekawych ludzi należało poznać, bo przecież oprócz pani Carew, była jeszcze Mary, która sprzątała pokoje, zjawiała się na każdy dzwonek i odprowadzała Pollyannę do szkoły i z powrotem do domu, była Bridget, która mieszkała w kuchni i gotowała, była Jennie, która usługiwała przy stole i Perkins, który prowadził samochód. A wszyscy oni byli tacy inni i tacy sympatyczni!

Pollyanna przyjechała w poniedziałek, więc prawie cały tydzień miała jeszcze przed sobą do pierwszej niedzieli. W niedzielę rano zeszła na dół w najlepszym ze swoich humorów.

— Strasznie kocham niedzielę — westchnęła z zadowoleniem.

— Istotnie? — głos pani Carew był dziwnie matowy, bo ona przecież żadnego dnia nie darzyła specjalną sympatią.

— Tak, ze względu na kościół i na szkołę niedzielną. Co pani woli, kościół czy niedzielną szkołę?

— Naprawdę, ja... — zaczęła pani Carew, która rzadko chodziła do kościoła, a do szkoły niedzielnej nie uczęszczała nigdy.

— Trudny jest wybór, prawda? — przerwała Pollyanna, patrząc na nią bardzo poważnymi i bardzo błyszczącymi oczami. — Ale ja właściwie wolę kościół ze względu na tatusia. Wie pani o tym, że mój tatuś był pastorem, a teraz na pewno jest w niebie razem z mamusią i resztą mego rodzeństwa, ale ja sobie prawie zawsze wyobrażam, że jest tutaj na ziemi i łatwiej mi sobie to wyobrazić w kościele, gdy ksiądz mówi kazanie. Wtedy zamykam oczy i wyobrażam sobie, że to mój tatuś mówi i to mi bardzo pomaga. Strasznie jestem zadowolona, że mogę sobie rozmaite rzeczy wyobrażać, a pani?

— Nie jestem tego pewna, Pollyanno.

— Ach, niech pani tylko pomyśli, o ile piękniejsze są te rzeczy, które sobie wyobrażamy, niż te prawdziwe. Oczywiście, może pani prawdziwe rzeczy piękniejsze są od tych, które ja sobie wyobrażam.

Pani Carew poruszyła gniewnie głową, pragnąc coś powiedzieć, lecz Pollyanna pośpiesznie szczebiotała dalej.

— Chociaż i moje rzeczy prawdziwe są nieraz bardzo piękne. Ale przez cały ten czas, gdy byłam chora, gdy nie mogłam chodzić, zawsze sobie coś wyobrażałam i było mi o wiele przyjemniej. A i teraz często wyobrażam sobie coś, na przykład tatusia i inne rozmaite rzeczy. Nawet i dzisiaj będę sobie wyobrażała, że to tatuś stoi na ambonie. A o której pójdziemy?

— Pójdziemy?

— No tak, do kościoła.

— Ależ, Pollyanno, ja nie... to znaczy, ja właściwie... — pani Carew chrząknęła, pragnąc wytłumaczyć Pollyannie, że w ogóle nie ma zamiaru pójść do kościoła, bo w zasadzie nigdy do kościoła nie chodzi, lecz widząc przed sobą poważną twarzyczkę dziewczynki i jej pełne radości oczy, nie mogła się jakoś zdobyć na te słowa.

— Przypuszczam, że pójdziemy po dziesiątej — rzekła po chwili, pałając gniewem. — Do kościoła mamy bardzo niedaleko.

I to było przyczyną, dla której pani Carew owego pogodnego wrześniowego ranka zasiadła po raz pierwszy od wielu miesięcy w ławce rodziny Carew, w bardzo nowoczesnym i bogatym kościele, do którego przychodziła, będąc małą dziewczynką, i który w późniejszych latach całkiem świadomie omijała.

Dla Pollyanny to niedzielne poranne nabożeństwo było przeżyciem całkiem niezwykłym. Wspaniały śpiew na chórze, blask słoneczny przenikający przez cudowne witraże okien, opanowany głos kaznodziei i słowa modlitwy powtarzane przez tłum wiernych, pozostawiły w jej pamięci wrażenie niezatarte. Dopiero gdy zbliżały się do domu, Pollyanna ośmieliła się odezwać.

— Ach, proszę pani, właśnie myślałam o tym, jaka jestem zadowolona, że jeszcze kiedyś znowu będę na takim nabożeństwie.

Pani Carew zmarszczyła brwi i spojrzała ostro na małą. Pani Carew nie była w najlepszym humorze. Wygłoszonego przez księdza kazania nie słuchała zupełnie i nie przeniknęło ono do jej świadomości, tak jak przenikało do świadomości dziecka. A poza tym ta dziwna teoria małej przypominała jej śmieszne doktryny siostry Delli. Czyż Della nie powtarzała zawsze: „Życie jest jedną chwilą, a ty, Rutko, nie potrafisz z tej chwili skorzystać!”

— No i co? — zapytała pani Carew, jakby od niechcenia.

— Zastanawiam się tylko nad tym, co by było, gdybym musiała przeżyć wczoraj, dziś i jutro od razu — westchnęła Pollyanna. — Przecież byłoby to takie mnóstwo pięknych rzeczy. Ale miałam to wszystko wczoraj, żyję dzisiaj i mam przed sobą jutro, a później przyszlą niedzielę. Naprawdę, proszę pani, gdyby to nie była niedziela i gdybyśmy nie byli teraz na ulicy, musiałabym tańczyć i śpiewać z radości. Taka już jestem, że nie umiem się opanować. Ale ponieważ jest niedziela, więc zaczekam, aż będziemy w domu i wtedy dopiero zaśpiewam sobie hymn, ten hymn najradośniejszy, jaki sobie mogę przypomnieć. Jaki jest najradośniejszy hymn? Czy pani wie?

— Nie, nie wiem — odpowiedziała pani Carew cicho, rozglądając się dokoła, jakby szukała czegoś, co straciła.

W poniedziałek, nazajutrz rano, Pollyanna poszła do szkoły po raz pierwszy zupełnie sama. Znała już drogę doskonale, a do szkoły było bardzo niedaleko. Pollyanna ogromnie lubiła szkołę. Szkoła, do której uczęszczała, była małą, prywatną szkółką dla dziewcząt, a dla Pollyanny była w swoim rodzaju także zupełnie czymś nowym. Trzeba pamiętać o tym, że Pollyanna lubiła rzeczy nieznanne i emocjonujące.

Pani Carew jednak nie lubiła ciekawych przygód ani doświadczeń, a ostatnimi dniami zaznała ich mnóstwo. Dla kogoś, kto jest już wszystkim zmęczony, kogo męczy stałe towarzystwo czyjejś osoby, drażniąca jest czyjaś radość i wszystko dokoła staje się irytujące. Pani Carew była więcej niż zirytowana. Ogarniała ją po prostu pasja. Jednak w głębi duszy sama nie знаła przyczyny i gdyby ją ktoś zapytał, dlaczego jest zdenerwowana, jedyny powód, jaki potrafiłaby podać, brzmiałby: „Dlatego, że Pollyanna jest taka zadowolona”. Ale nawet samej pani Carew wydawało się niemożliwe, aby podać wprost taką przyczynę.

Do Delli jednak pani Carew napisała, że wyraz „zadowolenie” gra jej już na nerwach i że chwilami odczuwa pragnienie, aby tego wyrazu mogła więcej nie słyszeć. Przyznawała jednak, że Pollyanna ani razu nie próbowała wygłaszać jej kazania i nie usiłowała również wciągać jej do swojej sławetnej gry. To wszystko wszakże, co dziewczynka robiła, było wyraźnym usiłowaniem podzielenia się z panią Carew uczuciem „zadowolenia”, a dla osoby, która nigdy zadowolona nie była, wysiłki dziecka sprawiały wrażenie prowokacji.

Podczas następnego tygodnia pobytu Pollyanny zirytowanie pani Carew przeistoczyło się w pełną zniecierpliwienia pasję. Główną przyczyną tego było ustawiczne opowiadanie przez Pollyannę rozmaitych epizodów z życia pań z dobroczynności.

— Ale później już grały ze mną w „zadowolenie”, proszę pani. Chociaż pani pewno tej gry nie zna. Muszę pani wytłumaczyć. Strasznie przyjemna jest ta gra.

Lecz pani Carew podniosła w górę ręce, jakby się chciała bronić.

— Daj spokój, Pollyanno — zawołała. — Znam doskonale tę grę. Siostra opowiadała mi o niej i muszę przyznać, że... że nic mnie ona nie obchodzi.

— Dlaczegoż to, proszę pani? — zdziwiła się Pollyanna, a po chwili już pragnęła się usprawiedliwić. — Przecież ja wcale nie myślałam o tej grze dla pani, bo pani i tak nie mogłaby w nią grać.

— Nie mogłabym w nią grać! — zawołała pani Carew, która, aczkolwiek nie miała ochoty na tę głupią grę, nie mogła znieść tego, że ktoś śmiał podejrzewać, iż cośkolwiek w życiu było dla niej niemożliwe.

— Jak to, a pani tak nie uważa? — zaśmiała się radośnie Pollyanna. — Gra polega na tym, że należy znaleźć we wszystkim coś takiego, z czego można by było być zadowolonym. Przecież pani do tego się zupełnie nie nadaje, bo nie ma takiej rzeczy na świecie, z której by pani była zadowolona. Jednym słowem, ta gra jest nie dla pani. Czy nie mam racji?

Pani Carew zarumieniła się gniewnie. W swym oburzeniu powiedziała więcej, niż zamierzała powiedzieć.

— Wcale tak nie sędzę, Pollyanno — odezwała się chłodno. — Tak się już jakoś układa, widzisz, że nie mogę znaleźć nic takiego, coby mi dało zadowolenie.

Pollyanna przez chwilę milczała w głębokiej zadumie, po czym odrzuciła w tył główkę ze zdziwieniem.

— A dlaczego, proszę pani? — ośmieliła się zapytać.

— Bo czyż istnieje dla mnie coś takiego? — wyszeptała pani Carew, zapominając na chwilę o tym, że nie powinna prowokować Pollyanny do wygłaszania kazań.

— Owszem, istnieje, wszystko istnieje dla pani — zapewniła Pollyanna jeszcze ciągle niedowierzającym tonem. — Ma pani... ma pani taki piękny dom...

— W którym mogę jeść i spać, a mnie to nie wystarcza.

— Ale ma pani w tym domu tyle cudownych rzeczy — podchwyciła znów Pollyanna.

— Te wszystkie piękne rzeczy już mi obrzydły.

— I ma pani auto, którym może pani wszędzie jeździć.

— Ale nie mam ochoty na podróże.

Pollyanna aż zachłysnęła się ze zdziwienia.

— Ale proszę pomyśleć, ilu ciekawych ludzi mogłaby pani zobaczyć!

— Nie interesują mnie ludzie, Pollyanno.

Pollyanna znowu zamyśliła się na chwilę. Wyraz smutku na jej twarzyczce pogłębił się jeszcze bardziej.

— Właściwie nie rozumiem, proszę pani — odezwała się po chwili. — Dla tych ludzi, którzy mają samo zło, byłaby dobra moja gra, bo chodzi o to, żeby we wszystkim, co jest złe, mogli znaleźć coś przyjemnego. Ale tutaj, gdzie nie ma rzeczy złych, to naprawdę nie wiem, czy sama potrafię grać w moją grę.

Tym razem nie było odpowiedzi. Pani Carew siedziała, spoglądając uporczywie w okno. Wyraz gniewu zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca bezradnemu smutkowi. Odwróciła głowę bardzo wolno i rzekła:

— Pollyanno, myślałam, że nie będę mogła ci o tym powiedzieć, lecz teraz zdecydowałam inaczej. Pragnę ci powiedzieć, dlaczego nie istnieje dla mnie nic na świecie, coby mi mogło dać zadowolenie. — I opowiedziała Pollyannie historię małego Jamiego, czteroletniego chłopca, który przed ośmiu laty zaginął i więcej już nigdy nie wrócił.

— I od tego czasu nigdy go pani więcej nie widziała? — zapytała szeptem Pollyanna, a w oczach jej ukazały się łzy, gdy pani Carew skończyła opowiadanie.

— Nigdy.

— Ale my go znajdziemy, proszę pani, jestem pewna, że go znajdziemy.

Pani Carew ze smutkiem potrząsnęła głową.

— Niestety, to niemożliwe. Szukałam wszędzie, nawet za granicą.

— Przecież gdzieś musi być.

— Możliwe, że już nie żyje, Pollyanno.

Pollyanna wydała okrzyk rozpacz.

— Ach, nie, proszę pani. Proszę tak nie mówić! Proszę sobie wyobrazić, że on żyje. To na pewno pani pomoże. Z chwilą gdy wyobrazimy sobie, że żyje, będziemy mogli wyobrazić sobie także, że go znajdziemy, a wówczas będzie to bardzo pomocne.

— Ja się jednak lękam, że on nie żyje, Pollyanno — jęknęła pani Carew.

— Ale pani na pewno tego nie wie, prawda? — pytała niespokojnie dziewczynka.

— Nie.

— Wobec tego trzeba sobie koniecznie wyobrazić — zawołała Pollyanna z triumfem. — Jeżeli wyobraża sobie pani, że umarł, to tak samo może pani sobie wyobrazić, że żyje, a przecież to drugie będzie o wiele przyjemniejsze. Czy nie mam racji? Jestem pewna, że któregoś dnia go odnajdziemy. Jakże się cieszę, bo teraz wreszcie będzie pani mogła grać w moją grę! Będzie pani w nią grała dla dobra Jamiego. Będzie pani codziennie zadowolona, bo przecież każdy dzień zbliża nas do tej chwili, kiedy go odnajdziemy, rozumie pani?

Ale pani Carew nie rozumiała. Wstała ociężale z krzesła i odparła:

— Nie, nie, moje dziecko! Ty mnie nie rozumiesz, nie rozumiesz mnie absolutnie. Idź sobie teraz i poczytaj trochę, a resztą możesz robić, co ci się podoba. Mam okropną migrenę i muszę się położyć.

Pollyanna z zasmuconą twarzą wolno wyszła z pokoju.

ROZDZIAŁ V. POLLYANNA WYBIERA SIĘ NA SPACER

Było to w drugą sobotę po południu, gdy Pollyanna wybrała się na pamiętny spacer. Dotychczas nigdy nie spacerowała sama, z wyjątkiem krótkiej drogi do szkoły i z powrotem. To, że kiedykolwiek na własną rękę zwiedzi ulice Bostonu, nie powstałoby nigdy w głowie pani Carew i dlatego też nigdy z nią na ten temat nie mówiła. W Beldingsville jednakże, szczególnie z początku, Pollyanna znajdowała wielką przyjemność w spacerowaniu po uliczkach miasteczka, zajęta poszukiwaniem nowych przyjaciół i nowych przygód.

Właśnie owej soboty po południu pani Carew powiedziała, jak zwykła mawiać często:

— Idź, idź, moje dziecko. Rób, co ci się podoba. Tylko proszę cię, nie zadawaj mi dzisiaj więcej pytań!

Do tej pory Pollyanna, pozostawiona samej sobie, znajdowała zawsze mnóstwo ciekawych zajęć w obszernych i miłych pokojach, a poza tym miała towarzystwo w osobach Mary, Jennie, Bridget i Perkinsa. Dzisiaj jednakże Mary głowa bolała, Jennie zajęta była przymierzaniem nowego kapelusza, Bridget piekła placek z jabłkami, a Perkinsa dziewczynka nigdzie znaleźć nie mogła. Poza tym był wyjątkowo piękny wrześnieowy dzień i nic wewnątrz domu nie mogło być tak urocze, jak jasne promienie słońca i świeży po-

wiew wietrzyka na dworze. Pollyanna wyszła więc z domu i szybko zbiegła po kilkunastu szerokich, kamiennych stopniach.

Przez pewien czas obserwowała w milczeniu ładnie ubranych mężczyzn, kobiety i dzieci, którzy przechodzili obok domu lub też wolniejszym krokiem kierowali się w stronę parku, do którego wchodziło się z tej samej Avenue. Potem Pollyanna uczyniła śmiałe postanowienie, zdecydowała się zejść na chodnik i zaczęła się rozglądać, najpierw na prawo, potem na lewo.

Zdecydowała, że i ona właściwie mogłaby pójść na spacer. Pogoda była wyjątkowo prześliczna, a właściwie do tej pory jeszcze Pollyanna nie odbyła żadnego prawdziwego spaceru. Krótka odległość do szkoły i z powrotem zasadniczo nie liczyła się. Trzeba przecież któregoś dnia się zdecydować. Pani Carew na pewno nie będzie się gniewała. Czyż nie powiedziała jej, że może robić, co jej się żywnie podoba, byleby nie zadawała tych ciągłych, natarczywych pytań? Pollyanna miała przed sobą całe długie popołudnie. I pomyśleć tylko, ile ciekawych rzeczy w takie popołudnie można zobaczyć. Pogoda była wyjątkowo sprzyjająca. Pójdzie na przykład — tędy! Cóż za radość i rozkosz prawdziwa. Pollyanna bez chwili wahania wolnym krokiem skierowała się w dół alei.

Patrząc w oczy spotykanych przechodniów, uśmiechała się radośnie. Była rozczarowana — broń Boże nie zdziwiona — że w odpowiedzi nikt nie obdarzył jej uśmiechem. Właściwie już przyzwyczała się do tego w Bostonie. Ciągle jeszcze uśmiechała się pełną nadziei, że może spotka kogoś takiego, kto potrafi odwzajemnić się jej uśmiechem.

Dom pani Carew znajdował się na początku Commonwealth Avenue, toteż w krótkim czasie Pollyanna znalazła się na samym skraju tej ulicy, postanawiając przejść na przeciwną stronę. Tam, po przeciwnej stronie, spowity w czar słonecznej jesieni znajdował się bostoński park publiczny, który Pollyanna nazywała zawsze „dziedzińcem”.

Na chwilę Pollyanna zawahała się, obejmując tęsknym wzrokiem wspaniałe drzewa i krzewy, rosnące tuż przed nią. Nie wątpiła ani na chwilę, że ten cudny ogród musiał należeć do jakiegoś bogatego pana lub pani. Raz, podczas pobytu w lecznicy doktora Ames, zabrano ją na wizytę do pewnej pani, która mieszkała w prześlicznym domu, otoczonym takim właśnie ogrodem.

Miała teraz wielką ochotę zbliżyć się do tego parkanu, lecz zastanawiała się jeszcze, czy ma prawo tam wejść. Właściwie inni wchodziłi, widziała to na własne oczy, ale mogli to być przecież zaproszeni goście. Gdy zobaczyła jednak dwie panie, jednego pana i małą dziewczynkę, mijających bez wahania bramę i idących główną aleją, doszła do wniosku, że i ona powinna się odważyć. Postanowiła spróbować, przebiegła szybko przez jezdnię i weszła do ogrodu.

Ogród był o wiele piękniejszy z bliska, niż z poprzedniej odległości. Ptaki ćwierkały nad głową Pollyanny, a wiewiórka skakała po ścieżce, jakby umykając spod jej nóg. Na ławkach tu i tam siedzieli panowie, panie i dzieci. Poprzez konary drzew przedzierał się blask słoneczny, rzucając refleksy na spokojną taflę wody, a ze wszystkich stron dochodziły okrzyki dzieci i dźwięki muzyki.

Teraz po raz drugi Pollyanna zawahała się, po czym trochę nieśmiało podeszła do pięknie ubranej młodej pani, która kierowała się w stronę bramy.

— Proszę pani, czy to jest przyjęcie? — zapytała.

Młoda pani spojrzała na nią zdziwiona.

— Przyjęcie? — powtórzyła, nic nie rozumiejąc.

— Tak. To znaczy, chciałam zapytać, czy mam prawo wejść tutaj?

— Czy masz prawo wejść tutaj? Ależ oczywiście. Tu każdy może wchodzić! — wytłumaczyła młoda pani.

— Ach, doskonale. Jaka jestem szczęśliwa, że tu przyszłam — uradowała się Pollyanna.

Młoda pani nic więcej nie rzekła, lecz odwróciła się i spojrzała za Pollyanną, gdy ta biegła już szeroką alejką.

Pollyanna nie zdziwiona zupełnie, że właściciel tego pięknego ogrodu jest tak wspaniałomyślny, że urządza przyjęcie dla wszystkich, szła ciągle odważnie przed siebie. Na zakręcie alejki natknęła się na małą dziewczynkę, wiozącą w wózek lalkę. Przystanąła z radosnym okrzykiem, lecz nie powiedziała jeszcze wielu słów, gdy nagle zza jakiegoś

krzewu wybiegła młoda pani śpiesznym krokiem, z niezadowoloną miną. Młoda pani chwyciła dziewczynkę za rękę i zawołała ostro:

— Gladys, Gladys, chodź zaraz do mnie. Czyż ci mama nie mówiła, żebyś nie rozmawiała z obcymi dziećmi?

— Ależ ja nie jestem obcym dzieckiem — usprawiedliwiła się Pollyanna gorączkowo. — Mieszkam tutaj w Bostonie i... — lecz młoda pani i mała dziewczynka wraz z lalką siedzącą w wózek, były już bardzo daleko na ścieżce. Pollyanna, westchnąwszy głęboko, przystanąła. Przez chwilę stała spokojnie, najwyraźniej rozczarowana, po czym podniosłszy rezolutnie główkę, ruszyła dalej.

— W każdym razie powinnam być z tego zadowolona — rzekła do siebie — bo teraz może spotkam kogoś miłszego — może Zuzię Smith albo nawet małego Jamie pani Carew. Muszę sobie chociaż wyobrazić, że ich spotkam, a jeżeli nie ich, to na pewno spotkam kogoś! — dorzuciła, błędząc wciąż zaciekawionym wzrokiem po twarzach mijających ją przechodniów.

Niewątpliwie Pollyanna była samotna. Wychowana przez ojca i panie z Towarzystwa Dobroczynności, w małym miasteczku na Zachodzie, uważała każdy dom w miasteczku za swój dom, a każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko za swych przyjaciół. Przybywszy do swej ciotki, mieszkającej w Vermont, w jedenastym roku życia, orientowała się, że warunki zmieniły się o tyle, że tutaj znajdzie nowe domy i nowych przyjaciół, może o wiele miłszych, bo będą w każdym razie „inni”, a Pollyanna tak lubiła „inne” rzeczy i „innych” ludzi! Największą jej rozkoszą w Beldingsville było chodzenie po miasteczku i składanie wizyt tym wszystkim przyjaciołom, których niedawno poznała. Zupełnie więc naturalne, że Boston od pierwszego wejrzenia wydał się Pollyannie jeszcze bardziej obiecujący, mający możliwość dostarczenia jej wszelkich ciekawych atrakcji.

Tym razem jednak Pollyanna musiała przyznać, że Boston ją rozczarował. Przebywała tutaj już prawie dwa tygodnie, a nie знаła jeszcze ludzi, którzy mieszkali na tej samej ulicy, czy w najbliższym sąsiedztwie. Najdziwniejsze było to, że pani Carew także ich prawie nie znała. Okazywała właściwie zupełną obojętność w stosunku do swych sąsiadów, którzy z punktu widzenia Pollyanny byli przecież ludźmi naprawdę interesującymi i chociaż usiłowała przekonać o tym panią Carew, wszelkie jej wysiłki w tym kierunku na nic się zdały.

— Ludzie mnie nie interesują, Pollyanno — odpowiadała zazwyczaj opiekunka i Pollyanna, którą ludzie bardzo interesowali, musiała się tą odpowiedzią zadowolić.

Dzisiaj na spacerze Pollyanna była przepelniona nadzieją i nie liczyła się absolutnie, że spotka ją rozczarowanie. Dokoła niej znajdowali się ludzie, którzy bez wątpienia musieli być szalenie mili, gdyby ich Pollyanna mogła bliżej poznać. Ale niestety nie znała tu nikogo. Co gorsza, ludzie ci nie starali się wcale, aby ich poznała i najwidoczniej sami nie mieli najmniejszej ochoty do zawarcia z nią znajomości. Pollyanna jeszcze ciągle przypominała sobie surowe ostrzeżenie piastunki na temat „obcych dzieci”.

— Muszę koniecznie ich wszystkich przekonać, że nie jestem żadnym obcym dzieckiem — rzekła wreszcie do siebie, idąc wciąż odważnie naprzód.

Przejęta tą myślą, uśmiechała się serdecznie do wszystkich, a jeszcze serdeczniej uśmiechnęła się do następnej spotkanej osoby, zagadując swobodnie:

— Piękną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż?

— Hm... co takiego? O tak, owszem — mruknęła dama, do której te słowa były zwrócone, przyspieszając jednocześnie kroku.

Jeszcze dwukrotnie Pollyanna próbowała tego eksperymentu, lecz za każdym razem bez rezultatu. Wkrótce dotarła do małej sadzawki, którą widziała z daleka ozłoconą promieniami słońca. Piękna to była sadzawka i na jej powierzchni kołysało się kilka małych łódek, z których dochodziły rozradowane śmiechy dziecięce. Obserwując te łódki, Pollyanna była coraz bardziej niezadowolona z tego, że jest taka samotna. W tej samej chwili dostrzegła mężczyznę, siedzącego również samotnie w pobliżu, skierowała się w jego stronę i przysiadła na przeciwnym końcu ławki. Usiadłszy, poczęła bez wahania przysuwać się do nieznanego, pragnąc z nim zawrzeć znajomość, pewna, że chętnie ten odruch z jej strony przyjmie. Spojrzała nań, przejęta zaufaniem.

Jeśli chodzi o zewnętrzny wygląd, nie przedstawiał się nadzwyczajnie. Ubranie jego, choć nie zniszczone, zakurzone było i sprawiało wrażenie zaniedbania. Każdy, kto spoj-

rzałby na to ubranie (Pollyanna mało się na tym znała), zorientowałaby się od razu, że jegomość ten jest więźniem, niedawno wypuszczonym na wolność. Twarz miał bladą, porośniętą niegolonym od kilku tygodni zarostem. Kapelusz o szerokim rondzie opadał mu na oczy, ręce trzymał w kieszeniach i z pochyloną głową siedział, wzrok mając utkwiony w ziemi.

Przez dłuższą chwilę Pollyanna nic nie mówiła, potem jednak odezwała się pełna nadziei:

— Piękną mamy dzisiaj pogodę, nieprawdaż?

Mężczyzna odwrócił głowę z widocznym przerażeniem.

— Co? Ach... Co powiedziałaś? — zapytał zdziwiony, że ta uwaga była zwrócona do niego.

— Mówiłam, że piękną mamy pogodę — wyjaśniła Pollyanna z pełną powagą — lecz właściwie ta sprawa tak mnie bardzo nie obchodzi. To znaczy, oczywiście zadowolona jestem z pogody, ale powiedziałam to tylko dlatego, żeby zacząć rozmowę, wkrótce będę mówić o czymś innym, o czymś zupełnie innym. Chciałam tylko z panem o czymś porozmawiać, o czymkolwiek, rozumie pan?

Mężczyzna zaśmiał się niezbyt przyjaźnie. Nawet w uszach Pollyanny śmiech ten zabrzmiał trochę dziwnie, chociaż nie wiedziała, że śmiech na ustach tego człowieka był w ciągu ostatnich miesięcy bardzo rzadkim gościem.

— Więc chcesz, żebym z tobą rozmawiał, naprawdę? — zapytał jakby ze smutkiem. — Sam nie wiem, co ci z tego przyjdzie. Przypuszczam, że taka miła panienka, jak ty, może znaleźć wielu sympatyczniejszych ludzi do rozmowy, a nie takiego starego pasożyta, jak ja.

— Ach, ależ ja bardzo lubię starych pasożytów — zawołała Pollyanna pośpiesznie — to znaczy, chciałam powiedzieć, że bardzo lubię starszych ludzi, a ponieważ nie wiem, co znaczy pasożyt, więc nie mogę go nie lubić. Zresztą, jeżeli pan jest pasożytem, to mogę śmiało powiedzieć, że pasożytów lubię, bo pana polubiłam od razu — zakończyła z pełnym zadowolenia uśmiechem, poprawiając się wygodniej na ławce.

— Hm! Bardzo mi to pochlebia — uśmiechnął się mężczyzna ironicznie. Aczkolwiek wyraz jego twarzy i to, co mówił nacechowane było powątpiewaniem, najwyraźniej z dumą wyprostował się na swym miejscu. — No proszę, więc o czym będziemy rozmawiali?

— To jest dla mnie zupełnie obojętne, to znaczy wszystko mi jedno — uśmiechnęła się Pollyanna uszczęśliwiona. — Ciotka Polly twierdzi, że o czymkolwiek bym nie mówiła, zawsze muszę sprowadzić rozmowę na temat pań z dobroczynności. Nie ma się czemu dziwić, bo przecież one mnie od małego wychowały, prawda? Możemy mówić o przyjęciu. Uważam, że to przyjęcie jest wyjątkowo piękne i wspaniałe.

— Przyjęcie?

— Tak, to przyjęcie, wie pan: ot, wszyscy ludzie, którzy są tu dzisiaj. Przecież to jest przyjęcie, nieprawdaż? Jedna pani powiedziała, że to dla wszystkich, więc zostałam tutaj, choć nie orientuję się jeszcze, gdzie są tutejsi gospodarze, którzy to przyjęcie wyprawili.

Wargi nieznanego zadrżały.

— Owszem, mała panienko, może to i przyjęcie w swoim rodzaju — uśmiechnął się — lecz „gospodarzami” są władze miasta Bostonu. To przecież jest ogród miejski: park publiczny dla wszystkich.

— Naprawdę dla wszystkich? I na zawsze? I będzie mi wolno tu przychodzić, kiedy zechcę? Ach, jak to dobrze! Lepiej nawet, niż przypuszczałam. Najgorsze było to, że lękałam się, że mnie tu nigdy więcej nie wpuszczą. Teraz jestem zadowolona i dobrze, że od razu o tym nie wiedziałam; teraz jest mi o wiele przyjemniej. Przyjemne rzeczy są zawsze przyjemniejsze, gdy się człowiek z początku obawia, że miłe nie będą, prawda?

— Możliwe, że tak, jeżeli w ogóle istnieją przyjemne rzeczy — odpowiedział nieznanomy ponurym tonem.

— Na pewno istnieją — zapewniła go Pollyanna, nie dostrzegając naglej zmiany w jego głosie. — Ale czy tutaj nie jest pięknie? — zawołała znowu z rozjaśnioną twarzą. — Ciekawa jestem, czy pani Carew wie coś o tym parku, skoro on jest dla wszystkich. Przecież każdy powinien przychodzić tu stale i siadywać jak najdłużej.

Twarz mężczyzny spochmurniała.

— Ale ludzie przeważnie pracują i mają coś więcej do roboty, niż przychodzić tutaj i rozglądać się; niestety, ja do tych szczęśliwych nie należę.

— Naprawdę? To powinien pan być z tego zadowolony — westchnęła Pollyanna, śledząc zachwyconym spojrzeniem przepływające w pobliżu łódki.

Nieznamy rozchylił wargi, lecz nie wyrzekł ani słowa, a Pollyanna mówiła wciąż dalej.

— Chciałabym nie mieć nic więcej, tylko to, co mam. Chciałabym chodzić do szkoły. Bardzo lubię szkołę, ale istnieje mnóstwo rzeczy, które lubię bardziej. Jestem zadowolona, że mogę do szkoły chodzić. Szczególnie cieszę się, gdy przypomnę sobie, jak zeszłej zimy myślałam, że nigdy już do szkoły nie wrócę. Widzi pan, straciłam na pewien czas nogi... to znaczy, nie mogłam chodzić. Nigdy się człowiek nie zastanawia nad tym, jak bardzo nogi mu są potrzebne, gdy ma je zupełnie zdrowe. No, oczy są także potrzebne. Czy myślał pan kiedyś o tym, ile usług oddają panu oczy? Ja dopiero doszłam do tego wniosku, gdy byłam w lecznicy. Leżała tam jedna pani, która oślepla przed rokiem. Namawiałam ją, żeby zabawiła się w moją grę, żeby znalazła sobie coś, z czego by się mogła cieszyć, ale tłumaczyła się, że nic znaleźć nie może, a jak się chciałam dowiedzieć dlaczego, kazała mi na godzinę zawiązać sobie oczy chustką, to wtedy się przekonam. Zrobiłam tak, jak chciała. To było straszne. Czy pan kiedyś tego próbował?

— Nie, nie próbowałem. — Wyraz gniewu i jednocześnie zdziwienia odzwierciedlił się na twarzy mężczyzny.

— Więc niech pan nie próbuje. Powiadam panu, że to było straszne. Po prostu człowiek nic nie może robić, nie może robić tego, co chce. Ale wytrzymałam wtedy całą godzinę. Od tego czasu byłam jeszcze bardziej zadowolona, że mam oczy i mogę widzieć: taka byłam zadowolona, że chciało mi się płakać z radości. Teraz już ona gra w moją grę, ta niewidoma pani. Mówiła mi o tym panna Wetherby.

— W tę grę?

— Tak, grę w zadowolenie. Nic panu o niej nie wspominałam? Chodzi o to, żeby znaleźć coś, z czego można być zadowolonym. Otóż ta niewidoma pani coś takiego znalazła. Jej mąż, to jest taki pan, który pomaga wydawać nowe prawa, więc prosiła go, aby wydał prawo, które by dopomogło niewidomym ludziom, a szczególnie małym dzieciom. I poszła do tych innych panów sama i opowiedziała im, jak się człowiek czuje, gdy jest niewidomy. A ci panowie razem z jej mężem wydali takie nowe prawo i powiedzieli, że ta ślepa pani zrobiła dla społeczeństwa bardzo wiele, więcej nawet niż jej mąż, bo gdyby nie ona, to by takie nowe prawo wcale nie istniało. Ta ślepa pani jest teraz zadowolona, że straciła wzrok, bo mogła chociaż pomóc małym dzieciom, które tak samo jak ona są nieszczęśliwe. Widzi pan więc, że jednak nauczyłam tę panią mojej gry. Ale mam wrażenie, że pan jeszcze o tej grze nic nie wie, więc muszę z nią pana zaznajomić. Zaczęła się ona w ten sposób... — i Pollyanna z rozjaśnionymi oczami opowiedziała nieznanemu, jak to przed laty znalazła w paczce parę kul zamiast lalki, o której tak bardzo marzyła.

Gdy opowiadanie dobiegło końca, zaległa długa, martwa cisza, po czym całkiem niespodziewanie nieznamy podniósł się z ławki.

— Ach, więc pan już teraz odchodzi? — zapytała Pollyanna z wyraźnym rozczarowaniem.

— Tak, teraz już idę — uśmiechnął się do niej jakoś dziwnie.

— Ale kiedyś przyjdzie pan tutaj znowu?

Potrząsnął głową, lecz znów się uśmiechnął.

— Mam nadzieję, że nie i właściwie wiem to na pewno, moja dziewczeczko. Widzisz, uczyniłem dzisiaj wielkie odkrycie. Myślałem, że już jestem zupełnie stracony. Sądziłem, że już teraz dla mnie nie ma nigdzie miejsca. Ale w tej chwili zdałem sobie sprawę, że posiadam dwoje oczu, dwie ręce, i dwie nogi, które postanowiłem użytkować. Postanowiłem jednocześnie pokazać pewnej osobie, że skarby te właśnie użytkować potrafię!

Po chwili oddał się.

— Boże, jakież to zabawny jegomość! — wyszeptła do siebie Pollyanna. — Ale był bardzo miły i jakiś taki zupełnie inny — dorzuciła, podnosząc się i postanawiając iść dalej.

Była teraz znowu w swym zwykłym, pogodnym nastroju i kroczyła przed siebie z tą pełną zaufania pewnością siebie, jaką posiada człowiek, nie znający wahań. Czyż ten nieznamy nie powiedział, że to był publiczny park i że ona, Pollyanna, tak samo jak wszy-

scy, ma prawo w nim przebywać? Podeszła bliżej do sadzawki, minęła mostek i skierowała się do miejsca, skąd odpływały małe łódki. Przez pewien czas radośnie obserwowała dzieci, zwracając szczególną uwagę na to, czy przypadkiem nie zobaczy wśród nich ciemnych loków Zuzi Smith. Chętnie przejechałaby się którąś z łódek, lecz mały sztyldzik objaśniał, że przejazdka kosztuje pięć centów, a ona przecież nie miała przy sobie pieniędzy. Pełna nadziei uśmiechała się, patrząc na przechodzące kobiety, a dwukrotnie nawet zagadała do nich, żadna jednak pierwsza do niej się nie odezwała, a jedna, do której zwróciła się z jakąś uwagą, spojrziała na nią chłodno i też nie raczyła nawet odpowiedzieć.

Po pewnym czasie Pollyanna skierowała kroki w boczną alejkę i tutaj ujrzała bladego chłopca w fotelu na kółkach. Miała ochotę z nim porozmawiać, był jednak tak zajęty książką, którą czytał, że nawet nie spojrzął na dziewczynkę. Zaraz potem natknęła się znów na przystojną, młodą, lecz smutnie wyglądającą dziewczynę, która siedziała sama ze spojrzeniem utkwionym w dalekiej przestrzeni, podobnie, jak przedtem siedział nieznajomy. Z okrzykiem radości Pollyanna pospieszyła naprzód.

— Ach, jak się pani ma? — zawołała. — Tak się cieszę, że panią spotkałam! Już tak długo szukałam pani — dorzuciła, zajmując wolne miejsce na ławce.

Ładna dziewczyna odwróciła się ze zdziwieniem i gorączka ciekawości zapłonęła w jej oczach.

— Ach! — wyszeptała, popadając nagle w rozczarowanie. — Myślałam... O co ci właściwie chodzi? — zapytała niechętnie. — Przecież ja cię nigdy w życiu na oczy nie widziałam.

— I ja pani także — uśmiechnęła się Pollyanna — ale mimo wszystko szukałam pani. To znaczy, nie wiedziałam, że to akurat będzie pani. Po prostu chciałam znaleźć kogoś samotnego, kto nikogo przy sobie nie ma. Tak samo, jak ja jestem samotna. A tyle jest tu dzisiaj ludzi. Widzi pani?

— Owszem, widzę — skinęła głową dziewczyna, zapadając w dotychczasowe swoje zamyślenie. — Ale, biedne dzieciątko, nie trzeba, abyś zbyt wcześnie dowiedziała się o tym.

— O czym?

— Że człowiek jest najbardziej samotny wśród tłumu w dużym mieście.

Pollyanna zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

— Naprawdę? Nie rozumiem jak to być może. Jak może człowiek być samotny, skoro ma dookoła siebie ludzi. Właściwie — zawahała się na chwilę — i ja byłam dziś po południu samotna, choć tyle ludzi było tutaj, tylko że oni wszyscy nie myśleli o mnie i nie zwracali na mnie uwagi.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się z goryczą.

— Otóż właśnie. Nie pomyśleli i nie zwrócili uwagi — tłum zawsze jest taki.

— Ale niektórzy ludzie są inni, więc powinniśmy się z tego cieszyć — podchwyciła Pollyanna. — Teraz, kiedy...

— Ach, tak, niektórzy są inni — przerwała jej tamta. Mówiąc, drżała i spoglądała lękliwie w alejkę tuż za Pollyanną. — Niektórzy zbyt wielką uwagę zwracają.

Pollyanna cofnęła się z przerażeniem. Powtarzające się tego popołudnia niepowodzenia uczyniły ją bardziej podejrzliwą.

— Czy pani mnie ma na myśli? — wybąkała. — To znaczy, że nie życzyła sobie pani, abym na panią zwróciła uwagę?

— Nie, nie, dziecinko! Myślałam o kimś zupełnie innym. O kimś, kto nie powinien był zwracać uwagi na mnie. Bardzo się cieszę, żeś do mnie zagadała, ale w pierwszej chwili myślałam, że to ktoś z domu.

— Ach, więc pani tutaj nie mieszka, tak samo jak i ja, to znaczy, nie mieszka pani na stałe.

— Owszem, teraz tu mieszkam — westchnęła dziewczyna — jeżeli to w ogóle można nazwać mieszkaniem.

— Dobrze, a co pani robi? — zapytała Pollyanna z ciekawością.

— Co robię? Zaraz ci powiem, co robię. — zawołała tamta z nagłą goryczą. — Od rana do nocy sprzedaję włochatą wełnę, żaboty i uniżone ukłony dziewczętom, które śmieją się, rozmawiają i znają się między sobą. Później idę do domu, do małego pokoiczku pod dachem, w którym zmieścić się może tylko wążutkie, żelazne łóżko, umywalka z pogiętą

miednicą, jedno kulawe krzesło i ja. W lecie jest tam jak na plaży, a w zimie jak w lodowni, muszę jednak tam mieszkać, bo nie wyrzucą mnie z tego pokoiku, choćbym nawet nie pracowała. Dzisiaj nagle zaczęłam się buntować. Nie chce mi się wracać do tej mojej nory, nie chce mi się pójść do biblioteki, żeby trochę poczytać. Mam dzisiaj ostatnie wolne pół dnia w tym roku, a potem już trzeba będzie bez wytchnienia pracować. Jestem jeszcze taka młoda, lubię śmiać się i żartować, tak samo jak tamte dziewczęta, którym przez cały dzień muszę sprzedawać ukłony. Ale dzisiaj postanowiłam zabawić się trochę.

Pollyanna uśmiechnęła się, skinąwszy głową w milczącej pochwie.

— Cieszę się, że pani myśli w ten sposób. Ja też tak uważam. Przyjemnie jest być szczęśliwym, prawda? Zresztą *Biblia* też nam nakazuje korzystać z radości życia. Prawdopodobnie zna pani *Biblię* i wie pani o tym.

Młoda dziewczyna potrząsnęła głową. Wyras onieśmielenia pojawił się na jej twarzy.

— Właściwie nie wiem — odparła sucho. — Nie mogę powiedzieć, żebym zbyt często myślała o *Biblii*.

— Naprawdę? Zresztą to bardzo możliwe, ale, widzi pani, mój ojciec był pastorem i dlatego...

— Pastorem?

— Tak. A czy pani ojciec także? — zawołała Pollyanna, odpowiadając na dziwny błysk, jaki ujrziała w oczach dziewczyny.

— Tak — rumieniec wystąpił dziewczynie aż na czoło.

— Ach, i odszedł tak samo jak mój, aby pozostać na zawsze z Bogiem i aniołami?

Młoda dziewczyna odwróciła z zażenowaniem głowę.

— Nie, żyje jeszcze, jest w domu — odparła, wstrzymując oddech.

— Ach, jaka pani musi być szczęśliwa — westchnęła Pollyanna zazdrośnie. — Czasami marzę o tym, żebym mogła choć raz zobaczyć mego ojca, ale pani swego widuje, prawda?

— Nie często. Widzisz, mieszkam teraz tutaj...

— Ale może go pani zobaczyć, a ja mojego nie mogę. Odszedł do mamy i do reszty rodzeństwa, tam do nieba i... A pani ma także matkę?

— Owszem — dziewczyna kręciła się niespokojnie i sprawiała takie wrażenie, jakby miała ochotę uciec.

— Ach, więc pani może oglądać ich obydwój — wyszeptła Pollyanna z wyraźną tęsknotą w głosie. — Jaka pani musi być szczęśliwa! Bo przecież na świecie nie ma nikogo, kto by tak mógł kochać, jak ojciec i matka. Widzi pani, ja się znam na tym, bo miałam ojca do jedenastego roku życia i tak samo do tego wieku miałam zamiast matki panie z dobroczynności, dopóki mnie nie zabrała ciotka Polly. Panie z dobroczynności są bardzo miłe, ale to nie to, co matka, a nawet nie to, co ciotka Polly.

I Pollyanna ani na chwilę nie przestawała mówić. Była teraz w swoim żywiole. Nade wszystko lubiła mówić. Że było coś dziwnego, coś niemądrego, a nawet niestosownego w tym zbyt intymnym wypowiedaniu myśli i dzieleniu się nimi z zupełnie obcą osobą, poznaną na ławce w bostońskim parku — nie przyszło nawet Pollyannie do głowy. Dla niej wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci byli przyjaciółmi, bez różnicy, czy znała ich, czy nie znała. Uważała nawet, że nieznanymi są o wiele ciekawszy od znajomych, bo zawsze posiadają jakąś tajemnicę, której rąbek uchyla się dopiero wtedy, gdy się ich samych poznaje.

Dlatego to właśnie Pollyanna odpowiedziała tej młodej dziewczynie z zupełną szczerością o swym ojcu, o ciotce Polly, o swym domu na Zachodzie i o swej podróży na Wschód do Vermont. Opowiedziała o dawnych i nowych przyjaciółach i oczywiście o „grze w zadowolenie”. Pollyanna zawsze prawie każdemu musiała opowiedzieć o tej grze wcześniej czy później. Gra ta była niejako częścią jej samej, toteż nie mogła się oprzeć, aby komuś, z kim zawierała znajomość, ani słowem o tym nie wspomnieć.

Co do młodej, przystojnej dziewczyny, ta mówiła niewiele. Nie siedziała jednak, jak dotychczas, zatopiona w zadumie i zauważyć można było na jej twarzy ogromną zmianę. Pałające policzki, ściągnięte brwi, zatroskane oczy i nerwowo poruszające się palce świadczyły o pewnej walce wewnętrznej. Od czasu do czasu spoglądała wymownie w stronę alejki biegnącej tuż za Pollyanną i w pewnej chwili, spojrzawszy w tamtym kierunku, chwyciła Pollyannę kurczowo za ramię.

— Słuchaj, dziecinko, jeszcze przez minutę nie odchodź ode mnie. Czy słyszysz? Zostań tu, gdzie jesteś. Tam jest mężczyzna, który miał przyjść, ale mniejsza o to, co będzie mówił, nie zwracaj na niego uwagi i nie odchodź. Pragnę zostać z tobą, rozumiesz?

Zanim Pollyanna zdążyła wyrazić swoje zdziwienie, wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem przystojnego, młodego jegomościa, który zatrzymał się przy ławce.

— Ach, tutaj jesteś — uśmiechnął się z zadowoleniem, uchylając kapelusza przed towarzyszką Pollyanny. — Muszę się usprawiedliwić, że się trochę spóźniłem.

— Nic nie szkodzi, *sir* — odparła młoda dziewczyna pośpiesznie. — Ja... i tak postanowiłam, że nie pójdę.

Młodzieniec zaśmiał się swobodnie.

— Ależ chodź, kochanie, nie gniewaj się na mnie o to, że się trochę spóźniłem!

— Wcale się nie gniewam — zaprotestowała dziewczyna, rumieniąc się nagle. — Mówię tylko, że nie pójdę.

— Głupstwa pleciesz! — Mężczyzna przestał się uśmiechać, mówił teraz głosem zniecierpliwionym i ostrym. — Obiecywałaś wczoraj, że pójdziesz.

— Wiem, ale zmieniłam zamiar. Przyrzekłam tej tutaj małej przyjaciółce, że z nią zostanę.

— Ach, jeżeli pani woli pójść z tym młodym panem — zaczęła Pollyanna zaniepokojona, lecz umilkła zaraz pod wpływem wymownego spojrzenia dziewczyny.

— Powiedziałam, że nie pójdę, więc nie ma o czym mówić.

— No, proszę, cóż za nagle postanowienie? — zadrwił młodzieniec, darząc Pollyannę niezbyt przyjaznym spojrzeniem. — Wczoraj obiecywałaś...

— Wiem, że obiecywałam — przerwała dziewczyna gorączkowo. — Ale później zorientowałam się, że nie powinnam. Nazwijmy to, jak chcemy. Postanowienia nie cofnę i koniec — i odwróciła od niego twarz rezolutnie.

Nie był to jednak koniec. Młodzieniec jeszcze kilkakrotnie nalegał prosił i groził, a w oczach jego pojawił się błysk okrucieństwa. Wreszcie powiedział coś bardzo cicho i gniewnie, czego Pollyanna nie zrozumiała. W następnej chwili odwrócił się na pięcie i odszedł.

Dziewczyna spoglądała za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu, po czym otrząsnawszy się z wrażenia, uściśniła rękę Pollyanny.

— Dziękuję ci, dziecinko. Zawdzięczam ci więcej, niż sama przypuszczasz. Do widzenia.

— Ale pani teraz przecież nie odejdzie! — zawołała Pollyanna.

Dziewczyna westchnęła ze smutkiem.

— Muszę. Gotów wrócić, a po raz drugi nie zdobyłabym się może na tyle siły i odwagi... — wstała z ławki. Przez chwilę wahała się i wreszcie wyznała z goryczą: — Widzisz, on należy do tych, którzy niepotrzebnie zwracają uwagę, a nie powinien być na mnie zwracać uwagi! — Z tymi słowy odeszła.

— Jakaż ona zabawna — szepnęła do siebie Pollyanna, spoglądając w zamyśleniu za znikającą sylwetką dziewczyny. — Ładna nawet, ale strasznie dziwna — dorzuciła, podnosząc się i leniwie idąc przed siebie.

ROZDZIAŁ VI. JERRY ŚPIESZY Z POMOCĄ

Wkrótce Pollyanna dotarła do końca ogrodu i do bramy, za którą krzyżowały się z sobą dwie ulice. Było to miejsce godne szczególnego zainteresowania, z przejeżdżającymi ustawicznie taksówkami, autobusami, powozami i publicznością pieszą. Potężna czerwona butelka w witrynie kolonialnego sklepu zwróciła uwagę Pollyanny, a jednocześnie z głębi ulicy zaciekawił ją dźwięk jakiegoś nieznanego instrumentu. Wahając się tylko przez chwilę, Pollyanna ruszyła na przeciwną stronę ulicy, biegnąc lekko w kierunku dźwięków muzyki.

Z każdą chwilą znajdowała więcej rzeczy godnych ciekawości. W oknach wystawowych były rozmaite cuda, a dokoła katarynki, do której wreszcie dotarła, ujrzała grono tańczących dzieci, których widok był wprost niezwykły. Pochłonięta nim Pollyanna bez zastanowienia poczęła iść za katarynką, wpatrzona z zachwytem w tańczące dzieci. Nagle znalazła się na tak ruchliwym rogu ulicy, że wysoki, potężny mężczyzna, w błękitnym,

długim płaszczu zmuszony był przeprowadzać ludzi na przeciwległy chodnik. Przez dłuższą chwilę Pollyanna obserwowała go w milczeniu, po czym trochę niepewnie postanowiła sama przedostać się przez jezdnię.

Była to zadziwiająca przygoda. Wysoki mężczyzna w błękitnym płaszczu dostrzegł ją od razu i począł jej dawać jakieś znaki. Zbliżył się nawet do niej i ująwszy pod rękę, przeprowadził, omijając ludzi i zatrzymując szereg warczących samochodów oraz kilka zniecierpliwionych koni. Pollyannie tak się spodobała ta przygoda, że po kilku minutach postanowiła wrócić. Przechodziła tak kilka razy w krótkich odstępach czasu, oczarowana magiczną siłą wzniesionej w górę ręki błękitno odzianego mężczyzny. Lecz gdy po raz ostatni usiłowała zejść z chodnika, mężczyzna w błękitnym płaszczu spojrział na nią ze zmarszczonymi niechętnie brwiami.

— Słuchaj no, dziewczynko, czy to ty przechodziłaś tędy przed minutą? — zapytał.
— I znowu teraz przechodzisz?

— Tak, *sir* — odparła wesoło Pollyanna. — Przechodziłam tędy już cztery razy!

— No, no — policjant zaczął się już irytować, lecz Pollyanna wyjaśniała dalej:

— I za każdym razem było co raz przyjemniej!

— Czyżby? — złagodniał nagle policjant, ale po chwili znowu zmarszczył brwi. — Co ty sobie myślisz, że ja tutaj jestem po to, żeby ciebie tam i z powrotem przeprowadzać?

— Ach, nie, *sir* — uśmiechnęła się z wdziękiem Pollyanna. — To zrozumiałe, że nie stoi pan tu tylko dla mnie! Przecież jest tu tyle innych ludzi. Ja wiem, kim pan jest. Jest pan policjantem. Mamy też jednego policjanta przed domem, w którym mieszka pani Carew, tylko że on nie przeprowadza przechodniów, a po prostu spaceruje sobie po chodniku. Dawniej myślałam, że panowie są żołnierzami, bo mają takie złote guziki i granatowe kapelusze, ale teraz już wiem. Chociaż pan, to tak jak żołnierz. Musi pan być bardzo odważny, stojąc tu, wśród tych aut i powozów i pomagając ludziom przechodzić.

— Ho, ho, jeszcze jak! — napuszył się z dumą policjant, czerwieniąc się niczym sztubak i odrzucając w tył głowę z głośnym śmiechem. — Ho, ho, zupełnie jak... — urwał, podnosząc w górę rękę. Po chwili już przeprowadzał przez jezdnię najwidoczniej bardzo zaleknioną, trzęsącą się starszą damę. Jeżeli szedł teraz krokiem bardziej majestatycznym i jeżeli wyżej podnosił głowę, to czynił to tylko, pragnąc okazać się jeszcze odważniejszym w oczach stojącej na chodniku dziewczynki. Po chwili, podnosząc wymownie rękę w stronę niecierpliwących się woźniców i szoferów, zbliżył się znowu do Pollyanny.

— Ach, to było wspaniałe! — powitała go z błyszczącymi oczami. — Strasznie przyjemnie patrzeć, jak pan to robi — zupełnie jakby Izraelici przechodzili przez Morze Czerwone, prawda? I jaki pan musi być zadowolony, że może pan to cały dzień robić! Zawsze myślę, że najprzyjemniej być doktorem, ale teraz widzę, że być policjantem to jeszcze większa przyjemność, bo się pomaga ludziom, tak jak pan. A poza tym... — przerwał jej nowy wybuch pełnego zażenowania śmiechu i policjant w błękitnym płaszczu był już znowu po środku jezdni, Pollyanna zaś została sama na chodniku.

Tylko jeszcze przez chwilę obserwowała z zachwytem „Morze Czerwone”, po czym z wyraźnym żalem zawróciła.

— Chyba lepiej będzie, jak pójdę do domu — medytowała. — Już na pewno jest pora obiadowa. — I szybko skierowała się tą samą drogą, którą przyszła.

Dopóki na kilku rogach nie zawahała się i nie poszła w mylnym kierunku, nie zdawała sobie sprawy, że pójście „do domu” nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawać mogło. I dopiero gdy stanęła przed budynkiem, którego nigdy w życiu nie widziała, przyszło jej na myśl, że zablądziła.

Znajdowała się na wąskiej, brudnej i źle zabrukowanej uliczce. Po obydwu stronach widziała ponure bloki kamienic, a w nich jakieś nieciekawe sklepy i składy. Tam i z powrotem biegali spieszenie szwargoczący mężczyźni i rozgadane kobiety, z których rozmów Pollyanna ani słowa nie mogła zrozumieć. Co gorsza, że ludzie ci spoglądali na nią z wielką ciekawością, jakby orientowali się, że nie należy do ich grona.

Kilkakrotnie już zapytywała o drogę, lecz na próżno. Nikt z tych ludzi nie wiedział, gdzie mieszka pani Carew, a dwie ostatnie osoby, do których Pollyanna się zwróciła, odpowiedziały tak niewyraźnie, że zupełnie nie wiedziała, o co im chodzi.

Szła ciągle w dół ulicy leniwie, jakby bez celu. Była już teraz naprawdę przerażona. Głód i zmęczenie dawały się coraz bardziej we znaki. Nogi ją bolały, oczy piekły od łez,

które ciągle usiłowała powstrzymywać. Poza tym, nie wiadomo dlaczego, robiło się coraz bardziej ciemno.

— W każdym razie — szeptała do siebie przez łzy — powinnam być zadowolona, że zablądziłam, bo dopiero będzie mi przyjemnie, jak odnajdę drogę.

Na jakimś ruchliwym i hałaśliwym rogu, gdzie krzyżowały się dwie ulice, Pollyanna wreszcie w rozpaczy przystanąła. Tym razem twarzyczka jej zalała się łzami, a w braku chustki do nosa, poczęła Pollyanna ocierać twarz obydwoma rękami.

— Hej, mała, czego płaczesz? — zawołał jakiś wesoły głos. — Co ci się stało?

Odetchnąwszy z ulgą, Pollyanna odwróciła głowę i ujrzała przed sobą małego chłopca, dźwigającego pod pachą plik gazet.

— Tak się cieszę, że cię widzę! — zawołała. — Tak chciałam spotkać kogoś, kto nie mówi, jak wszyscy tutaj, po duńsku.

Chłopiec uśmiechnął się.

— To wcale nie jest duński! — zawołał. — Masz na myśli gwarę dago⁴.

Pollyanna nieznacznie zmarszczyła brwi.

— Możliwe, ale w każdym razie to nie był język angielski — odparła z powątpieniem — i nikt nie umiał odpowiedzieć na moje pytania. Może od ciebie się wreszcie czegoś dowiem. Czy wiesz, gdzie mieszka pani Carew?

— Nie! Możesz mnie zabić.

— Co takiego? — zdziwiła się Pollyanna, pogrążając się w coraz głębszym zwątpieniu.

Chłopiec uśmiechnął się znowu.

— Powiadam, że nie wiem. Nie mam przyjemności znać tej pani.

— A czy nie ma tu nikogo, kto by ją znał? — wyszeptała Pollyanna. — Bo widzisz, wyszłam właśnie na spacer i zmyliłam drogę. Już nieraz znajdowałam się tak daleko, ale tym razem w żaden sposób nie mogę trafić do domu, a już nadeszła pora kolacji, chciałam powiedzieć: obiadu i robi się coraz ciemniej. Chcę już wracać, muszę wracać.

— Hm, ja to rozumiem! — odparł współczująco chłopiec.

— A poza tym lękam się, że pani Carew też jest o mnie niespokojna — westchnęła Pollyanna.

— Na pewno, jeśli wyszłaś bez pozwolenia — zażartował nieoczekiwanie chłopiec. — Ale posłuchaj, czy nie wiesz, na jakiej ulicy mieszkasz?

— Nie, tylko wiem, że to jest jakaś aleja — odpowiedziała szeptem Pollyanna.

— Aleja? No, to jakoś znajdziemy. Już się zrobi. A jaki numer domu? Czy to mi możesz powiedzieć? Połam sobie trochę głowę!

— Połamać głowę? — Pollyanna zmarszczyła brwi, podnosząc rękę do czoła.

Chłopiec spoglądał na nią pogardliwie.

— Ach, daj spokój! Widzę, że tuman z ciebie. Pytam, czy nie znasz numeru domu, o który ci chodzi.

— Nie, tylko wiem, że tam była siódemka — zawołała Pollyanna, pełna nowej nadziei.

— Słyszeliście, moi państwo? — zaśmiał się drwiąco chłopak. — Była tam siódemka! I ona myśli, że w ten sposób zgadnę numer!

— Ach, ale ja poznam dom, jak go tylko zobaczę — oświadczyła gorączkowo Pollyanna — i myślę, że poznam również ulicę po tym wspaniałym, obszernym dziedzińcu, który jest w samym środku.

Tym razem na twarzy chłopca odmalowało się zdziwienie.

— Dziedziniec? — otworzył szeroko usta. — Pośrodku ulicy?

— Tak, drzewa i trawa, a w środku aleja do spacerowania, ławki i... — lecz chłopiec przerwał jej nagle głośnym okrzykiem.

— Już wiem! Commonwealth Avenue, ty na pewno tam mieszkasz!

— Ach, więc wiesz, wiesz naprawdę? — upewniała się Pollyanna. — Właśnie to bardzo podobnie brzmi, chociaż nie jestem pewna.

— Możesz mi wierzyć — chłopak wyduł wargi z dumą. — Przecież codziennie zawożę tam do ogrodu Sir Jamesa, więc i ciebie zaprowadzę. Musisz jednak poczekać tutaj, dopóki

⁴*gwara dago* — obraźliwe określenie na język osób pochodzenia hiszpańskiego, portugalskiego a. włoskiego. [przypis edytorski]

nie skończę roboty i nie sprzedam wszystkich gazet. Potem zaprowadzę cię na tę twoją aleję, nim jeszcze zdążysz zostać Robinsonem.

— To znaczy, że mnie odprowadzisz do domu? — zapytała Pollyanna, nie całkiem rozumiejąc jego słowa.

— Naturalnie! Będzie to całkiem łatwe, jeżeli mówisz, że poznasz dom.

— O, na pewno poznam — zawołała Pollyanna, trochę w duszy zaniepokojona. — Gdybyś nie mógł...

Ale chłopiec raz jeszcze obrzucił ją pełnym wzgardy spojrzeniem i umknął, mieszając się z tłumem. W chwilę później Pollyanna usłyszała jego głośnie wołanie:

— Kurier! Wiadomości! Herald! Może pan pozwoli gazetkę, *sir*?

Z westchnieniem ulgi Pollyanna cofnęła się do jakiejś bramy, postanawiając cierpliwie czekać. Była zmęczona, lecz szczęśliwa. Mimo niepowodzeń, z jakimi się zetknęła tego popołudnia, ufała temu chłopcu i była najzupełniej pewna, że on właśnie odprowadzi ją do domu.

— Jest miły i bardzo go lubię — mówiła do siebie, śledząc zręczną i ruchliwą postać gazeciarza. — Ale szalenie zabawnie mówi. Słowa, które wypowiada, mają brzmienie angielskie, lecz niektóre jakby się nie wiązały z resztą tego, co mówi. Jestem zadowolona, że na niego natrafiłam — dorzuciła, wzdychając z zadowoleniem.

Wkrótce potem chłopiec wrócił, nie mając już gazet pod pachą.

— Chodźmy, mała. Wszystko załatwiłem — zawołał wesoło. — Teraz będziemy szukać tej alei. Gdybym był bogatszy, odwiózłbym cię do domu autobusem, ale ponieważ zarobiłem dzisiaj niewiele, trzeba będzie dyrdać⁵ piechotą.

Prawie przez całą drogę milczeli. Pollyanna po raz pierwszy w życiu była zbyt zmęczona, aby móc opowiadać o paniach z towarzystwa dobroczynności, chłopcu zaś chodziło głównie o to, żeby najkrótszą drogą i jak najspieszniej dotrzeć do celu. Gdy zamajaczył przed nimi Park Publiczny, Pollyanna wykrzyknęła radośnie:

— O, teraz już prawie jesteśmy na miejscu! Ten ogród przypominam sobie dokładnie, spędziłam tu bardzo mile czas. Stąd już jest całkiem blisko do domu.

— No, to dzięki Bogu! Pójdziemy teraz dalej — uśmiechnął się chłopiec. — Widzisz, co ci mówiłem? Pójdziemy tędy w stronę alei i później znajdziemy swój dom.

— O, ja ten dom na pewno znajdę — cieszyła się Pollyanna, nabierając już zupełnej pewności siebie.

Było prawie całkiem ciemno, gdy wstępowali po szerokich kamiennych schodach, prowadzących do mieszkania pani Carew. Chłopiec przycisnął guzik dzwonnka, drzwi się natychmiast otworzyły i Pollyanna znalazła się nie tylko przed obliczem Maty, lecz również pani Carew, Bridget i Jennie. Wszystkie cztery kobiety stały przed nią z bladymi twarzami i oczami pełnymi niepokoju.

— Dziecko, dziecko, gdzie ty była? — dopytywała się pani Carew, biegnąc Pollyannie na spotkanie.

— Ja... ja tylko poszłam na spacer — wytłumaczyła szeptem dziewczynka — i zbłądziłam i ten chłopiec...

— Gdzie ją znalazłeś? — zwróciła się pani Carew ostro do towarzysza Pollyanny, który w tej chwili ze szczerym podziwem patrzył na wszystko, co otaczało go w tym jasno oświetlonym hallu. — Gdzie ją znalazłeś, chłopcze? — powtórzyła jeszcze bardziej surowo.

Przez krótką chwilę chłopak patrzył jej w oczy bezczelnie, po czym łobuzerski ognik zamajaczył w jego spojrzeniu, choć głos, którym przemówił, był pełen powagi.

— Znalazłem ją na placu Bowdoin, ale mam wrażenie, że wracała z północnej dzielnicy, proszę pani.

— W północnej dzielnicy... takie dziecko... samo! Pollyanno! — zadrżała pani Carew.

— Ja nie byłam sama, proszę pani — zaprotestowała Pollyanna. — Było tam całe mnóstwo ludzi, nieprawdaż, chłopcze?

Lecz chłopiec z łobuzerskim uśmieszkiem zniknął już za uchylonymi drzwiami.

Wielu rzeczy dowiedziała się Pollyanna w ciągu następnej pół godziny. Dowiedziała się, że małym dziewczynkom nie wolno spacerować samotnie po obcym mieście, ani też

⁵*dyrdać* (gw.) — iść. [przypis edytorski]

siadywać na ławkach i rozmawiać z obcymi ludźmi. Dowiedziała się również, że to „stało się tylko cudem”, że w ogóle wróciła do domu tego wieczoru i że „cudem” także uniknęła bardzo przykrych skutków swej lekkomyślności. Dowiedziała się o tym, że Boston to nie Beldingsville i że powinna się z tym na przyszłość liczyć.

— Ależ, proszę pani — tłumaczyła Pollyanna w rozpaczy — przecież jestem już tutaj i nie zginęłam na zawsze. Ja byłam przez cały czas zadowolona, więc nie mogłam myśleć o tych wszystkich przykrych rzeczach, jakie mogłyby nastąpić.

— Tak, tak, moje dziecko, tak przypuszczam, oczywiście — wzdychała pani Carew — ale narobiłaś mi wiele strachu i muszę się upewnić, że więcej już nigdy tego nie uczynisz. A teraz chodź, kochanie, musisz być głodna.

Kładąc się na spoczynek tego wieczoru, Pollyanna ze smutkiem szeptała do siebie:

— Najbardziej mnie martwi to, że nie zapytałam tego chłopca ani o nazwisko, ani o adres. Teraz w żaden sposób nie będę mu mogła podziękować!

ROZDZIAŁ VII. NOWA ZNAJOMOŚĆ

Wszystkie poczynania Pollyanny od owego pełnego przygód spaceru były jeszcze troskliwiej strzeżone i z wyjątkiem codziennego chodzenia do szkoły, nie wolno jej było wychodzić się z domu bez opieki Mary albo pani Carew. Pollyanny jednak nie irytowało to zupełnie, bowiem lubiła bardzo zarówno panią Carew, jak i Mary, toteż chętnie przebywała w ich towarzystwie. Obydwie niewiasty ostatnimi czasami zawsze znajdowały dla dziewczynki kilka wolnych chwil. Nawet pani Carew, przejęta ustawicznym lękiem o dziecko powierzone swej opiece, usiłowała teraz więcej zajmować się Pollyanną.

Było więc tak, że dziewczynka pod opieką pani Carew chodziła na koncerty i przedstawienia, do biblioteki publicznej i muzeum sztuki, zaś w towarzystwie Mary odbywała interesujące spacerunki po Bostonie, zwiedzała ratusz i okoliczne kościoły.

Pollyanna ogromnie lubiła jeździć samochodem, lecz chętniej jeszcze odbywała spacerunki tramwajem, o czym ku wielkiemu swemu zdziwieniu przekonała się pewnego dnia pani Carew.

— Czy pojedziemy tramwajem? — zapytała pewnego ranka Pollyanna.

— Nie, Perkins nas zawiezie — odparła pani Carew, a widząc rozczarowanie w oczach Pollyanny, dodała ze zdziwieniem: — Sądziłam, że lubisz auto, moje dziecko!

— Ach, bardzo lubię — zapewniła Pollyanna pośpiesznie — wiem przecież, że auto wypada taniej niż tramwaj i...

— Taniej niż tramwaj! — zawołała pani Carew, coraz bardziej zdziwiona.

— No, tak — wyjaśniła Pollyanna, otwierając szeroko oczy — za tramwaj płaci się po pięć centów od osoby, a auto nic nie kosztuje, bo jest pani własnością. Ja zresztą bardzo lubię auto — zapewniła, nie pozwalając pani Carew dojść do słowa. — Tylko że tramwaj jedzie wolniej, więc można swobodnie obserwować tych wszystkich ludzi, którzy chodzą po ulicy, a to jest takie przyjemne, nieprawdaż?

— Tego bym nie powiedziała, Pollyanno — mruknęła pani Carew, wychodząc z pokoju.

Zdarzyło się, że w dwa dni później pani Carew jeszcze więcej dziwnych rzeczy usłyszała o Pollyannie — tym razem z ust Mary.

— To jest naprawdę zabawne, łaskawa pani — opowiadała Mary z powagą, odpowiadając na zapytanie swej chlebodawczyni. — Zdziwiałam, jak Pollyanna doskonale czuje się między ludźmi, nie zdradzając najmniejszego onieśmielenia. Zasadniczo sama ich nie zaczepia. Nic podobnego. Tylko uśmiecha się do nich pogodnie i to wszystko. Sama widziałam, jak wsiadłyśmy do tramwaju pełnego mężczyzn, kobiet i dzieci, że na widok Pollyanny wszyscy się od razu rozweselili. Dorośli przestali się kłócić o miejsca, a dzieci przestały płakać. Czasami wystarcza, żeby panna Pollyanna powiedziała coś do mnie i żeby inni to słyszeli. Czasami znów powie tylko komuś „dziękuję” za ustąpienie miejsca, a tamten już z nią jest w przyjaźni. Ma dziwny sposób uśmiechania się do psów i dzieci. Każdy pies na jej widok macha ogonem, a każde dziecko, małe czy większe, nabiera do niej zaufania. Jeżeli zdarzy się tak, że wsiądziemy do niewłaściwego tramwaju, to nawet konduktor, patrząc na pannę Pollyannę, nie może się na nas gniewać.

— Hm, bardzo dziwne — wyszeptwała pani Carew, odchodząc.

Październik był tego roku szczególnie ciepły i pogodny, toteż trudno było komukolwiek w domu uzbroić się w taką cierpliwość, aby stale przebywać na spacerach z Pollyanną. Pani Carew w pierwszym rządzie cierpliwością zbytnią nie grzeszyła, a znów Mary zajęcia domowe nie pozwalały na poświęcanie zbyt wiele czasu Pollyannie.

O trzymaniu dziecka w czterech ścianach pokoju podczas pogodnych, słonecznych dni nie mogło być mowy. Stało więc na tym, że Pollyannie wolno było wychodzić samej do sąsiedniego parku publicznego, gdzie przebywała codziennie po kilka godzin. Pozornie więc była znowu tak samo wolna jak dawniej, lecz w gruncie rzeczy otaczały ją wysokie i nieprzebyte mury codziennego regulaminu.

Nie wolno jej było rozmawiać z obcymi ludźmi, nie wolno było bawić się z obcymi dziećmi i w żadnym wypadku nie wolno jej było wychodzić poza obręb publicznego parku. Na domiar wszystkiego Mary, która ją przez pierwsze dni odprowadzała do parku, długo upewniała się, czy dziewczynka zna dokładnie powrotną drogę do domu i czy przypadkiem nie zabłądzi, przechodząc z ogrodu przez ulicę Arlington na Commonwealth Avenue. Pollyanna musiała wracać z parku wówczas, gdy zegar na wieży kościelnej wydzwaniał pół do piątej.

Teraz Pollyanna często udawała się na spacer do parku. Czasami nawet chodziła z którąś z koleżanek szkolnych, częściej jednak wybierała się sama. Mimo braku swobody, mimo ograniczeń, jakie jej narzuciła opiekunka, dziewczynka spędzała czas w parku wspaniale. Mogła przecież swobodnie obserwować ludzi, chociaż nie wolno jej było z nimi rozmawiać, mogła za to rozmawiać z wiewiórkami, gołębiami i jaskółkami, które tak gorączkowo dopraszały się pożywienia i które przywykły już do tego, że Pollyanna zawsze im coś dobrego na podwieczorek przyniosła.

Prawie codziennie Pollyanna rozglądała się uważnie w poszukiwaniu przyjaciół, z którymi zawarła znajomość podczas swojej pamiętnej pierwszej eskapady⁶ — za mężczyzną, który uradował się, że posiada oczy, ręce i nogi i za przystojną, młodą dziewczyną, która nie chciała dotrzymywać towarzystwa pięknemu młodzieńcowi. Niestety, przyjaciół swych spotkać jakoś nie mogła. Natomiast codziennie widywała młodego chłopca w fotelu na kółkach, z którym szczerze pragnęła porozmawiać. Chłopiec także karmił ptaki i wiewiórki i oswoił je do tego stopnia, że gołębie przysiadły mu na głowie i na ramionach, a wiewiórki zaglądały do kieszeni w poszukiwaniu orzechów. Pollyanna, obserwując to wszystko z daleka, za każdym razem dostrzegała ten dziwny fakt, że aczkolwiek chłopiec najwidoczniej szczerze rozkoszował się karmieniem swych ulubieńców, to jednak zapasy, jakie przywoził ze sobą, wyczerpywały się bardzo szybko i chociaż wiewiórki domagały się większej ilości orzechów, następnego dnia znowu dostawały ich niewiele.

Gdy chłopiec nie był zajęty karmieniem ptaków i wiewiórek, zazwyczaj zatapiał się w czytaniu. Na fotelu miał zawsze dwie albo trzy zniszczone książki i jakieś pismo ilustrowane. Nie wiadomo jakim cudem znajdował się zawsze na tym samym miejscu i Pollyanna zastanawiała się nad tym, kto go tutaj przywozi. Wreszcie pewnego niezapomnianego dnia zgłębiła tę tajemnicę. Szkoły tego dnia nie było, więc przyszła do parku przed południem. Gdy tylko zajęła miejsce na swej ławce, ujrzała w głębi alejki fotel na kółkach popychany przez chłopca o jasnych włosach i zadartym nosie. Przyjrzała się uważniej twarzy tego chłopca, po czym zerwawszy się z ławki, podbiegła ku niemu z okrzykiem radości.

— Ach, to ty, ty! Poznałam cię od razu, choć nie wiem, jak się nazywasz. Przecież to ty odprowadziłeś mnie do domu! Pamiętasz? Taka jestem zadowolona, że cię widzę! Tak chciałam ci podziękować!

— Oj, czy to nie ta mała z Avenue? — uśmiechnął się chłopak. — Co się z tobą dzieje? Czyś znowu zabłądziła?

— Ach, nie! — zawołała Pollyanna, podskakując w miejscu z niewysłowionej radości. — Już więcej nie zabłądę, bo sama chodzę tylko do parku. I nie wolno mi z nikim rozmawiać, ale z tobą to mi wolno, bo cię znam, a jego też będę znała, jak mi go przedstawiś — dodała, rzucając rozradowane spojrzenie na chłopca siedzącego w fotelu.

Gazeciarsz uśmiechnął się przyjaźnie i poklepał po ramieniu swego towarzysza.

⁶eskapada — wyprawa. [przypis edytorski]

— Słyszałeś? Jak się na to zapatrujesz? Zaczekaj, to cię przedstawię! — i przyjął najpoważniejszą pozę. — Łaskawa pani, to jest mój przyjaciel, Sir James, Lord Murphy Alli, a to... — lecz chłopiec w fotelu nagle mu przerwał.

— Jerry, przestań gadać głupstwa! — zawołał gniewnie, po czym zwrócił się do Pollyanny z rozjaśnioną twarzą. — Widziałem cię tutaj już kilka razy. Obserwowałem, jak karmiłaś ptaki i wiewiórki, a zawsze miałaś dla nich mnóstwo pożywienia! Przypuszczam, że i ty najbardziej lubisz Sir Lancelota. Oczywiście miła jest również Lady Rowena, ale czyż nie była wczoraj przykra w stosunku do Guineveve, zabierając porcję, która dla tamtej była przeznaczona?

Pollyanna mrugała powiekami i marszczyła brwi, spoglądając to na jednego chłopca, to na drugiego i zupełnie nie pojmując, o co chodzi. Jerry zachichotał znowu, po czym popchnął fotel na stałe jego miejsce i odwrócił się, aby odejść. Przez ramię jeszcze zawołał w stronę Pollyanny:

— Słuchaj, mała, muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Ten młodzieniec nie jest ani pijany, ani wariat. On tylko takimi imionami obdarza swoich tutejszych przyjaciół — wskazał ręką, nadbiegające ze wszystkich stron ptaki i wiewiórki. — To nie są nawet imiona żyjących ludzi, tylko bohaterów książkowych. Rozumiesz teraz? On woli ich nakarmić niż samego siebie. Głuptas, co? Żegnam cię, *sir James* — dorzucił, robiąc zabawny grymas w stronę chłopca siedzącego w fotelu. — Nie bądź zły na mnie! Zobaczymy się później — i odszedł.

Pollyanna jeszcze ciągle mrugała powiekami i marszczyła brwi, gdy nowy znajomy odwrócił ku niej uśmiechniętą twarz.

— Nie zwracaj uwagi na Jerrego. To jest jego zwykły sposób bycia. Dałby sobie rękę uciąć dla mnie, ale lubi mi dokuczać. Gdzieś ty go widziała? Więc znał cię już dawniej? A mnie nawet nie powiedział twojego nazwiska.

— Jestem Pollyanna Whittier. Zabłądziłam kiedyś na ulicy, Jerry mnie spotkał i odprowadził do domu — wyjaśniła Pollyanna, ciągle jeszcze czując się nieswojo.

— Rozumiem. To do niego podobne — skinął głową chłopiec. — Czyż nie przywozi mnie tutaj codziennie?

Wyraz wzruszenia zamajaczył w oczach dziewczynki.

— Więc ty w ogóle nie możesz chodzić, *sir James*?

Chłopiec zaśmiał się wesoło.

— „*Sir James*” rzeczywiście! To jest jeszcze jedno wariactwo Jerrego. Nie jestem przecież żaden „*sir*”.

Pollyanna spojrzała z wyraźnym rozczarowaniem.

— Nie jesteś? I nie jesteś także lordem, jak on mówił?

— Naturalnie, że nie.

— Ach, a ja miałam nadzieję, że jesteś, tak jak ten Mały Lord Fauntleroy⁷, wiesz chyba? — wyjaśniała. — I...

Lecz chłopiec przerwał jej gorączkowo:

— Więc znasz *Małego Lorda Fauntleroya*? A wiesz może coś o Sir Lancelocie i o świętym Grallu, albo o Królu Arturze i o jego Okrągłym Stole, o Lady Rowenie, o Ivanhooie i o tych wszystkich?

Pollyanna potrząsnęła z powątpiewaniem głową.

— Obawiam się, że nie wszystkich ich znam — wyznała szczerze. — Czy oni są z książek?

Chłopiec skinął głową.

— Mam tutaj niektóre — rzekł. — Lubię je czytać nawet po kilka razy, bo zawsze znajduję w nich coś nowego. Zresztą żadnych innych książek nie mam. To są książki ojca. Ach, ty mały urwisie, zostaw to! — wybuchnął nagle śmiechem, gdy wiewiórka o puszystym ogonie wskoczyła mu na kolano i wsunęła nos do kieszeni. — Trzeba im będzie dać obiad, bo gotowe nas połknąć — uśmiechnął się do Pollyanny. — To jest właśnie Sir Lancelot, on zawsze musi być pierwszy.

⁷*Mały Lord* — tytuł oryg. *Little Lord Fauntleroy* (wyd. 1886), powieść angielskiej pisarki Frances Hodgson Burnett, autorki powieści dla młodych czytelników, takich jak *Mała księżniczka* czy *Tajemniczy ogród*. [przypis edytorski]

Spoza pleców wydobyl małe, tekturowe pudełko i otworzył je ostrożnie, śledzony bacznym wzrokiem rozszerzonych oczu wiewiórki. Nad jego głową rozległ się teraz szum skrzydeł śpieszących na poczęstunek gołębi, za którymi przyfrunęły również jaskółki. Sir Lancelot, uradowany i podniecony zajął w tej chwili niepodzielnie jedną z poręczy fotelu. Inny gość o równie puszystym ogonie, usadowił się o kilka centymetrów dalej. Trzecia wiewiórka, widocznie zazdrosna, poczęła hałasować nieznośnie na gałęzi sąsiedniego drzewa.

Z tekturowego pudełka chłopiec wyjął kilka orzechów, czerstwą bułkę i pączek. Przez chwilę spoglądał na pączek tęsknym wzrokiem, z wahaniem.

— A ty coś przyniosłaś? — zapytał wreszcie.

— Mam tutaj — skinęła głową Pollyanna, wskazując papierową torbę, którą miała w ręku.

— O, to może ja bym to zjadł dzisiaj — westchnął chłopiec, chowając pączek z powrotem do pudełka z westchnieniem ulgi.

Pollyanna, nie orientując się w tym wszystkim, o czym mówił jej towarzysz, zanurzyła dłoń w papierową torbę i jej zawartością poczęła częstować skrzydlatych i czworonożnych gości.

Cudowna to była chwila. Pollyanna spędziła najprzyjemniejsze popołudnie w życiu, bo znalazła wreszcie kogoś, kto umiał mówić szybciej i dłużej, niż ona sama potrafiła. Ten obcy chłopiec zdawał się mieć niewyczerpany zasób cudownych historii o dzielnych rycerzach i pięknych damach dworu, o ciekawych podróżach i długotrwałych wojnach. Potrafił swe historie tak barwnie opowiadać, że Pollyanna na własne oczy widziała bohaterską odwagę uzbrojonych rycerzy i damy w tkanych srebrem i złotem szatach, chociaż w rzeczywistości patrzyła tylko na stadko trzepoczących gołębi i jaskółek, oraz na puszyste wiewiórki zabawiające się wśród wysokiej trawy.

O paniach z dobroczynności zupełnie zapomniała, nawet o „grze w zadowolenie” nie myślała w tej chwili. Z pałającymi policzkami i błyszczącymi oczami przenosiła się myślą w dawne czasy, wsłuchana w opowiadanie swego towarzysza, który podczas tej jednej, krótkiej godziny chciał sobie powetować długie dni szarej, ponurej samotności.

Dopiero gdy zegar na wieży kościelnej wydzwonił południe i gdy Pollyanna znalazła się już przed domem swej opiekunki, uprzytomniła sobie nagle, że nie wie, jak się nazywa ów chłopiec.

— Wiem tylko, że nie *sir* James — szepnęła do siebie, marszcząc brwi gniewnie. — Ale mniejsza o to, przecież jutro go mogę o to zapytać.

ROZDZIAŁ VIII. JAMIE

Pollyanna jednak nie spotkała chłopca nazajutrz, bowiem padał deszcz, więc w ogóle nie mogła pójść do ogrodu. Następnego dnia także padało. Trzeciego dnia nie widziała go również, bo chociaż słońce świeciło jasno, chociaż dzień był prawie upalny i chociaż poszła do parku wyjątkowo wcześniej tego popołudnia, nowy jej znajomy nie zjawiał się wcale. Za to czwartego dnia została go na jego zwykłym miejscu i podbiegła doń z radosnym powitaniem.

— Ach, jakże się cieszę, że cię widzę! Gdzieżeś się podziewał? Wczoraj w ogóle cię tu nie było.

— Nie mogłem. Miałem takie bóle, że w żaden sposób nie mogłem wyjść z domu — wytłumaczył, a Pollyanna zauważyła, że jest dzisiaj wyjątkowo błady.

— Bóle? Więc ciebie to boli? — Wyszepiała Pollyanna, przejęta współczuciem.

— O, tak, przeważcie — skinął chłopiec głową swobodnie. — Ale zazwyczaj są to bóle do wytrzymania, wczorajsze jednak były straszne, do tego stopnia, że nie mogłem się ruszać.

— Więc jak ty możesz mieć dobry humor, skoro cię stale boli? — dziwiła się dziewczynka.

— Jak to, nie rozumiem — tym razem chłopiec otworzył szerzej oczy. — Przecież widocznie tak musi być, jak jest, więc po co myśleć o tym, że mogłoby być inaczej? Zresztą im więcej boli jednego dnia, tym przyjemniej jest nazajutrz.

— Ja wiem! To tak, jak z tą grą... — zaczęła Pollyanna, lecz chłopiec nagle jej przerwał.

— A dzisiaj przyniosłaś dużo orzechów? — zapytał niespokojnie. — Mam nadzieję że tak! Bo widzisz, ja dzisiaj zupełnie nic nie mogłem przynieść. Jerry dziś rano nie mógł zaoszczędzić ani pensa na orzechy i nawet sam mam bardzo skromne śniadanie w pudełku.

Pollyanna spojrzała nań z przerażeniem.

— Więc mówisz, że sam będziesz miał mało na drugie śniadanie?

— Oczywiście! — uśmiechnął się chłopiec. — Ale nie martw się. Nie pierwszy to raz i nie ostatni. Już się do tego przyzwyczaiłem. O, patrz, zjawił się Sir Lancelot.

Pollyanna jednak nie myślała w tej chwili o wiewiórkach.

— A w domu także nie było więcej do jedzenia?

— Ach, nie, w domu nigdy nic nie zostaje — zaśmiał się chłopiec. — Widzisz, mamcia pracuje poza domem: myje schody i pierze, więc dostaje tam jedzenie, a Jerry je co popadnie, tylko rano i wieczorem jada z nami, jeżeli jest coś w domu do jedzenia.

Pollyanna była coraz bardziej przestraszona.

— A co robicie, jak nic nie macie?

— Chodzimy głodni, oczywiście.

— Jeszcze nigdy nie słyszałam o takich ludziach, którzy by nie mieli co jeść — dziwiła się Pollyanna. — Wprawdzie tatuś i ja też byliśmy biedni i jedliśmy groch i rybę, gdy mieliśmy apetyt na indyka, ale w każdym razie zawsze coś do jedzenia było. Dlaczego nie mówicie o tym ludziom, tym ludziom, którzy mieszkają w tych wszystkich pięknych domach?

— A co by nam z tego przyszło?

— Jak to, daliby wam coś, oczywiście!

Chłopiec zaśmiał się znowu, tym razem trochę dziwnie.

— Naiwna jesteś, moja droga. I tak by nic z tego nie było. Przynajmniej nikt z tych ludzi, których ja znam, nie uwzględniłby naszej prośby i nie poczęstowałby nas ani pieczynią, ani ciastkami z kremem. Zresztą, ponieważ ty ani przez chwilę nigdy nie byłaś głodna, jest zupełnie zrozumiałe, że nie możesz wiedzieć, jak bardzo w takich razach smakuje suchy chleb z mlekiem. Nie potrafiłabyś tego nawet zanotować w swojej Radosnej Księdze.

— W czym?

Chłopiec zaśmiał się zażenowany i nagle poczerwieniał.

— Zapomnij o tym! Zdawało mi się przez chwilę, że rozmawiam z mamcią, albo z Jerrym.

— Ale co to jest ta twoja Radosna Księga? — szepnęła Pollyanna. — Proszę cię, powiedz. Czy są w niej rycerze, panowie i damy?

Chłopiec potrząsnął głową. Oczy mu pociemniały i zasnęła je mgła smutku.

— Nie, wcale tego nie chciałem — westchnął głęboko. — Ale widzisz, jak człowiek nie może nawet chodzić, nie może walczyć i zdobywać trofeów, nie może marzyć o tym, aby jakaś piękna dama podała mu szpadę i udekorowała pierś złotym żetonem. — Nagły płomień zapalił się w jego oczach. Podniósł głowę, jakby w odpowiedzi na czyjś wyzwanie, po czym w tej samej chwili ów płomień przygasł i chłopiec zapadł w milczenie.

— Taki człowiek nie jest do niczego zdolny — mówił po chwili zmęczonym głosem. — Może tylko siedzieć i myśleć, a czas długi mu się okropnie. Ze mną właśnie tak jest. Chciałbym chodzić do szkoły i uczyć się tych wszystkich rzeczy, których mamcia nauczyć mnie nie może, a o których myślę tak często. Chciałbym biegać i grać w piłkę z innymi chłopcami, chciałbym wychodzić z domu i sprzedawać gazety z Jerrym. Chciałbym, aby nie potrzebował się mną nikt opiekować przez całe życie.

— Wiem, wiem — wyszeptała Pollyanna, patrząc nań rozjaśnionym wzrokiem. — Przecież i mnie na pewien czas nogi odmówiły posłuszeństwa.

— Naprawdę? Wobec tego na pewno musisz wiedzieć, jak to jest. Ale ty później wyzdrowiałaś, a ja nie — westchnął i oczy mu jeszcze bardziej pociemniały.

— Jednakże do tej pory nie powiedziałeś mi jeszcze o Radosnej Księdze — przypomniała mu Pollyanna po chwili.

Chłopiec drgnął i zaśmiał się zawstydzony.

— Widzisz, bo ona ma pewną wartość tylko dla mnie. Ty na pewno byś się wcale nią nie interesowała. Rozpocząłem ją rok temu. Czulem się tego dnia wyjątkowo niedo-
brze. Wszystko mnie drażniło. Miałem do wszystkich pretensję, siedziałem zamyślony,

aż wreszcie wziąłem jedną z książek ojca i próbowałem czytać. Wzrok mój spoczął przede wszystkim na następującym ustępie, którego się później nauczyłem na pamięć:

„Przyjemności tkwią głęboko, tam, gdzie ich wcale nie widzimy. Radość istnieje w dźwięku lub w ciszy”.

— Byłem oszołomiony. Zacząłem się zastanawiać nad tym, czy i w mojej ciszy jest radość i zacząłem jej szukać, wiesz, tej radości. Sięgnąłem po czysty notes, który mi kiedyś Jerry podarował i postanowiłem zapisywać w nim wszystkie moje radości. Odtąd wszystko, co mi sprawiało przyjemność, zapisywałem w notesie, aby później móc się przekonać, ile tych radości miałem.

— Tak, tak! — zawołała uradowana Pollyanna, gdy chłopiec zamilkł na chwilę.

— Nie spodziewałem się ich wiele, a okazało się, że jest ich bardzo dużo. Istniały rzeczy, które trochę lubiłem, więc i one oczywiście znalazły się w moim notatniku. Z zapisywaniem było coraz więcej roboty. Raz ktoś podarował mi kwiat w doniczce, innym znów razem Jerry znalazł ciekawą książkę w tramwaju. Znajdowałem coraz więcej przyjemności w odszukiwaniu tych miłych drobiazgów i w ten sposób czas mi się już tak nie dłużył. Pewnego dnia Jerry znalazł mój notatnik i przeczytał wszystko, co w nim było, po czym nazwał go Radosną Księgą. Potem już tak zostało.

— Tak zostało! — zawołała Pollyanna z rozjaśnioną twarzą. — Przecież to jest właśnie moja gra! Zabawiasz się w „grę w zadowolenie” i sam o tym nie wiesz, a nauczyłeś się jej lepiej niż ktokolwiek inny. Obawiam się, że nawet ja nie potrafiłabym w nią grać, gdybym nie miała co jeść i gdybym zupełnie nie mogła chodzić.

— Gra? Jaka gra? Ja nic o takiej grze nie wiem — zmarszczył brwi chłopiec.

Pollyanna klasnęła w dłonie.

— Wiem, że nie wiesz i dlatego to jest takie miłe i takie nadzwyczajne! Ale posłuchaj, opowiem ci.

I opowiedziała mu o wszystkim dokładnie.

— Hm! — mruknął w zamyśleniu, gdy skończyła. — I co teraz o tym wszystkim myślisz?

— Że grasz w moją grę lepiej niż ktokolwiek, a ja przecież nie znam nawet twego nazwiska i nic o tobie nie wiem! — zawołała Pollyanna, nie panując już nad sobą. — Ale chciałabym wiedzieć, chciałabym wiedzieć wszystko.

— Właściwie niewiele jest ciekawego — odparł, wzruszając ramionami. — Zresztą patrz, przyszedł biedny Sir Lancelot i jego przyjaciele, żeby im dać obiad.

— Mój Boże, już są — westchnęła Pollyanna, patrząc niecierpliwie na kręcące się, wygłodniałe stworzonka. Niechętnym ruchem sięgnęła po papierową torebkę, którą przyniosła ze sobą i całą jej zawartość wysypała na ziemię. — Już załatwione, więc możemy mówić dalej. — rzekła. — A tyle jeszcze chciałabym się dowiedzieć. Przede wszystkim powiedz mi, jak się nazywasz? Wiem tylko, że „Sir James”.

Chłopiec uśmiechnął się.

— To tylko Jerry tak mnie nazywa, a mamcia woła mnie „Jamie”.

— Jamie? — Pollyanna wstrzymała oddech, sztywniejąc z wrażenia. Błysk nadziei pojawił się w jej oczach, jednak zaraz po chwili odzwierciadliło się w nich pełne przestrachu powątpiewanie.

— Czy „mamcia” to znaczy mama?

— Naturalnie!

Pollyanna najwidoczniej posmutniała. Z twarzy jej znikł rozradowany uśmiech. Jeżeli Jamie ma matkę, to oczywiście nie może być owym Jamiem pani Carew, którego matka umarła już bardzo dawno. Ale chociaż nim nie jest, to jednak trzeba przyznać, że jest wyjątkowo interesujący.

— A gdzie ty mieszkasz? — dopytywała gorączkowo. — Czy masz jeszcze kogośkolwiek w rodzinie oprócz matki i Jerry’ego? Czy zawsze przyjeżdżałeś tu codziennie? Gdzie masz swoją Radosną Księgę? Czy mogłabym ją zobaczyć? Czy lekarze nie obiecują ci, że będziesz mógł kiedyś chodzić? A skąd zdobyłeś ten fotel na kółkach?

Chłopiec uśmiechnął się.

— Czy przypuszczasz, że na te wszystkie pytania będę ci mógł od razu odpowiedzieć? Zacznę od ostatniego i tak będę odpowiadał po kolei, jeżeli wszystkie zapamiętałam. Fotel

ten zdobyłem rok temu. Jerry zna takiego jednego jegomościa, który pisze do gazet, więc napisał i o mnie, że nie mogę chodzić, o wszystkim i nawet o mojej Radosnej Księżce. Pewnego dnia przyszło dwóch panów i dwie panie z tym fotelem i powiedzieli, że fotel jest dla mnie. Przeczytali w gazecie to, co było o mnie napisane i chcieli, żebym miał od nich pamiątkę.

— O, Boże, jaki ty musiałeś być zadowolony!

— Naturalnie, że byłem. Na ten temat całą stronę zapisałem w mojej Radosnej Księżce.

— A nigdy już nie będziesz mógł chodzić? — oczy Pollyanny napełniły się łzami.

— W każdym razie nie zanosi się na to. Mówią, że to niemożliwe.

— Ach, i o mnie to samo mówili, ale jak pojechałam do doktora Amesa i byłam tam przez rok, to zupełnie wyzdrowiałam. Może on i tobie by pomógł?

Chłopiec potrząsnął głową.

— To niemożliwe, bo i tak nie mógłbym do niego jechać. To musi bardzo dużo kosztować, więc trzeba się pogodzić z myślą, że nigdy już chodzić nie będę. Ale mniejsza o to — niecierpliwie odrzucił w tył głowę. — Staram się w ogóle o tym nie myśleć. Wiesz przecież, do czego takie myślenie doprowadza.

— Tak, tak, naturalnie i niepotrzebnie o tym mówię — zawołała Pollyanna, odczuwając żal do samej siebie. — Najważniejsze jest to, że potrafisz grać w moją grę lepiej ode mnie. Ale mów dalej. Nie odpowiedziałeś mi jeszcze nawet na połowę pytań. Gdzie mieszkasz i czy Jerry jest twoim jedynym bratem?

Nagła zmiana pojawiła się na twarzy chłopca. Oczy mu zabłyśły.

— Tak, chociaż zasadniczo to nie jest mój brat. Nie jest nawet moim krewnym, tak samo zresztą jak i mamcia. I pomyśl tylko, jacy oni są dla mnie dobrzy!

— Co to znaczy? — zapytała Pollyanna, nie wierząc własnym uszom — więc ta... ta twoja mamcia nie jest twoją matką?

— Nie, i właśnie dlatego...

— A ty w ogóle nie masz matki? — przerwała Pollyanna z wzrastającym podnieceniem.

— Nie, matki w ogóle nie pamiętam, a ojciec umarł sześć lat temu.

— Ile ty wtedy miałeś lat?

— Nie wiem. Byłem bardzo mały. Mamcia powiada, że mogłem mieć najwyżej sześć lat. To znaczy wtedy, kiedy oni mnie do siebie wzięli.

— I na imię ci Jamie? — Pollyanna z trudem wstrzymywała oddech.

— No tak, przecież powiedziałem.

— A jakie jest twoje nazwisko? — tęsknie, lecz bojaźliwie zapytała Pollyanna.

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie pamiętam. Przypuszczam, że byłem za mały. Nawet Murphy'owie nie wiedzą. Zawsze mnie znali tylko jako Jamiego.

Rozczarowanie odmalowało się na twarzy Pollyanny, lecz w tym samym momencie jakaś myśl odegnała ten chwilowy cień.

— Jeżeli nie wiesz, jak brzmi twoje nazwisko, to na pewno nie będziesz również wiedział, czy przypadkiem nie nazywałeś się Kent! — zawołała.

— Kent? — zdziwił się chłopiec.

— Tak — odparła Pollyanna w podnieceniu. — Bo widzisz, był taki mały chłopiec nazwiskiem Jamie Kent, który... — urwała nagle, przygryzając wargi. Przyszło jej na myśl w tej chwili, że lepiej będzie, jeśli nie zwierzy się przed chłopcem ze swojej nadziei, że właśnie on mógł być owym zaginionym Jamiem. Najlepiej samej się najprzód upewnić co do tego, bo gotowa mu zamiast radości dostarczyć tylko jeszcze więcej goryczy. Pamiętała dobrze, jak bardzo rozczarowany był Jimmy Bean, gdy zmuszona była mu powiedzieć, że panie z dobroczynności nie chcą go już więcej i gdy z początku nie chciał go również Pendleton. Postanowiła nie popełniać tego błędu po raz drugi, toteż natychmiast przybrała minę jak najbardziej obojętną i rzekła:

— Ale mniejsza o Jamiego Kenta. Opowiedz mi lepiej o sobie. Jestem szalenie ciekawa!

— Właśnie niewiele jest do opowiadania. Nie wiem o niczym przyjemnym — wahał się chłopiec. — Podobno ojciec mój był... był bardzo dziwny i nigdy z nikim nie rozmawiał. Sąsiedzi nie znali nawet jego nazwiska, tylko nazywali go „profesorem”. Mamcia powiada, że mieszkaliśmy obydwoj w małym pokoiczku na poddaszu domu w Lowell, gdzie mamcia do tej pory mieszka. Mamcia była wtedy bardzo biedna, ale nie tak biedna jak dzisiaj. Ojciec Jerry’ego żył wówczas i pracował.

— Tak, tak, mów dalej — zachęcała Pollyanna.

— Otóż mamcia powiada, że mój ojciec był chory i stawał się coraz bardziej dziwny, więc oni zabierali mnie do siebie na dół, żebym ciągle tak z nim nie siedział. Mogłem wtedy trochę chodzić, ale moje nogi nie były zupełnie w porządku. Bawiłem się z Jerrym i z jego małą siostrzyczką, która umarła. Gdy ojciec umarł, nie było nikogo, kto by mógł mnie zabrać, więc niektórzy sąsiedzi chcieli mnie oddać do przytułku dla sierot. Wtedy właśnie ta mała dziewczynka umarła, więc powiedzieli, że ja zajmę jej miejsce. I od tego czasu u nich jestem. Czuję się coraz gorzej, a oni też są coraz biedniejsi od czasu, jak ojciec Jerry’ego umarł, trzymają mnie jednak u siebie. No, czy nie uważasz, że to jest prawdziwa miłość bliźniego?

— Tak, o, tak — zawołała Pollyanna. — Ale otrzymają swoją nagrodę, otrzymają na pewno! — Pollyanna drżała już teraz z podniecenia. Ostatni cień wątpliwości pierzchnął bezpowrotnie. Odnalazła zaginionego Jamiego. Była tego pewna. Ale lepiej nic jeszcze nie mówić o tym. Najprzód musi go zobaczyć pani Carew. A później... później! Nawet Pollyannę imaginacja⁸ zawodziła, gdy chciała sobie wyobrazić panią Carew i Jamiego w tej chwili wielkiego szczęścia.

Skoczyła na równe nogi, nie zważając zupełnie na Sir Lancelota, który wrócił znowu i ośmielił się wejść jej na kolana w poszukiwaniu większej ilości orzechów.

— Muszę już teraz iść, ale jutro tu przyjdę. Możliwe, że przyjdę z jedną panią, którą na pewno chętnie poznasz. Ty będziesz tu także jutro, prawda? — zapytała z niepokojem.

— Oczywiście, o ile tylko będzie pogoda. Jerry przywozi mnie tutaj prawie codziennie rano. Później już by nie mógł, bo musi sprzedawać gazety. Zabieram swój obiad i zostaję do czwartej. Jerry jest bardzo dobry dla mnie, jak brat.

— Wiem, wiem — skinęła głową Pollyanna. — Może znajdziesz kogoś takiego, kto będzie dla ciebie także bardzo dobry — uśmiechnęła się i z uśmiechem tym szybko pobiegła do domu.

ROZDZIAŁ IX. PLANY I PROJEKTY

W drodze do domu Pollyanna układała pełne nadziei plany. Jutro za wszelką cenę musi nakłonić panią Carew, aby poszła z nią na spacer do publicznego parku. W jaki sposób plan ten zdoła przeprowadzić, sama jeszcze nie orientowała się dokładnie, wiedziała tylko, że to jest konieczne.

O tym, żeby powiedzieć pani Carew po prostu, że odnalazła Jamiego i że pragnie, aby ona sama go zobaczyła — nie mogło być mowy. Przecież zachodziła możliwość, że to wcale nie był ten Jamie, a jeżeli tak było istotnie i jeżeli rozpaliby w duszy pani Carew płonne nadzieje, rezultat mógłby być tragiczny. Pollyanna wiedziała od Mary, że już dwukrotnie pani Carew narażana była na głębokie rozczarowanie, gdy jej wskazano jakiegoś rzekomo znalezionego chłopca, który jednak, jak się okazało, absolutnie nie był podobny do synka zmarłej siostry. Zdawała więc sobie sprawę, że w żaden sposób nie może powiedzieć pani Carew, dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, aby wraz z nią udała się do parku. Ale to byłby przecież jedyny sposób, przekonywała samą siebie Pollyanna, biegnąc uszczęśliwiona do domu.

Los jednakże, jak się okazało, jeszcze raz postanowił wtrącić się w te przykre sprawy, bo nazajutrz, wyjrawszy przez okno, Pollyanna przekonała się, że pogoda absolutnie nie nadaje się do spaceru po ogrodzie. Gorzej jeszcze, bo ani następnego dnia, ani też po dwóch dniach chmury za żadną cenę nie chciały się przerzedzić i dziewczynka zmuszona była wszystkie trzy popołudnia spędzić na wędrowaniu od okna do okna, spoglądaniu w niebo i ciągłym zadawaniu jednego i tego samego pytania:

— Jak pani myśli, czy wygląda na to, że się wypogodzi?

⁸imaginacja — wyobraźnia. [przypis edytorski]

Tak niezwykle było to zachowanie ze strony zawsze wesołego i pogodnego dziecka i tak irytująco działało jedno i to samo pytanie powtarzane co chwilę, że pani Carew wreszcie straciła cierpliwość.

— Na miłość boską, dziecko, o co ci chodzi? — wybuchnęła. — Nigdy nie przypuszczałam, że potrafisz tak kapryścić na temat pogody. A gdzież się podziała dzisiaj twoja „gra w zadowolenie”?

Pollyanna poczerwieniała i zawstydzona się.

— Mój Boże, rzeczywiście zapomniałam w tej chwili o mojej grze — przyznała. — A przecież na pewno znalazłabym coś przyjemnego, gdybym tylko poszukała. Na przykład przyjemnie jest pomyśleć, że kiedyś przecież deszcz przestanie padać, jeżeli Pan Bóg nie ześle nowej chmury. Ale widzi pani, tak chciałam, żeby dzisiaj było ładnie.

— Dlaczego specjalnie dzisiaj?

— Ach, bo... bo miałam ochotę pójść na spacer do parku — Pollyanna usiłowała mówić najbardziej obojętnie. — Myślałam... myślałam nawet, że pani także zechce pójść ze mną. — Zewnętrznie Pollyanna była szalenie odważna, lecz w duszy po prostu spalała ją gorączkowe podniecenie.

— Ja mam iść na spacer do parku? — zdziwiła się pani Carew, unosząc ku górze brwi. — Bardzo ci dziękuję, ale obawiam się, że nic by z tego nie było — dorzuciła z uśmiechem.

— Ach, przecież by pani chyba nie odmówiła! — wyszeptała Pollyanna z nagłym przerażeniem.

— Owszem, odmawiam.

Pollyanna z trudnością przełknęła ślinę. Twarzyczka jej stawała się coraz bardziej blada.

— Ależ, proszę nie mówić, że pani nie pójdzie, jak będzie pogoda — błagała. — Ja ze specjalnej przyczyny chciałabym, żeby pani poszła ze mną ten jeden raz.

Pani Carew zmarszczyła brwi. Otworzyła już usta, aby wypowiedzieć „nie” jeszcze bardziej stanowczo, lecz coś w błagalnym wzroku Pollyanny powstrzymało ją od tego i w zamian z otwartych ust padła nieoczekiwana obietnica.

— Dobrze, dobrze, dziecko, niech i tak będzie. Ale jak ci przyrzeknę pójść, ty musisz mi ze swojej strony przyrzec, że chociaż przez godzinę nie będziesz podchodziła do okna i nie będziesz pytała, czy myślę, że się wypogodzi.

— Dobrze, będę... chciałam powiedzieć, że nie będę — odparła zadyszana Pollyanna, po czym, widząc, że na dworze robi się jaśniej, mimo woli podbiegła do okna, wołając radośnie: — Jak pani myśli, czy się... Ach! — urwała nagle z przerażeniem i wybiegła z pokoju.

Nieoczekiwanie „wypogodziło się” następnego ranka. Lecz chociaż słońce świeciło jasno, na dworze panował przykry chłód i po południu, gdy Pollyanna wróciła ze szkoły, zerwał się bardzo silny wiatr. Mimo wszelkich protestów jednak, upierała się, że dzień jest wyjątkowo piękny i zaznaczyła, że będzie bardzo zmartwiona, jeżeli pani Carew nie pójdzie z nią na spacer do parku. I pani Carew poszła, chociaż z początku oponowała⁹.

Jak było do przewidzenia, wyprawa okazała się bezowocna. Zniecierpliwiona kobieta i zaniepokojona dziewczynka, drżąc, śpiesznie przebiegały wszystkie alejki parkowe. Pollyanna, nie znalazłszy chłopca w zwykłym jego miejscu, szukała go po wszystkich kątach i zakamarkach ogrodu. Była wreszcie w parku i zdołała sprowadzić tutaj panią Carew, a Jamiego nie mogła znaleźć i co gorsza, nie mogła pisać o tym ani słowem pani Carew. Wreszcie zziębnięta i przemęczona, pani Carew zażądała powrotu do domu, więc Pollyanna z rozpaczą w duszy poszła.

Nastaly smutne dni dla Pollyanny. To, co dla niej graniczyło z tragedią, a w oczach pani Carew było tylko zwykłą „niepogodą”, pogarszało jeszcze nastrój, stwarzało pustkę i czyniło życie bezbarwnym. Jeżeli w przerwach choć na chwilę wylaniało się spoza chmur słońce, Pollyanna wybiegała do parku, lecz za każdym razem na próżno. Jamiego nie było. Nastala połowa listopada i nawet ten przyjemny i wesoły park stał się teraz dziwnie ponury. Drzewa stały nagie, ławki prawie puste i ani jednej łódki nie widać było na stawku. Wprawdzie wiewiórki i gołębie trwały na swoich stanowiskach, a jaskółki fruwały stadami jak zwykle, lecz karmić je było raczej przykro niż radośnie, bo każde machnięcie

⁹oponować — sprzeciwiać się. [przypis edytorski]

ogonem Sir Lancelota przywodziło gorzkie wspomnienia o chłopcu, który mu nadał to imię i którego nie było teraz tutaj.

— I pomyśleć, że nie dowiedziałam się nawet, gdzie mieszka! — powtarzała wciąż do siebie Pollyanna w miarę upływających dni. — A na pewno to był Jamie, jestem przekonana. I teraz będę musiała czekać i czekać, dopóki wiosna nie nadejdzie, dopóki nie będzie wystarczająco ciepło, żeby tu mógł przyjść znowu. A wtedy może ja znowu nie będę tu mogła przychodzić. O, Boże, Boże, przecież to był Jamie, jestem pewna, że to był on!

Wreszcie pewnego słotnego popołudnia stało się coś nieoczekiwanego. Przechodząc korytarzem na górze, Pollyanna usłyszała z dolnego hallu jakieś gniewne głosy, z których jeden był głosem Mary, drugi zaś... Ten drugi głos właśnie mówił:

— Przestałaby pani! Tu nie ma mowy o jałmużnie. Pani rozumie? Chcę widzieć tę małą, Pollyannę. Mam dla niej wiadomość od... od Sir Jamesa. Może by pani tę małą tu zawołała.

Z okrzykiem radości Pollyanna zawróciła i zbiegła szybko po schodach.

— Ach, jestem właśnie, jestem! — zawołała, wstrzymując oddech. — Co się stało? Czy Jamie cię przysłał?

Pod wpływem podniecenia omal nie rzuciła się chłopcu na szyję, lecz zapobiegła temu przerażona i zgorziona Mary.

— Panno Pollyanno, panno Pollyanno, więc panienka go zna, tego żebraka?

Chłopiec zarumienił się gniewnie, lecz zanim zdążył przemówić, Pollyanna już samorzutnie stanęła w jego obronie.

— To nie jest wcale żebrak. On jest moim najserdeczniejszym przyjacielem, zresztą to właśnie on odprowadził mnie do domu wtedy, gdy zabłądziłam — po czym zwróciła się do chłopca, powtarzając raz jeszcze: — Co się stało? Czy Jamie cię przysłał?

— Oczywiście, że on. Zaziębił się miesiąc temu i dotychczas nie wstał.

— Co takiego? — zdziwiła się Pollyanna.

— Zaziębił się, położył się do łóżka. Jest chory i chce się z tobą widzieć. Przyjdiesz?

— Chory? O, jak mi przykro! — Zmartwiła się Pollyanna. — Naturalnie, że przyjdę. Pójdę tylko po kapelusz i płaszcz i zaraz wrócę.

— Panno Pollyanno! — zawołała Mary w najwyższym zgorzzeniu. — Tak panienka mówi, jakby pani Carew pozwoliła panience pójść z jakimś obcym chłopakiem!

— Ależ on nie jest wcale obcy — zaprotestowała Pollyanna. — Znam go od dawna i muszę tam iść. Ja...

— Na miłość boską, co to wszystko znaczy? — zawołała pani Carew lodowatym tonem, ukazując się w drzwiach salonu. — Pollyanno, kim jest ten chłopiec i co on tutaj robi?

Pollyanna odwróciła się z mimowolnym okrzykiem.

— Ach, proszę pani, pani mi pozwoli pójść, prawda?

— Dokąd pójść?

— Zobaczyć się z moim bratem, proszę pani — wtrącił pośpiesznie chłopak, usiłując być grzeczny. — On jest chory i nie da mi chyba spokoju, dopóki jej nie przyprowadzę. Ciągłe myśli o niej.

— Czy mogę pójść, pani mi pozwoli? — prosiła Pollyanna.

Pani Carew nachmurzyła się.

— Pójść z tym chłopcem, ty? Oczywiście, że nie, Pollyanno! Dziwię się, że śmiałaś przez chwilę pomyśleć o tym.

— Ale ja bym chciała, żeby i pani ze mną poszła — szepnęła zawstydzona dziewczynka.

— Ja? Głupstwa pleciesz, moje dziecko! To niemożliwe. Możesz dać temu chłopcu trochę pieniędzy, jeśli chcesz, ale...

— Dziękuję pani, ja tu nie przyszedłem po pieniądze — zawołał chłopak, a oczy pałały mu gniewem. — Przyszedłem tutaj po nią.

— Tak, proszę pani, to jest Jerry, Jerry Murphy, ten chłopiec, który mnie znalazł, jak zginęłam i odprowadził do domu. Czy teraz pozwoli mi pani iść?

Pani Carew potrząsnęła przecząco głową.

— Nie ma o czym mówić, Pollyanno.

— Ale on powiada, że ja... że tamten chłopiec jest chory i chce mnie widzieć!

— Na to, niestety, nic pomóc nie mogę.

— Ale ja go naprawdę znam bardzo dobrze, proszę pani. Mówię prawdę. On czyta książki, takie śliczne książki, w których jest pełno rycerzy, możnych panów i dam, karmi ptaki i wiewiórki i nadaje im imiona, poza tym nie może chodzić i często po całych dniach nie ma nic do jedzenia. Ten chłopiec od roku już gra w moją grę, a wcale o tym nie wiedział i gra w nią o wiele lepiej ode mnie. Naprawdę, proszę pani, ja muszę tam iść do niego — Pollyanna już prawie szlochala. — Nie mogę go znowu utracić!

Rumieniec gniewu ukazał się na policzkach pani Carew.

— Pollyanno, pleciesz głupstwa. Jestem zdziwiona. Jestem zaskoczona tym, że upierasz się przy czymś, czego ja nie pochwalam. Nie mogę pozwolić na to, żebyś poszła z tym chłopcem. A teraz proszę cię, żebym więcej o tym nie słyszała!

Nowy wyraz odmalował się na twarzy Pollyanny. Z przerażoną miną podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy pani Carew, po czym drżącym, lecz poważnym tonem rzekła:

— Wobec tego powiem już pani. Chciałam milczeć, dopóki się nie upewnię. Chciałam, żeby go pani najprzód zobaczyła. Ale teraz muszę powiedzieć. Nie mogę go stracić znowu. Mam wrażenie, że to jest Jamie.

— Jamie! Ale nie mój Jamie! — Pani Carew nagle zbladła. — Niemożliwe!

— Wiem o tym, ale na imię mu Jamie, a nazwiska swego nie zna. Ojciec umarł mu, gdy miał sześć lat, a matki swojej zupełnie nie pamięta. Przypuszcza, że ma teraz dwanaście lat. Ci ludzie zabrali go po śmierci ojca, ojciec zaś za życia był strasznie dziwny, nie powiedział nikomu swego nazwiska i...

Lecz pani Carew przerwała jej ruchem ręki. Była teraz jeszcze bledsza niż przedtem, lecz oczy jej płonęły niesamowitym ogniem.

— Pójdziemy tam natychmiast — zawołała. — Mary, powiedz Perkinsowi, żeby wóz jak najprędzej był gotowy. Pollyanno, biegnij po płaszcz i kapelusz. Chłopcze, proszę cię, zaczekaj chwilę. Zaraz będziemy gotowe i pójdziemy z tobą — i pani Carew pobiegła śpiesznie na górę.

Chłopak czekający na dole w hallu odetchnął głęboko.

— Patrzcie państwo! — gwizdnął przez zęby. — To nawet autobusem nie trzeba będzie jechać! Taka jazda to dopiero pierwsza klasa! Ciekawe, co na to powie Sir James?

ROZDZIAŁ X. U RODZINY MURPHYCH

Z głuchym warkotem, który jest tak charakterystyczny, jeżeli chodzi o luksusowe limuzyny, auto pani Carew pomknęło w dół alei Commonwealth i ulicą Arlington do placu Karola. Wewnątrz siedziała jasnooka dziewczynka i blada, najwidoczniej zdenerwowana, elegancka kobieta. Na siedzeniu przy motorze, ku niechęci zgorzonego szofera, zajął miejsce Jerry Murphy, niezwykle dumny i przejęty swoją misją.

Gdy limuzyna zatrzymała się przed odrapaną bramą, na wąskiej, brudnej uliczce, chłopak wyskoczył na chodnik i naśladując maniery lokaja w liberii, które niejednokrotnie miał okazję zaobserwować, otworzył usłużnie drzwiczki auta, czekając aż panie wysiądą.

Pollyanna wyskoczyła od razu i oczy jej rozszerzyły się przestraszeniem, gdy rozejrzała się dokoła. Za jej przykładem poszła pani Carew, drżąc na całym ciele, ze wzrokiem palającym, spoglądając nieufnie na gromadkę obdartych dzieci, które szczebiocąc i wymyślając sobie nawzajem, bawiły się przed kamienicą, a teraz z ciekawością otoczyły auto.

I Jerry począł wymachiwać gniewnie rękami.

— Wynosić mi się stąd! — wołał do tłumu dzieciarni. — Tu nie jest bezpłatne kino! W tej chwili uciekajcie. Z drogi. Goście przyjechali do naszego Jamiego.

Pani Carew zdrząła znowu i położyła dłoń na ramieniu Jerry'ego.

— Daj spokój! — mitygowała¹⁰ go.

Ale chłopiec nie słyszał. Rozpychając się pięściami i łokciami, torował drogę znakomitym gościom i nim pani Carew zdążyła się zorientować, znajdowała się już wraz z chłopcem i Pollyanną u podnóża krzywych schodów prowadzących do ciemnego, cuchnącego korytarza.

Jeszcze raz wyciągnęła przed siebie drżącą rękę.

¹⁰mitygować — powściągać kogoś, powstrzymywać kogoś. [przypis edytorski]

— Zaczekajcie — rozkazała szeptem. — Pamiętajcie! Żeby żadne z was nie powie-
działo ani słowa, że... że to może ten chłopiec, którego szukam. Muszę najprzód sama
zobaczyć i zadać mu kilka pytań.

— Oczywiście! — zgodziła się Pollyanna.

— To się wie — skinął głową chłopiec. — Ja tam nie będę przeszkadzał. Proszę tylko
wchodzić ostrożnie po tych schodach, bo wszędzie są dziury, a często można spotkać
tutaj jakiegoś śpiącego dzieciaka. Winda jest dzisiaj nieczynna — zażartował wesoło. —
Musimy pójść na górę piechotą!

Pani Carew wkrótce sama przekonała się o owych dziurach, w które co chwila wpa-
dały jej obcasy, dostrzegła również zapowiedzianego dzieciaka — dwuletnie maleństwo,
bawiące się jakimś blaszanym pudełkiem i robiące przy tym mnóstwo hałasu na całych
schodach. Ze wszystkich stron drzwi były otwarte lub uchylone i co chwilę przez wąską
szczelinę ukazywała się jakaś twarz kobieca lub brudna twarzyczka dziecka. Z niektórych
mieszkań dobiegał głośny płacz niemowlęcia, z innych znów przekleństwa wypowiedane
męskim głosem. Zewsząd czuć było zapach wódki, gotującej się kapusty i dawno niemy-
tych ciał ludzkich.

Na trzecim i ostatnim piętrze chłopiec zatrzymał się przed jakimiś zamkniętymi
drzwiami.

— Właśnie myślę o tym, co powie Sir James, gdy zobaczy paczkę, którą mu przynio-
słem — wyszeptał przyciszonym głosem. — Mamcia to na pewno będzie płakać, jakby
Jamie od nas odchodził. — Po chwili otworzył na oścież drzwi z radosnym okrzykiem:
— Już jesteśmy, przyjechaliśmy autobusem! Lepiej się czujesz, Sir James?

Był to maleńki pokój, zimny, niewesoły i beznadziejnie pusty, lecz czysty i schlud-
ny. Nikt nie wychylił głowy przez otwarte drzwi, nie było tu rozkrzyczanych dzieci, nie
unosila się w powietrzu przykra woń wódki, kapusty czy ludzkiego brudu. W pokoiku
stały dwa łóżka, trzy połamane krzesła, zwykły stół z surowego drzewa i komin z dogasa-
jącym ogniem, który widocznie rozpalany był tylko wówczas, kiedy przejmujące zimno
dawało się dobrze we znaki mieszkańcom. Na jednym z łóżek leżał chłopiec o zaczer-
wienionych policzkach i pałających gorączką oczach. Przy nim siedziała szczupła, blada
kobieta, pochylona i zgarbiona od reumatyzmu.

Pani Carew weszła do pokoju i jakby pragnąc dodać samej sobie odwagi, przystanąła
na chwilę, oparta plecami o ścianę. Pollyanna spiesznie pobiegła naprzód z radosnym
okrzykiem, Jerry zaś, usprawiedliwwszy się krótkim: „Zaraz wrócę, przepraszam!” —
zniknął za drzwiami.

— Ach, Jamie, tak się cieszę że cię znalazłam — zawołała Pollyanna. — Nie wiesz
nawet, że szukałam cię codziennie. Ale przykro mi, że jesteś chory!

Jamie uśmiechnął się radośnie i wyciągnął ku niej wychudzoną rękę.

— Ja się nie martwię, jestem zadowolony — odparł wymownie — bo dzięki temu
przyszłaś mnie odwiedzić. Zresztą już teraz czuję się lepiej. Mamciu, to jest ta mała dziew-
czynka, która mnie nauczyła „gry w zadowolenie”. Mamcia już także w to gra — zawołał
z triumfem, zwracając się do Pollyanny. — Z początku płakała, że ją plecy bolą i że nie
może nic robić, ale później, gdy ja zachorowałem, zaczęła się cieszyć, że nie pracuje, bo
choć może się mną opiekować.

W tej chwili pani Carew postąpiła kilka kroków naprzód, patrząc z przestrachem
i jednocześnie z tęsknotą w twarz chłopca leżącego w łóżku.

— To jest pani Carew. Przyszła tu ze mną, aby cię zobaczyć, Jamie — przedstawiła
ją Pollyanna drżącym głosem.

Szczupła, zgarbiona kobieta podniosła się w tej chwili z wysiłkiem, podsuwając go-
ściowi krzesło. Pani Carew przyjęła zaproszenie, nie patrząc nawet na właścicielkę mieszk-
kania. Wzrok jej przez cały czas był utkwiony w twarz chłopca.

— Na imię ci Jamie? — zapytała z widocznym trudem.

— Tak, proszę pani. — Jasne jego oczy nie unikały jej spojrzenia.

— A jak się nazywasz?

— Nie wiem.

— To nie jest pani syn? — po raz pierwszy pani Carew zwróciła się do bladej kobiety,
stojącej wciąż przy łóżku.

— Nie, łaskawa pani.

— I nie zna pani jego nazwiska?

— Nie, łaskawa pani. Nigdy go nie znałam.

Z wyrazem rozpaczy pani Carew zwróciła się znowu do chłopca.

— Ale pomyśl, pomyśl... nie przypominasz sobie, jak się nazywałeś, Jamie?

Chłopiec potrząsnął przecząco głową. W oczach jego pojawiło się zdziwienie.

— Nie, nic zupełnie.

— Czy nie masz nic takiego, co należało kiedyś do twego ojca i na czym mogło być jego nazwisko?

— Nie pozostawił nic wartościowego, oprócz książek — wtrąciła się do rozmowy pani Murphy. — Tutaj leżą. Może pani chce je przejrzeć — zaproponowała, wskazując rząd zniszczonych tomów na półce. Po chwili z nieopanowaną ciekawością zapytała: — Czy pani sądzi, że go pani kiedyś znała?

— Nie wiem — wyszeptala pani Carew jakimś nie swoim głosem, wstając i podchodząc do półki z książkami.

Książek tych nie było wiele — dziesięć albo dwanaście. Stał tam jakiś tom utworów Szekspira, poza tym *Ivanhoe*, bardzo zniszczona *Bogini jeziora*, tom zbiorowych poezji, Tennyson bez oprawy, zrujnowany zupełnie *Mały Lord Fauntleroy* i dwie czy trzy książki, jak się okazało — historia starożytna i średniowieczna. Lecz chociaż pani Carew przeglądała uważnie każdą książkę z osobna, nigdzie nie znalazła ani śladu nazwiska właściciela. Z głębokim westchnieniem powróciła do leżącego chłopca i do bladej kobiety, którzy obydwójce w tej chwili patrzyli na nią zdziwionymi i pytającymi oczami.

— Chciałabym, żebyście mi powiedzieli wszystko, co sami wiecie — rzekła urywanym głosem, padając bezsilnie na krzesło stojące przy łóżku.

I chłopiec zaczął mówić. Była to mniej więcej ta sama historia, jaką opowiedział Pollyannie w parku. Niewiele było w niej nowego, nic specjalnie ważnego, z wyjątkiem tajemniczych zapytań, jakie zadawała pani Carew. Skończywszy opowiadanie, Jamie utkwil gorączkowe spojrzenie w twarzy pani Carew.

— Pani przypuszcza, że znała mego ojca? — zapytał błagalnie.

Pani Carew przymknęła oczy i drżącą dłoń przyłożyła do czoła.

— Nie wiem — odpowiedziała — ale przypuszczam, że nie.

Pollyanna wydała okrzyk głębokiego rozczarowania, lecz zaraz umilkła, posłuszna ostrzegawczemu spojrzeniu pani Carew. Z nowym przerażeniem jednak poczęła rozglądać się po izdebce.

Jamie, odwróciwszy oczy od pani Carew, nagle zbudził się do swych obowiązków gospodarza.

— Ładnie z twojej strony, że przyszedłeś! — rzekł do Pollyanny z wdzięcznością. — Jak tam Sir Lancelot? Czy ciągle go jeszcze karmisz? — a gdy Pollyanna nie odpowiedziała od razu, przeniósł pośpiesznie wzrok z jej twarzyczki na coś czerwonego w pękniętej butelce na oknie. — Widziałeś mój bukiet? Jerry go znalazł. Ktoś go widocznie zgubił, a on podniósł. Prawda, że piękny? Nawet trochę pachnie.

Lecz Pollyanna zdawała się nie słyszeć tego, co mówił. Szeroko rozwartymi oczami rozglądała się po pokoju, składając, to znów rozkładając nerwowo dłonie.

— Nie rozumiem tylko, jak możesz w ogóle tutaj grać w moją grę, Jamie — szepotała. — Nie przypuszczałam, że może istnieć podobnie okropne mieszkanie — dorzuciła z drżeniem.

— Ho! — uśmiechnął się Jamie wyzywająco. — To powinnaś zobaczyć mieszkanie Pików na dole. Tamto jest o wiele gorsze od naszego. Nie wyobrażasz sobie, ile pięknych rzeczy jest w tym pokoju. Mamy na przykład słońce codziennie co najmniej przez dwie godziny, a gdy się podejdzie zupełnie blisko do okna, to można zobaczyć spory kawałek nieba. Zebyśmy tylko mogli mieć dalej ten pokój, bo obawiamy się, że będziemy się musieli stąd wyprowadzić, a to nas najbardziej martwi.

— Wyprowadzić?

— Tak. Zalegamy z komornym, bo mamcia była tak chora, że nie mogła nic zarobić. — Mimo wesołego uśmiechu głos Jamiego drżał w tej chwili. — Panna Dolan z parteru, ta, która przechowuje mój fotel na kółkach, dopomaga nam już od kilku dni. Ale przecież nie będzie mogła zawsze, więc będziemy musieli stąd pójść, chyba że Jerry nagle się wzbogaci.

— Ach, czy nie można byłoby... — zaczęła szeptem Pollyanna.

Urwała nagle. Pani Carew podniosła się nagle z krzesła i zawołała śpiesznie:

— Chodźmy, Pollyanno, musimy już iść — a po chwili zmęczonym głosem do właścicielki nędznego pokoiku: — Nie potrzebuje się pani wyprowadzać. Zaraz przyślę trochę pieniędzy i prowiantów¹¹ i zawiadomię o pani jedno z towarzystw dobroczynnych, w którego działania sama jestem zaangażowana. Z pewnością...

Nagle przestała mówić. Pochylona postać bladej kobiety nieoczekiwanie wyprostowała się. Policzki pani Murphy pałały, oczy jej płonęły ogniem gniewu.

— Bardzo pani dziękuję, nie trzeba — zawołała drżącym głosem, lecz z dumą. — Jesteśmy biedni, Bóg wie najlepiej, ale jałmużny nie potrzebujemy.

— Przesada! — zawołała pani Carew ostro. — Zgadzacie się na to, żeby wam pomała ta kobieta z dołu. Tak przynajmniej mówił ten mały.

— Tak, ale to nie jest jałmużna — zaprotestowała zgarbiona kobieta. — Pani Dolan jest moją przyjaciółką i wie o tym, że w razie potrzeby i ja bym jej przysłała z pomocą. Pomoc ze strony przyjaciół nie jest jałmużną. Oni to robią pod wpływem uczucia, więc jest w tym pewna różnica. Nie zawsze nam tak było, jak jest dzisiaj, i dlatego to takie bolesne. Dziękuję pani, ale nie możemy przyjąć od pani pieniędzy.

Pani Carew zmarszczyła brwi gniewnie. Ta chwila była dla niej bardzo nieprzyjemna i pełna rozczarowania. Pani Carew nigdy nie grzeszyła zbyt dużą cierpliwością, teraz jednak panowała nad sobą, choć była bardzo zmęczona.

— Dobrze, niech i tak będzie — zauważyła chłodno, po czym z wyraźną irytacją dorzuciła: — Ale dlaczego nie pójdzie pani do swego gospodarza i nie zażąda, żeby tu pewne rzeczy ponaprawiał? Przecież należy się pani coś więcej niż potłuczone szyby w oknach, które się zastępuje papierem i gałganami. A i te schody, którymi wchodziłam tutaj, są stanowczo dla ludzi niebezpieczne.

Pani Murphy westchnęła ze smutkiem. Pochyliła się teraz jeszcze bardziej niż przedtem.

— Próbowaliśmy coś zrobić, lecz nigdy nic osiągnąć nie można. Gospodarza nie znamy, tylko administratora, a ten powiada, że komorne jest zbyt niskie, aby jeszcze wkładać pieniądze w naprawy.

— Głupstwa plecie! — obruszyła się pani Carew z całą ostrożnością osoby nerwowej, która wreszcie znalazła ujście dla swej irytacji. — Przecież to wstyd! Zresztą lokatorzy mają prawo tego żądać. Te schody są okropne. Już ja się tym zajmę, żeby tutaj poczyniono najważniejsze naprawy. Jak się nazywa ten administrator i kto jest właścicielem tego zaniedbanego domu?

— Nazwiska właściciela nie znam, łaskawa pani, a administratorem jest pan Dodge.

— Dodge! — pani Carew drgnęła nagle i dziwna zmiana pojawiła się na jej twarzy.

— Nie ma pani chyba na myśli Henry'ego Dodge'a?

— Owszem, proszę pani. Mam wrażenie, że mu właśnie na imię Henry.

Rumieniec zażenowania¹² wypłynął na twarz pani Carew, po chwili jednak ustąpił, czyniąc ją jeszcze bledszą niż dotychczas.

— Dobrze, ja... ja się już tym zajmę — wyszeptała niepewnie, idąc ku drzwiom. — Chodźmy, Pollyanno, musimy już teraz iść.

Pollyanna stała pochylona nad łóżkiem, ze łzami w oczach żegnając chorego Jamiego.

— Ale ja przyjdę znowu. Na pewno przyjdę wkrótce — obiecywała serdecznie, wychodząc za panią Carew.

Przez cały czas, gdy schodziły po schodach z trzech wysokich pięter, gdy przedzierały się z trudem przez rozgadany i żywo gestykujący tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy otaczali zniechęconego Perkinsa i wspaniałą limuzynę — Pollyanna milczała. Lecz dociekawszy się zaledwie, aby szofer zatrzasnął za nimi drzwi auta, wyszeptała błagalnie:

— Proszę, bardzo proszę, niech pani powie, że to był Jamie! Jemu byłoby naprawdę dobrze, gdyby to właśnie był on.

— Ale to nie jest Jamie.

— O Boże! Czy pani jest pewna?

¹¹*prowiant* — jedzenie; zaopatrzenie. [przypis edytorski]

¹²*zażenowanie* — zawstyżenie. [przypis edytorski]

Zaległa chwila ciszy, po czym pani Carew nagle ukryła twarz w dłoniach.

— Nie, nie jestem pewna i w tym jest właśnie cała tragedia — jęknęła. — Wątpię, czy to jest on, a raczej pewna jestem, że nie. Ale oczywiście istnieje taka możliwość i to mnie właśnie zabija.

— A czy nie może pani wyobrazić sobie, że to jest Jamie — prosiła Pollyanna — i udawać, że to właśnie jest on? Mogłaby go pani wtedy zabrać do domu i... — lecz pani Carew drgnęła przerażona.

— Zabrać tego chłopca do swego domu, skoro to nie jest Jamie? Nigdy Pollyanno! To byłoby niemożliwe.

— Ale jeżeli nie może pani pomóc Jamiemu, to jestem pewna, że on byłby bardzo zadowolony, że jest ktoś, komu pani pomaga — argumentowała Pollyanna nieśmiało. — A co jeżeli ten pani Jamie jest taki właśnie jak ten Jamie, biedny i chory, i jeżeli nie ma nikogo, kto by mu przyszedł z pomocą i...

— Dosyć, dosyć Pollyanno — jęczała pani Carew, kręcąc nieprzytomnie głową w bezgranicznej rozpacz. — Gdy pomyślę, że może gdzieś nasz Jamie jest jak ten... — głęboki szloch nie pozwolił jej skończyć rozpoczętego zdania.

— Właśnie o tym myślałam! — zawołała w podnieceniu Pollyanna. — Więc pani teraz rozumie? Gdyby to był pani Jamie, oczywiście zabrałaby go pani do siebie, a jeżeli to nie jest on, to nie zrobi pani żadnej krzywdy tamtemu Jamiemu, biorąc do siebie tego, a będzie to tylko dobry uczynek, bo uszczęśliwi pani tego biedaka! A później, jak pani znajdzie prawdziwego Jamiego, to i tak pani nic nie straci, bo będzie pani miała przy sobie dwóch szczęśliwych chłopców, zamiast jednego. Zresztą... — lecz i tym razem pani Carew przerwała jej.

— Dość, już dość, Pollyanno! Muszę pomyśleć, zastanowić się nad tym wszystkim.

Ze łzami w oczach Pollyanna oparła się o poduszki samochodu. Z wyraźnym wysiłkiem zachowywała milczenie w ciągu długiej minuty, po czym wybuchnęła, nie mogąc już dłużej panować nad sobą:

— Ach, ale jakie straszne było to mieszkanie! Życzyłabym temu gospodarzowi, żeby w nim mieszkał. Ciekawa jestem, czy czułby się tam dobrze.

Pani Carew poruszyła się niespokojnie. Twarz jej skurczyła się dziwnym grymasem. Błagalnie niemal przywarła do ramienia Pollyanny.

— Daj spokój! — zawołała. — Może ona nie wie, Pollyanno. Na pewno nie wie. Jestem pewna, że nie wie nawet, iż ten dom do niej należy. Ale my to załatwimy, załatwimy z pewnością.

— Ona! Więc to kobieta jest właścicielką tego domu i pani ją zna? I zna pani także administratora?

— Tak — pani Carew zagryzła wargi. — Znam ją i znam administratora.

— Ach, jak ja się cieszę — westchnęła Pollyanna. — W takim razie wszystko będzie w porządku.

— Na pewno będzie lepiej, niż jest teraz — obiecała pani Carew z przejęciem, gdy auto zatrzymało się przed bramą jej mieszkania.

Pani Carew mówiła tak, jak by była pewna tego, co mówi. Może rzeczywiście zrobiła jakieś postanowienie, lecz nie chciała w to wtajemniczać Pollyanny. Przed udaniem się na spoczynek napisała list do Henry'ego Dodge'a, wzywając go na natychmiastową konferencję w sprawie poczynienia pewnych zmian i napraw w jednym z domów, które były jej własnością. W liście było kilka niechętnych zdań na temat „powybijanych okien” i „krzywych schodów”, które to zdania przyprawiły Henry'ego Dodge'a o zły humor i były powodem głośnego przekleństwa, jakie rzucił przez zęby, chociaż w tej samej chwili administrator zbladł nagle i nawiedziło go uczucie panicznego lęku.

ROZDZIAŁ XI. NIESPODZIANKA DLA PANI CAREW

Po załatwieniu kwestii naprawy uszkodzeń w mieszkaniach, pani Carew doszła do wniosku, że obowiązek swój spełniła i że kwestia raz na zawsze została wyczerpana. Trzeba będzie o tym wszystkim zapomnieć. Ów chłopiec nie był Jamiem, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Czyż ten chory, niedołężny dzieciak mógł być synem jej zmarłej siostry? Niemożliwe! Postanowiła za wszelką cenę przestać o tym myśleć.

Ale teraz dopiero pani Carew stanęła w obliczu nader dziwnego zjawiska. Choć myśleć o tym wszystkim nie chciała, to jednak okazało się to silniejsze od niej samej. Ciągle miała przed oczyma obraz nędznego pokoiku na poddaszu i rozgorączkowaną twarz chorego chłopca. Ustawicznie szumiało jej w uszach rozrywające serce pytanie „A co, jeżeli to jest Jamie?”. Poza tym ciągle miała przy sobie Pollyannę i aczkolwiek unikała wszelkich rozmów na ten temat, nie mogła unikać niemej prośby i wyrzutu odzwierciedlających się w smutnych oczach dziewczynki.

Dwukrotnie już pod wpływem ostatecznej rozpaczki pani Carew odwiedziła chłopca, perswadując sobie, że jeszcze jedna taka wizyta przekona ją wreszcie, że nie powinna o nim więcej myśleć. Lecz chociaż w obecności chorego zdawała się już być najzupełniej przekonana, za każdym razem po powrocie do domu poddawała się znowu wątpleniom. Wreszcie, przejęta tym wszystkim do ostateczności, postanowiła napisać do siostry, aby się z nią podzielić tą całą historią.

„Nie miałam zamiaru wtajemniczać Cię w tę sprawę” — pisała, zorientowawszy się dokładnie w sytuacji. — „Nie chciałam Cię martwić i wzniecać w twojej duszy płonnych nadziei. Jestem pewna, że to nie on, a jednak gdy piszę te słowa, pewność moja najwyraźniej jest zachwiana. Dlatego też chcę, żebyś przyjechała. Musisz go sama zobaczyć.

Ciekawa jestem szalenie, co Ty powiesz! Oczywiście nie widzieliśmy naszego Jamiego od czasu, kiedy miał cztery lata. Teraz powinien mieć już dwanaście, a ten chłopiec, przypuszczam, też jest mniej więcej w podobnym wieku. (Sam nie wie, ile ma lat). Z włosów i oczu nie jest podobny do naszego Jamiego. Poza tym jest kaleką, lecz kalectwo to powstało na skutek nieszczęśliwego upadku przed sześciu laty, a w ciągu następnych lat czterech stan jego zdrowia bardzo się pogorszył. Mały wyglądu swego ojca opisać nie potrafi, lecz z tego, co zdołałam się dowiedzieć, trudno sądzić, żeby to mógł być mąż naszej biednej Doris. Nazywano go podobno »profesorem«, był szalonym dziwakiem i zdaje się, że nie posiadał nic oprócz kilku książek. Możliwe, że to jest jedyny sprawdzian. John Kent był zawsze bardzo dziwny i posiadał wybitnie cygańską naturę, nie przypominam sobie tylko, czy lubił książki. Może Ty pamiętasz? Oczywiście tytuł »profesora« mógł się jemu samemu podobać lub też mógł mu zostać narzucony przez innych. Co do tego chłopca, to naprawdę nie wiem, lecz mam nadzieję, że Ty się zorientujesz.

Twoja zrozpaczona siostra,

Ruta”.

Della przyjechała natychmiast i bezzwłocznie udała się do chłopca, jednakże i ona „nie wiedziała”. Tak samo jak starsza siostra, oświadczyła, że nie przypuszcza, aby to był ich Jamie, lecz z drugiej strony zachodziła taka możliwość. Podobnie jednak, jak Pollyanna, znalazła od razu rozwiązanie tego zawilego problemu.

— Ale dlaczego nie miałabyś go wziąć do siebie, kochanie? — zaproponowała siostrze. — Dlaczego nie miałabyś go wziąć i zaadoptować? Dla niego byłoby to prawdziwe szczęście, a dla ciebie... — lecz pani Carew drżała, nie pozwalając jej nawet dokończyć.

— Nie, nie, nie mogę, nie mogę! — szeptwała. — Pragnę mieć mego Jamiego, mego własnego, nikogo więcej — i Della z głębokim westchnieniem musiała ustąpić i wrócić do swej przerwanej pracy w lecznicy.

Jeżeli jednak pani Carew sądziła, że temat tym samym został wyczerpany, myliła się znowu, bowiem dalsze jej dni były jeszcze bardziej niespokojne, a noce jeszcze bardziej bezsenne, rojące się od ustawicznych myśli, które nie dawały jej zasnąć. Poza tym miała coraz więcej przykrości z Pollyanną.

Pollyanna była dziwnie nieswoja. Dręczył ją niepokój i ustawicznie cisnące się na usta pytania. Po raz pierwszy w swym krótkim życiu dziewczynka zetknęła się oko w oko z prawdziwą nędzą. Znała ludzi, którzy nie mieli co jeść, którzy nosili na sobie łachmany, którzy mieszkali w ciemnych, brudnych i ciasnych izdebkach. Pierwszym jej impulsem było oczywiście pomóc tym ludziom. Odwiedziwszy w towarzystwie pani Carew po raz

drugi chorego Jamiego, zdziwiona była niezwykle zmianami, jakie w izdebce zastała. Ten Dodge ponaprawiał wszystko, nawet szyby w oknach były całe. Ale to nie wystarczyło Pollyannie. Przecież na ulicy przed domem zobaczyła znowu wynędzniałych mężczyzn, blade kobiety i obdarte dzieci — najbliższych sąsiadów swego przyjaciela Jamiego. W zafaniu spoglądała na panią Carew, oczekując od niej pomocy dla tych biedaków.

— Rzeczywiście! — oburzyła się opiekunka, orientując się wreszcie, czego od niej „ta bezczelna smarkata” wymaga. — Chciałabyś może, żeby wszystkim tym ludziom odnowić mieszkania, wprawić szyby i wyreparować schody? A może masz jeszcze jakieś życzenie?

— O, tak, miałabym wiele życzeń — westchnęła uradowana Pollyanna. — Widzi pani, oni potrzebowaliby tyle rozmaitych rzeczy! A jak przyjemnie byłoby dać im to wszystko! Jakżebym chciała być bogata i móc także pomagać, ale szczęśliwa jestem, że mogę patrzeć, jak pani to robi.

Pani Carew aż otworzyła usta ze zdziwienia. Nie czekając specjalnej okazji i zdobywając się na najwyższą cierpliwość, wytłumaczyła dziewczynce, że nie ma najmniejszego zamiaru nic więcej czynić w kierunku dopomożenia tym ludziom i że nie widzi powodów, dla których miałyby zmienić to postanowienie. Nikt zresztą nie spodziewa się niczego od niej. Uczyniła wszystko, co było w jej mocy, wykazała całą swą wspaniałomyślność, uskuteczniając naprawy w mieszkaniu Murphych i Jamiego. To, że była właścicielką owego domu, nie miało przecież nic do rzeczy. Następnie wyjaśniła Pollyannie, że istnieje mnóstwo instytucji dobroczynnych, do których należy niesienie pomocy biednym i że instytucje te zostały już przez nią o wszystkim zawiadomione, miała bowiem do tego prawo, gdyż częściowo wszystkie prawie takie instytucje finansowo podtrzymywała. Ale nawet i teraz Pollyanna nie była jeszcze w zupełności przekonana.

— Nie rozumiem — argumentowała — dlaczego lepiej jest, gdy wszyscy razem niosą pomoc biednym, niż gdyby każda osoba pomagała oddzielnie. Ja na przykład wolałabym sama podarować Jamiemu... jakąś piękną książkę od razu zamiast czekać, żeby się tym zajęła jakaś szanowna instytucja; i jestem pewna, że on też wolałby przyjąć podarunek ode mnie.

— Bardzo możliwe — odparła pani Carew, zmęczona już nieco i zniecierpliwiona. — Ale dla samego Jamiego też byłoby lepiej, gdyby dostał tę książkę od towarzystwa, które na pewno potrafiłoby wybrać coś odpowiedniego dla takiego chłopca.

To ją skłoniło w następnej chwili do wypowiedzenia kilku mądrych zdań (ani jednego z nich Pollyanna nie rozumiała) na temat „pauperyzacji¹³ biednych”, „zła, jakie sieje dawanie jałmużny” i „marnych efektów pracy niezorganizowanej dobroczynności”.

— Zresztą — dodała w odpowiedzi na ciągle jeszcze zmartwiony wyraz twarzyczki Pollyanny — przypuszczam, że gdybym nawet zaofiarowała pomoc tym ludziom, na pewno by jej nie przyjęli. Pamiętasz, jak pani Murphy oburzyła się w pierwszej chwili, gdy chciałam jej przysłać prowianty i pieniądze, chociaż jednocześnie przyjmowała pomoc od swych sąsiadów z parteru.

— Tak, wiem — westchnęła Pollyanna, odwracając głowę. — Istnieje coś, czego dokładnie nie rozumiem. Ale z drugiej strony nie jest dobrze, że my mamy tyle pięknych rzeczy, a oni w ogóle nic nie mają.

W miarę upływających dni to dziwne uczucie w sercu Pollyanny zamiast przygasać — wzrastało. Wszystkie pytania, jakie zadawała, wszystkie wypowiedziane przez nią komentarze, nie przynosiły bynajmniej ulgi zamyślanej wciąż i uparcie milczącej pani Carew. Nawet kontynuowanie gry w zadowolenie Pollyanna uważała za rzecz zupełnie niepotrzebną, twierdząc:

— Nie rozumiem, jak można widzieć w życiu tych ludzi coś, z czego mogliby być zadowoleni. My tylko możemy się cieszyć, że nie jesteśmy tacy biedni jak oni, ale gdy myślę o tym, żal mi ich ogromnie, więc nie mogę nawet cieszyć się z tego. Powinniśmy być raczej zadowoleni, że są biedni, którym możemy pomagać, ale jeżeli im nie pomagamy, to wówczas zadowolenie nasze nie ma zupełnie żadnego sensu. — Jeżeli chodziło o ten problem, Pollyanna nie mogła znaleźć nikogo, kto by go potrafił rozwiązać.

Podsuwała go niejednokrotnie już pani Carew, ta jednak, prześladowana wciąż wizją poszukiwanego Jamiego, stawiała się tylko jeszcze bardziej niespokojna, podrażniona

¹³pauperyzacja — zbiednienie, postępujące ubóstwo. [przypis edytorski]

i zirytowana. Zbliżało się Boże Narodzenie, które dla pani Carew było symbolem jeszcze większej męki, bowiem zawsze przypominała się jej pusta dziecięca pończoszka¹⁴, która miała być pończoszką małego Jamiego.

Wreszcie na tydzień przed świętami pani Carew stoczyła ze sobą ostatnią nadludzką walkę. Zrezygnowana, bez radosnego uśmiechu na twarzy, wydała odpowiednie instrukcje Mary i zwróciła się do Pollyanny.

— Pollyanno — zaczęła prawie onieśmielona — postanowiłam... postanowiłam jednak wziąć Jamiego. Auto zaraz tu podjedzie. Pojadę po niego i zabiorę go do domu. Możesz pojechać ze mną, jeśli masz ochotę.

Błysk niesamowitego szczęścia rozjaśnił twarzyczkę Pollyanny.

— Ach, ach, jak ja się cieszę! — zawołała. — Jestem taka uradowana, że chce mi się płakać! Czy pani też w chwilach najwyższej radości napływają łzy do oczu?

— Nie jestem tego pewna, Pollyanno — odpowiedziała pani Carew w zamyśleniu, twarz jej jednak pozostała nadal chmurna i posepna.

Znalazszy się w malej izdebce Murphych, pani Carew w krótkich słowach wytłumaczyła cel swojej wizyty. Opowiedziała pokrótce historię zniknięcia małego Jamiego, dodając, iż możliwe jest, że właśnie ten Jamie jest jej zaginionym siostrzeńcem. Nie robiła tajemnicy ze swych powątpiezań na ten temat, oświadczyła jednak, że postanowiła wziąć chłopca do siebie i dostarczyć mu wszelkich możliwych wygód. Pod koniec zmęczonym i monotonnym głosem zwierzyła się ze swych planów co do jego przyszłości.

U wezłowania łóżka pani Murphy słuchała, popłakując rzewnie. Po przeciwnej stronie pokoju Jerry Murphy, patrząc na gościa rozognionym wzrokiem, wołał mimo woli od czasu do czasu:

— Patrzcie państwo! Kto by się tego spodziewał?

Jeżeli chodzi o Jamiego, to leżał on jak zwykle w łóżku wsłuchany w monotonny głos pani Carew, która dobrocią swoją otwierała przed nim wrota nieznanego raj. Lecz w miarę tego, jak pani Carew mówiła, coś dziwnego poczęło majaczyć¹⁵ w oczach chłopca. Bardzo wolno przymknął powieki i odwrócił się twarzą do ściany.

Gdy pani Carew przestała mówić, nastąpiła długa chwila ciszy, po czym Jamie podniósł głowę i odpowiedział. Wszyscy zauważyli, że twarz miał bardzo bladą, a oczy pełne łez.

— Dziękuję bardzo, łaskawa pani, ale niestety nie będę mógł z panią pójść — rzekł z prostotą.

— Nie możesz? Co takiego? — zawołała pani Carew, nie wierząc własnym uszom.

— Jamie! — wyszeptwała przerażona Pollyanna.

— Słuchaj, stary, ci cię znowu ugryzło? — wtrącił się Jerry, podbiegając śpiesznie do łóżka. — Nie widzisz szczęścia, choć jest ono tuż przy tobie?

— Tak, ale nie mogę pójść — odpowiedział chory znowu.

— Ale Jamie, Jamie, pomyśl, co to dla ciebie znaczy! — jęknęła pani Murphy od wezłowania łóżka.

— Ja rozumiem — wyszeptał Jamie. — Przypuszczacie, że nie wiem, co robię, odmawiając? — teraz oczy pełne łez utkwiał w twarzy pani Carew. — Nie mogę — szepnął jeszcze ciszej. — Nie mogę zgodzić się na to, aby się pani poświęcała dla mnie. Byłoby całkiem inaczej, gdyby robiła to pani z uczucia. Ale pani przecież nic nie czuje do mnie. Nie ja pani jestem potrzebny. Potrzebny jest pani prawdziwy Jamie, a ja nim nie jestem. Pani też jest o tym przekonana, widzę to z pani twarzy.

— Tak, ale... ale... — zaczęła pani Carew bezradnie.

— Zresztą nie jestem taki, jak inni chłopcy, nie mogę przecież chodzić — przerwał jej chory gorączkowo. — Po pewnym czasie będę już tylko panią męczył, a ja bym nie zniósł tego, żebym miał być dla kogoś ciężarem. Oczywiście, gdyby pani coś dla mnie czuła, tak jak mamcia... — podniósł w górę rękę i wybuchnął głośnym szlochem, po czym znów odwrócił twarz od ściany. — Ja nie jestem tym Jamie, którego pani szuka, więc nie mogę pójść. — Z tymi słowami opadł na poduszki i naciągnął na siebie stary, zniszczony szal, którym był przykryty.

¹⁴pończoszka — tu wg tradycji praktykowanej w kręgu kultury anglosaskiej: pończocha a. skarpetka na prezenty dawane z okazji Bożego Narodzenia. [przypis edytorski]

¹⁵majaczyć — tu: być widocznym niewyraźnie. [przypis edytorski]

W pokoju nastała śmiertelna cisza, po czym pani Carew spokojnie podniosła się z krzesła. Twarz jej w tej chwili nic nie wyrażała, lecz było w niej coś takiego, co powstrzymało nawet słowa cisnące się na usta Pollyanny.

— Chodźmy, Pollyanno — powiedziała tylko pani Carew.

— Będziesz potem żałował swojej głupoty! — mówił Jerry Murphy do chłopca leżącego w łóżku, gdy drzwi zamknęły się za gośćmi.

Chory nic nie odpowiedział, tylko począł płakać, jakby te drzwi zamknięte prowadziły właśnie do owego nieznanego rajy i jakby zamknęły się teraz przed nim na zawsze.

ROZDZIAŁ XII. ZA LADĄ SKLEPOWĄ

Pani Carew była zła. Dojść tego, żeby uczynić postanowienie wzięcia chorego chłopca do swego domu i otrzymać z jego strony odpowiedź odmowną — to już przechodziło wszelkie oczekiwania. Nie była przyzwyczajona do tego, żeby ktoś śmiało ignorować jej zaproszenia lub nie spełniać wyrażonych przez nią życzeń. Co gorsza, teraz, kiedy nie mogła wziąć do siebie tego chłopca, odczuwała jeszcze większy niepokój, bo przecież w zasadzie chłopak ten mógł jednak być prawdziwym Jamiem. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że pragnęła go mieć u siebie nie dlatego, że kierowało nią jakieś głębsze uczucie lub że chciała biedakowi pomóc, lecz dlatego, że była pewna, iż raz na zawsze osiągnie upragniony spokój i przestanie ją dręczyć to wiecznie szumiące w uszach pytanie: „A jeżeli to jest prawdziwy Jamie?”.

Nie wyjaśniał sprawy fakt, że chłopak jako przyczynę swojej odmowy podał to, że ona do niego „nic nie czuje”. Teraz pani Carew z wielką dumą przyznawała się, że istotnie nie żywi dla tego kaleki żadnego uczucia, że przekonana jest, iż to nie jest syn jej siostry i że postara się jak najspieszniej „o tym wszystkim zapomnieć”.

Zapomnieć jednak nie mogła. Myśl o chłopcu nie dawała jej po prostu spokoju i nawiedzały ją teraz coraz częstsze zwątpienia. Chociaż usiłowała myśli swe kierować na inne sprawy, ustawicznie przed oczami jej wyobraźni majaczyła rozgorączkowana twarz chłopca i wewnątrz ubogiej, ciasnej izdebki.

A poza tym była jeszcze Pollyanna. Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka nieoczekiwanie przestała być sobą. Po całych dniach snuła się po domu, nie znajdując nic takiego, co by ją mogło zainteresować.

— Ach, nie, nie jestem chora — odpowiadała, gdy ją wypytywano na ten temat.

— A co ci jest właściwie?

— Nic. Ja... ja tylko wciąż myślę o Jamiem... jakby on się cieszył, gdyby widział te wszystkie piękne rzeczy, dywany, obrazy i zasłony.

To samo było z jedzeniem. Pollyanna straciła zupełnie apetyt, lecz i w tym wypadku nie z powodu choroby.

— Ach, nie — wzdychała ponuro. — Po prostu nie jestem głodna. Zresztą gdy tylko zaczynam jeść, zawsze przypomina mi się Jamie, bo on, biedak, często nawet suchych bułek nie ma. I wtedy właśnie odechciewa mi się jeść.

Niezupełnie rozumiejąc ten dziwny stan dziewczynki, pani Carew postanowiła za wszelką cenę rozweselić trochę Pollyannę, a w tym celu na święta Bożego Narodzenia zakupiła wspaniałe drzewko, dwa tuziny kolorowych świeczek i całe mnóstwo kolorowych szklanych kulek do przystrojenia choinki. Po raz pierwszy od wielu lat w obszernym, ponurym salonie stało się widno i wesoło. Miało się odbyć nawet świąteczne przyjęcie, bowiem pani Carew skłoniła Pollyannę, aby ta zaprosiła kilkanaście swych szkolnych koleżanek na wieczór wigilijny.

Lecz i w tym wypadku czekało panią Carew rozczarowanie, bo chociaż Pollyanna była jej za to bardzo wdzięczna i przez pewien czas wykazywała radość i podniecenie, jednak twarzyczki jej ani na chwilę nie rozjaśnił dawny, pogodny uśmiech. Jednym słowem, przyjęcie świąteczne było raczej smutne niż wesołe, a na widok pierwszej zapalanej świeczki Pollyanna wybuchnęła głośnym płaczem.

— Co to znaczy, Pollyanno? — zawołała pani Carew. — Na miłość boską, co ci się stało?

— Nic — szlochała Pollyanna. — Tylko tutaj jest tak pięknie, że mi się nagle zaczęło płakać. Pomyślałam o tym, jak Jamie chciałby takie drzewko zobaczyć.

W tej chwili wyczerpała się cierpliwość pani Carew.

— Jamie, Jamie i znowu Jamie! — zawołała gniewnie. — Pollyanno, czy nie przestajesz nigdy mówić o tym chłopcu? Wiesz przecież, że nie z mojej winy nie ma go tutaj. Prosiłam, żeby u nas zamieszkał. Zresztą, gdzie się podziałą twoja „gra w zadowolenie”? Przypuszczam, że dobrze byłoby, gdybyś teraz do niej powróciła.

— Ależ ja o niej nie zapomniałam — skarżyła się Pollyanna. — I właśnie dlatego nic nie rozumiem. Nigdy jeszcze tak dziwnie się nie czułam. Zawsze dawniej, gdy myślałam o tej grze, byłam szczęśliwa. A teraz przez Jamiego jestem zadowolona, że widzę te piękne dywany i obrazy, że mogę jeść dobre rzeczy, spacerować, biegać i chodzić do szkoły, lecz im bardziej cieszę się z tego, co sama mam, tym bardziej przykro mi, że on nie ma tego wszystkiego. Nigdy mi tak dziwnie nie było i nigdy tak się jeszcze nie czułam, a pani?

Lecz pani Carew z rozpaczliwym gestem odwróciła się tylko bez słowa.

Było to nazajutrz po Bożym Narodzeniu, kiedy zaszło coś tak niezwykłego, że Pollyanna na pewien czas zapomniiała zupełnie o Jamie. Pani Carew wybrała się po zakupy i gdy zastanawiała się nad wyborem jakiegoś koronkowego kołnierzyka, Pollyanna wypatrzyła za ladą sklepową twarz młodej sprzedawczynie, która wydała jej się dziwnie znajoma. Przez chwilę stała zamyślona, marszcząc brwi, po czym z radosnym okrzykiem podbiegła do lady.

— Ach, to pani, to pani! — zawołała do dziewczyny, która wyjmowała z pudełka naręcz sztucznych kwiatów. — Tak się cieszę, że panią widzę!

Dziewczyna stojąca za ladą podniosła głowę i spojrzała na Pollyannę. Lecz prawie w tej samej chwili jej ponura, wychudzona twarzyczka rozjaśniła się wesołym uśmiechem.

— Przecież to moja mała znajoma z publicznego parku! — zawołała.

— Tak. Jak to dobrze, że pani pamięta — cieszyła się Pollyanna. — Ale pani już nigdy więcej tam nie była. Nieraz szukałam pani po wszystkich alejkach.

— Nie mogłam. Muszę pracować. Wtedy wyjątkowo byłam wolna. Pięćdziesiąt centów, proszę pani. — zwróciła się z odpowiedzią do jakieś starszej damy, która zapytywała o cenę biało-czarnego żabocika¹⁶ leżącego na kontuarze.

— Pięćdziesiąt centów? Hm! — starsza dama wzięła w palce żabocik, zawahała się, po czym odłożyła go znowu z głębokim westchnieniem. — Hm, tak. Jest rzeczywiście bardzo ładny, moje dziecko — pochwaliła, odchodząc.

Tuż za nią podeszły dwie roześmiane dziewczyny, które chichocząc i rozmawiając głośno zainteresowały się najmodniejszym przybraniem do sukni z czerwonego aksamitu, przybranego tiulem i drobnymi kwiatuskami. Gdy dziewczęta po chwili odeszły, Pollyanna spojrzała na sprzedawczynię z głębokim westchnieniem.

— Więc pani to przez cały dzień robi? Mój Boże, jaka pani musi być zadowolona!

— Zadowolona?

— Tak. Bo to musi być przyjemnie widzieć ciągle tylu rozmaitych ludzi! A poza tym może pani z nimi rozmawiać. Nawet musi pani rozmawiać, bo leży to w pani interesie. Ja bym strasznie chętnie to robiła i na pewno zajmę się tym, jak dorosnę. To tak przyjemnie patrzeć, co oni wszyscy kupują!

— Przyjemnie! — uśmiechnęła się z przekąsem dziewczyna spoza kontuaru. — Wiesz, dziecko, gdybyś знаła choć połowę... — To kosztuje dolara proszę pani — przerwała samej sobie pośpiesznie, odpowiadając młodej klientce na zapytanie o cenę żółtego żabotu wyłożonego na wystawę.

— Najwyższy czas, żeby mi pani dała odpowiedź — ofuknęła ją młoda dama. — Już dwa razy o to panienkę pytałam.

Dziewczyna za ladą przygryzła wargi.

— Bardzo przepraszam, nie słyszałam.

— Na to już nie mam rady. Pani jest tu po to, żeby słyszeć. Płacę pani za to, nieprawdaż? A ile kosztuje ten czarny?

— Pięćdziesiąt centów.

— A ten niebieski?

— Dolara.

¹⁶żabot (z fr.: *jabot*) — element ubioru; rodzaj ozdoby z udrapowanego materiału, ozdobionego niekiedy koronką, umieszczonej pod szyją, na zapięciu z przodu sukni, bluzki a. koszuli; tu zdrobn.: żabocik. [przypis edytorski]

— Tylko bez impertynencji, moja panno! Proszę odpowiadać grzecznie, bo poskarżę się dyrekcji. Proszę mi pokazać te czerwone żaboty.

Usta sprzedawczyni zadrżały, lecz nie padło z nich ani słowo. Posłusznie podeszła do gablotki i wyjęła z niej kilka czerwonych żabotów. Oczy jej tylko pałały, a ręce drżały wyraźnie, gdy kładła żaboty na kontuarze. Młoda klientka, którą obsługiwała, obejrzała pięć żabotów, zapytała o cenę czterech i odeszła, wyjaśniając krótko:

— Nie ma tu nic takiego, co by mi się naprawdę podobało.

— No — szepnęła dziewczyna zza lady, zwracając się do zdziwionej Pollyanny — cóż teraz myślisz o moim zawodzie? Czy jest się z czego cieszyć?

Pollyanna zaśmiała się trochę histerycznie:

— O Boże, czy ona była zła? Ale jednocześnie była śmieszna, nie uważa pani? W każdym razie powinna się pani cieszyć, że nie wszystkie klientki są takie.

— To prawda — przyznała sprzedawczyni, uśmiechając się blade. — Muszę ci jednak powiedzieć, dziecinko, że ta twoja „gra w zadowolenie”, o której mi wtedy mówiłaś, jest może dobra dla ciebie, bo dla... — znowu urwała nieoczekiwanie. — Pięćdziesiąt centów, łaskawa pani — zwróciła się do kogoś, kto ją zapytywał z przeciwnej strony kontuaru.

— Czy jest pani tak samo samotna jak zawsze? — zapytała Pollyanna poważnie, gdy sprzedawczyni po chwili znowu była wolna.

— Nie wiem, czy pięć razy od czasu, jak się z tobą widziałam, byłam w jakimś towarzystwie — odpowiedziała dziewczyna z goryczą.

— Ach, ale święta Bożego Narodzenia spędziła pani przyjemnie, nieprawdaż?

— O tak. Leżałam cały dzień w łóżku, mając nogi okręcone kocem i czytałam gazety. Później, pod wieczór wyskoczyłam do restauracji, aby zjeść za trzydzieści pięć centów kawałek pasztetu.

— Czy nogi panią tak bardzo bolały?

— Porobiły mi się nawet pęcherze. Pracuję przecież, stojąc, a przed świętami ruch był okropny.

— Ach! — zadrżała Pollyanna ze współczuciem. — I nie miała pani ani choinki, ani towarzystwa, ani nic zupełnie? — zawołała zdziwiona i zgorzozona.

— Nic absolutnie!

— O Boże! Jaka szkoda, że nie widziała pani mojego drzewka! — westchnęła dziewczynka. — Była naprawdę piękne i... Ale zaraz! — zawołała radośnie. — Przecież teraz jeszcze może je pani zobaczyć. Stoi nierozebране. Nie mogłaby pani przyjść dzisiaj albo jutro wieczorem i...

— Pollyanno! — Przerwał rozmowę zimny, stalowy głos pani Carew. — Co to wszystko ma znaczyć? Gdzieżeś ty była? Szukałam cię po całym magazynie. Zaglądałam nawet do działu okryć.

Pollyanna odwróciła się z radosnym okrzykiem.

— Ach, jak się cieszę, że pani przyszła — zawołała. — Nie znam nazwiska tej panienki, ale poza tym znam ją doskonale. Kiedyś, bardzo dawno temu, poznałam ją w parku, a biedaczka jest strasznie samotna i nie ma zupełnie nikogo. Jej ojciec też był pastorem, tak samo jak mój, tylko że on żyje. Biedna, nie miała nawet drzewka świątecznego, tylko pęcherze na nogach i kawałek pasztetu, a ja bym tak chciała, żeby mogła zobaczyć moje drzewko — szczebiotała Pollyanna, wstrzymując oddech. — Prosiłam ją, żeby przyszła dziś albo jutro wieczorem. Pani mi pozwoli zapalić wtedy choinkę, prawda?

— Naprawdę, Pollyanno... — zaczęła pani Carew z chłodnym niezadowoleniem. Lecz dziewczyna spoza lady przerwała jej głosem równie chłodnym i wyrażającym jeszcze większą niechęć:

— Proszę się nie martwić, łaskawa pani. Ja nie mam zamiaru przyjść.

— Ach, ależ ja bardzo proszę — szepnęła Pollyanna. — Pani wcale nie wie, jak bardzo mi na tym zależy...

— Zauważyłam jednak, że tej pani o wiele mniej zależy na mojej wizycie — przerwała znowu sprzedawczyni z wyrazem okrucieństwa w oczach.

Pani Carew zarumieniła się z gniewu i skierowała się ku wyjściu, Pollyanna jednak uczepiła się jej ramienia, mówiąc w międzyczasie prawie z rozpaczą do dziewczyny za kontuarem, która akurat była wolna od klientów:

— Wcale tak nie jest — przekonywała sprzedawczynię. — Pani Carew bardzo chce panią widzieć, ja wiem, że chce. Pani nie wie, jaka ona jest dobra, ile pieniędzy daje rozmaitym dobroczynnym instytucjom.

— Pollyanno! — zawołała pani Carew ostro. Znowu chciała wyjść ze sklepu, lecz tym razem zatrzymał ją pełen przekąsu i ironii głos sprzedawczyni.

— O, tak, ja wiem! Jest wiele takich, którym się nie chce pracować. A ileż to potrzebujących rąk wyciąga się do takich pań, lecz ci, którzy naprawdę potrzebują, zazwyczaj nie dostają. I to jest właśnie w porządku. W takich sytuacjach nie ma niczyjej winy. Czasami tylko dziwię się, że te dobroczynne panie nie potrafią pomóc młodej dziewczynie, nim jeszcze wkroczyła na złą drogę. Dlaczego te dobrodziejki nie mogą dać przyzwolonym dziewczynom czystego mieszkania, książek, obrazów, miękkich dywanów, muzyki i kogoś, kto by o nie dbał? Może wtedy nie byłoby tyle... Boże święty, co ja mówię? — urwała nagle, wstrzymując oddech, po czym zmęczoną twarzą odwróciła w stronę eleganckiej młodej damy, która zatrzymała się przed nią, oglądając z zaciekawieniem błękitny, koronkowy żabot.

— To kosztuje pięćdziesiąt centów, łaskawa pani — usłyszała pani Carew jej monotonna odpowiedź, gdy spiesznie wychodziła ze sklepu z Pollyanną.

ROZDZIAŁ XIII. OCZEKIWANIE I ZWYCIĘSTWO

Był to zachwycający plan. Pollyanna obmyśliła go w ciągu pięciu minut i przedłożyła pani Carew. Pani Carew nie uważała go za tak nadzwyczajny i wypowiedziała się na ten temat całkiem wyraźnie.

— Ach, a ja jestem pewna, że tak im się będzie zdawało — argumentowała Pollyanna, odpowiadając na zastrzeżenia pani Carew. — I proszę pomyśleć, jak łatwo możemy to zrobić! Choinka jest, tak jak była, z wyjątkiem prezentów, ale i z nimi można dać jakoś radę. Do wigilii Nowego Roku już bardzo niedaleko, a wyobraźmy sobie, jak oni będą się cieszyć! A pani by się nie cieszyła, gdyby pani na święta nie miała nic, tylko pęcherze na nogach i kawałek pasztetu?

— Boże, Boże, cóż za niemożliwe dziecko z ciebie! — nachmurzyła się pani Carew. — Nie pomyślałaś nawet o tym, że zupełnie nie znamy nazwiska tej młodej osoby.

— To cóż z tego? A czyż nie zabawne jest to, że ja jednak znam ją bardzo dobrze? — uśmiechnęła się Pollyanna. — Widzi pani, tak przyjemnie rozmawialiśmy wtedy w ogrodzie, a ona mi powiedziała o tym, że jest samotna i że najbardziej samotna się czuje wśród tłumu wielkiego miasta, bo w tłumie ludzie ani nie myślą, ani też nie zwracają uwagi. Owszem, był taki jeden, który zwrócił na nią uwagę, ale za bardzo, jak sama powiedziała, a nie powinien był tego robić. Strasznie śmiesznie jest, jak się o tym pomyśli. W każdym razie przyszedł po nią do ogrodu, żeby z nim gdzieś tam poszła, ale ona nie chciała iść, a to był bardzo ładny jegomość, tylko później strasznie się na nią rozgniewał. Ludzie przeważnie brzydą, jak się gniewają, prawda? A dzisiaj tam była w sklepie jedna pani, która oglądała żaboty i powiedziała bardzo dużo brzydkich rzeczy. Jak zaczęła tak brzydko mówić, to też nie była ładna. Ale pani mi pozwoli zaprosić ich na choinkę w wigilię Nowego Roku, prawda? Zaproszę tę panienkę, co sprzedaje żaboty i Jamiego. On jest już teraz zdrowszy, więc będzie mógł przyjść. Jerry go oczywiście przywiezie, ale później będzie mógł też zostać u nas.

— Ach, oczywiście, jeszcze Jerry! — zawołała pani Carew z ironią. — Dlaczego ma być tylko Jerry? Jestem pewna, że Jerry ma mnóstwo przyjaciół, którzy też na pewno chętnie przyjdą. A poza tym...

— Ach, proszę pani, więc naprawdę mogę? — przerwała jej Pollyanna w najwyższym zachwycie. — Jaka pani jest strasznie dobra! Ja bym tak chciała... — Lecz pani Carew aż krzyknęła głośno ze zdziwienia i przestraszenia.

— Nie, nie, Pollyanno, ja... — zaczęła, akcentując swój protest. Ale Pollyanna, rozumiejąc mylnie znaczenie tych słów, nie dała za wygraną i ciągnęła dalej:

— Naprawdę pani jest bardzo dobra, lepsza nawet niż dotychczas. Niech mi pani pozwoli to sobie powiedzieć. Teraz będę mogła urządzić prawdziwe przyjęcie! Zaproszę Tomka Dolana i jego siostrę Jennie, dwie dziewczynki od Macdonaldów i trzy dziewczynki, których nazwiska nie znam, ale wiem, że mieszkają pod Murphymi, żeby tylko

dla wszystkich miała dosyć miejsca. Dopiero się ucieszą, jak im powiem o tym! Naprawdę, proszę pani, nigdy nie przeżywałam nic podobnie przyjemnego, a wszystko to tylko pani zawdzięczam! Czy mogę ich wszystkich zaraz dzisiaj zaprosić, żeby wiedzieli, jaka ich radość czeka?

I pani Carew, która nigdy by nie uwierzyła, że może zająć taka ewentualność, usłyszała całkiem nieoczekiwanie swój własny głos, wypowiadający nieśmiało „tak”, co, jak się orientowała, zobowiązywało ją do urządzenia przyjęcia dla dzieci sąsiadujących z Murphymi oraz dla młodej dziewczyny ze sklepu, której nawet nazwiska nie знаła.

Może w pamięci pani Carew majaczyły jeszcze słowa wypowiedziane przez młodą sprzedawczynię: „Dlaczego te dobrodziejki nie potrafią pomóc młodej dziewczynie, nim jeszcze ta wkroczyła na złą drogę?”. Może w uszach jej szumiało jeszcze opowiadanie Pollyanny o tej samej dziewczynie, która znajdując się wśród tłumu wielkiego miasta, czuła się tak bardzo samotna i która zdecydowała się nie pójść z owym przystojnym jegomościem, twierdząc, że nie powinien on być zwrócić na nią uwagi. A może pani Carew gdzieś w głębi serca żywiła nadzieję, że w tym nowym przedsięwzięciu znajdzie ten upragniony spokój, za którym od tak dawna tęskniła. Jakakolwiek istniała przyczyna, dość, że sprawa została załatwiona w ten sposób, a pani Carew znalazła się nieoczekiwanie w wirze gorączkowych przygotowań, projektów i planów, czego główną osią była Pollyanna i jej goście.

Do siostry swej pani Carew napisała wyczerpująco o całym zdarzeniu, kończąc w sposób następujący:

„Sama nie wiem, co mam robić, ale przypuszczam, że powinnam dotrzymać danego słowa. Jest to jedyne wyjście z sytuacji. Oczywiście, gdyby Pollyanna choć raz zaczęła prawić mi morały... Ale nie zdarzyło się to ani razu, więc przecież nie mogę znaleźć powodu odesłania jej z powrotem”.

Czytając ten list w lecznicy, Della wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Jeszcze nie prawiła morałów, istotnie! — uśmiechnęła się do siebie. — Niech Bóg błogosławi temu małżeństwu! A jednak ty, Ruto Carew, zmuszona zostałaś do tego, aby wyprawić dwa dziecinne przyjęcia w ciągu jednego tygodnia i pozwalasz nawet gościom swojej pupilki przewracać swój ponury dom do góry nogami. Ale ona ci morałów nie prawi, o nie, i na pewno prawić nie będzie!

Przyjęcie udało się wspaniale. Nawet pani Carew nie mogła temu zaprzeczyć. Jamie w swoim fotelu na kółkach, Jerry ze swoim niepokojącym, lecz dosadnym słownikiem i dziewczyna, której nazwisko, jak się okazało, brzmiało Sadie Dean, która ze wszystkich gości może najlepiej się czuła w tym otoczeniu. Sadie Dean ku zdziwieniu wszystkich, znała całe mnóstwo rozmaitych gier towarzyskich, a gry te w połączeniu z ciekawymi historiami, jakie umiał opowiadać Jamie, oraz z nadzwyczajnym poczuciem humoru Jerry’ego, sprawiły, że mieszkanie pani Carew rozbrzmiewało wesołym śmiechem aż do kolacji, po której goście, obdarowani prezentami znajdującymi się pod choinką, wrócili do swych domów z uczuciem prawdziwego zadowolenia. Nikt z obecnych nie zwrócił specjalnej uwagi na to, że Jamie (który wraz z Jerry’em jako ostatni opuścił gościnny dom pani Carew) rozglądał się po salonie w zamyśleniu uważniej i bardziej szczegółowo od innych. Tylko sama pani Carew, życząc mu dobrej nocy, szepnęła do ucha cicho, zniecierpliwiona i zażenowana:

— No, Jamie, czyś zmienił¹⁷ już swój zamiar co do przeniesienia się tutaj?

Chłopiec zawahał się. Lekki rumieniec okrasiał jego policzki. Spojrzył na panią Carew z wymownym smutkiem, po czym wolno potrząsnął głową.

— Gdyby zawsze tak było, jak dzisiaj, to mógłbym — szepnął z westchnieniem. — Ale zawsze tak nie będzie. Nadejdzie jutro, następny tydzień, miesiąc i następny rok, a ja już w następnym tygodniu zdam sobie z tego sprawę, że nie powinienem był¹⁸ się na to zgodzić.

Jeżeli pani Carew sądziła, że przyjęcie, które odbyło się w wigilię Nowego Roku położy kres wszystkim wysiłkom Pollyanny odnośnie młodej sprzedawczyni, Sadie Dean, to

¹⁷czyś zmienił — inaczej: czy zmieniłeś. [przypis edytorski]

¹⁸nie powinienem był — nie powinienem wcześniej. [przypis edytorski]

wkrótce skonstatowała¹⁹, że się myli, bo już nazajutrz rano Pollyanna znów zaczęła o niej mówić.

— Taka jestem zadowolona, że ją znalazłam — szczebiotała z radością. — Jeżeli nawet nie będę mogła odnaleźć dla pani prawdziwego Jamiego, to w każdym razie cieszę się, że znalazłam dla pani kogoś, kogo może pani lubić, a lubić ją będzie pani na pewno, chociaż w inny sposób niż swego Jamiego.

Pani Carew zaczerpnęła w piersi powietrza i otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia. Ta niezachwiana wiara w jej dobre serce i w ustawiczne pragnienie dopomożenia komuś była po prostu onieśmielająca i przyczyniała się do jeszcze większego zdenerwowania. Z drugiej jednak strony trudno było temu zaprzeczyć, szczególnie w obecnej sytuacji, kiedy Pollyanna była taka szczęśliwa i tak pełna szczerego zaufania.

— Ależ, Pollyanno — zaoponowała²⁰ pani Carew bezradnie, czując że w obecności dziewczynki zatracca zupełnie siłę woli. — Przecież ta dziewczyna to nie jest Jamie, sama wiesz o tym.

— Oczywiście — przyznała Pollyanna pośpiesznie. — I właśnie to mnie najbardziej martwi, że ona nie jest Jamieem. Ale może dla kogoś właśnie jest tym samym, to znaczy dla kogoś, kto ją kocha i kto zwrócił na nią uwagę. Jak pani przypomina sobie Jamiego, to musi pani być szczęśliwa, że może komuś innemu pomóc, bo pragnęłaby pani przecież, aby inni ludzie też pomogli Jamieemu w chwili, gdy mu ta pomoc jest potrzebna.

Pani Carew zdrząła i wydała głuchy jęk.

— Ale ja pragnę mieć mojego Jamiego — wyszeptła po chwili.

Pollyanna skinęła głową, patrząc na nią wzrokiem pełnym zrozumienia.

— Wiem, chodzi o „obecność dziecka”. Pan Pendleton mówił mi o tym. Pani ma chociaż „kobietą rękę”.

— Kobietą rękę?

— Tak, żeby prowadzić dom. Pan Pendleton powiedział mi, że aby dom był prawdziwym domem, potrzebna jest kobieca ręka albo obecność dziecka. Było to wtedy, kiedy mnie chciał wziąć do siebie, a ja mu znalazłam Jimmy’ego, którego zaadoptował.

— Jimmy’ego? — pani Carew podniosła głowę z zaciekawieniem w oczach, jakie zdradzała zawsze, gdy ktoś wymieniał imię podobne do imienia jej zaginionego siostrzeńca.

— Tak, Jimmy’ego Beana.

— Ach, Beana — powtórzyła pani Carew z przygasłym nagle spojrzeniem.

— Tak. Był w sierocińcu i uciekł stamtąd, a ja go znalazłam. Mówił, że pragnie innego domu i matki zamiast przełożonej sierocińca. Nie mogłam mu znaleźć matki, lecz znalazłam mu za to pana Pendletona, który go zaadoptował. Już teraz nazywa się Jimmy Pendleton.

— Ale nazywał się Bean?

— Tak, nazywał się Bean.

— Ach! — westchnęła z żalem pani Carew.

Pani Carew poznała bliżej w ciągu następnych dni Sadie Dean i małego Jamiego, bowiem Pollyanna korzystała z każdej okazji, aby zapraszać ich do siebie, a zaprosinom tym pani Carew, mimo swej niechęci, nie mogła się w żaden sposób przeciwstawić. Wobec Pollyanny czuła się najzupełniej bezradna, zresztą nie potrafiła już teraz odmawiać dziewczynce tego, co jej sprawiało tak wiele przyjemności i satysfakcji.

Ale jednocześnie pani Carew, choć może nie orientowała się w tym dokładnie, dowiedziała się wielu rzeczy, o których nie wiedziała dawniej, żyjąc zamknięta w czterech ścianach swego mieszkania i nie pozwalając nikogo do siebie wpuszczać. Nauczyła się mianowicie, jak się może czuć młoda dziewczyna w dużym mieście, zmuszona zarabiać na własne utrzymanie i niemająca niczyjej opieki.

— Właściwie coś wtedy miała na myśli? — nerwowo zwróciła się do Sadie Dean pewnego wieczora. — O czym myślałaś owego dnia w sklepie, gdy mówiłaś o niesieniu pomocy młodym dziewczętom?

Sadie Dean splonęła purpurowym rumieńcem.

¹⁹skonstatować — stwierdzić, dojść do wniosku. [przypis edytorski]

²⁰zaoponować — sprzeciwić się. [przypis edytorski]

— Obawiam się, że byłam niegrzeczna — zaczęła się usprawiedliwiać.

— Mniejsza o to. Powiedz mi, co wtedy myślałaś? Już niejednokrotnie zastanawiałam się nad tym.

Dziewczyna przez chwilę milczała, po czym zaczęła mówić z wyraźną nutą goryczy:

— Bo właśnie kiedyś znalazłam pewną dziewczynę i wtedy przyszła mi na myśl. Pochodziła z mego miasteczka, była ładna i dobra, tylko nie posiadała silnego charakteru. Przez rok mieszkaliśmy razem, razem gotowałyśmy jajka na gazowej maszynie, razem jadłyśmy skromne kolacje w taniej restauracji. Wieczorami nie było co robić, wychodziło się najwyżej na spacer, czasem do kina, jeżeli miało się na kino parę centów, ale przeważnie siedziałyśmy w domu. Pokój nasz nie należał do przyjemnych. Było w nim gorąco w lecie i zimno w zimie, a przy wątłym świetle gazowym nie mogłyśmy ani szyć, ani czytać, nawet gdy byłyśmy mniej zmęczone, niż bywałyśmy zazwyczaj. Poza tym nad głowami miałyśmy spadzisty sufit, a pod nami mieszkał jakiś jegomość, który uczył się grać na kornecie. Czy słyszała pani, kiedy jak ktoś się uczy grać na kornecie?

— Nie, mam wrażenie, że nie — wyszeptła pani Carew.

— To bardzo wiele pani straciła — uśmiechnęła się ironicznie dziewczyna, po czym kontynuowała nadal swe opowiadanie.

— Czasami, szczególnie w święta, wybierałyśmy się na spacer tutaj, na tę ulicę, lub na inne ulice w śródmieściu, zaglądając do niezastłoniętych okien. Byłyśmy przecież takie samotne, zwłaszcza podczas świąt, więc dobrze nam robiło patrzeć do wewnątrz domów, gdzie byli ludzie, gdzie lampy płonęły nad stołami i dzieci bawiły się wesoło. Ale później czułyśmy się jeszcze gorzej, uświadamiając sobie, że to wszystko jest nie dla nas. Przykro było patrzeć na samochody i na jadących w nich ludzi, wesołych i roześmianych. Widzi pani, i my byłyśmy młode, i nam się chciało śmiać się i weselić. Zapragnęłyśmy innego życia i przyjaciółka moja to życie sobie stworzyła.

Mówiąc krótko, zerwałyśmy pewnego dnia naszą przyjaźń, ona poszła w jedną stronę, a ja w drugą. Nie podobało mi się towarzystwo, w jakim przebywała i powiedziałam jej o tym całkiem szczerze. Ponieważ z towarzystwem tym zerwać nie chciała, musiałyśmy się rozstać. Nie widziałam jej prawie przez dwa lata, aż pewnego dnia napisała do mnie, więc poszłam. Było to właśnie miesiąc temu. Mieszkała w jednym z domów wychowawczych. Ślicznie tam było. Miękkie dywany, piękne obrazy, rośliny, kwiaty i książki, pianino, prześliczny pokój i wszystko, czego tylko dusza zapagnie. Bogate damy przyjeżdżały własnymi samochodami i powozami, zabierały ją na przejażdżki, na koncerty i zebrania. Uczyla się stenografii, a damy te miały jej pomóc w objęciu posady, gdy tylko już będzie miała potrzebne kwalifikacje. Mówiła, że wszyscy są dla niej bardzo dobrzy i że pragną jej pomóc na wszelkie możliwe sposoby. Ale przy okazji powiedziała mi coś jeszcze.

„Sadie — mówiła — gdyby one zadały sobie choć połowę tego trudu wówczas, gdy byłam jeszcze uczniwą, przyzwoitą i ciężko pracującą dziewczyną, nie potrzebowałabym teraz być tutaj i przyjmować ich pomocy”. Tego chyba nigdy nie zapomnę. To wszystko. Nie znaczy to, że pogardzam pracą tych pań-wybawicielek, przeciwnie, pochwalam ją bardzo. Tylko myślę, że wiele więcej dobrego by przyniosła, gdyby zechciały obdarzać ludzi swym zainteresowaniem wcześniej.

— Zdaje się jednak, że istnieją domy pracy dla dziewcząt, świetlice i tym podobne instytucje — szepnęła pani Carew głosem jakimś dziwnym i nieswoim.

— Owszem są. A czy je pani kiedyś widziała z bliska?

— Nie, lecz daję na nie pieniądze. — Tym razem pani Carew mówiła takim tonem, jakby się chciała usprawiedliwić.

Sadie Dean uśmiechnęła się.

— Tak, wiem o tym. Istnieje całe mnóstwo pań, które dają pieniądze na takie domy, ale same nigdy ich z bliska nie widziały. Proszę mnie zrozumieć, że nie mam nic przeciwko takim dobroczynnym instytucjom. Są one bardzo dobre, niosą pomoc biednym ludziom, ale stanowią jedynie kroplę w morzu wszystkich potrzeb. Ja sama raz także się do nich zwróciłam, ale jakoś tak mnie przyjęto, że czułam... Ale co z tego wszystkiego? Może nie wszystkie te panie oddane dobroczynności są takie, może zresztą było w tym i trochę mojej winy. Gdybym nawet chciała pani to opowiedzieć, na pewno by mnie pani nie

zrozumiała. Musiałaby pani żyć w tym, a pani przecież nawet nie widziała tego z bliska. Zresztą nie mówmy już o tym i tak za dużo powiedziałam. Ale pani mnie przecież pytała.

— Tak, pytałam cię — przyznała pani Carew ponurym głosem, wychodząc z pokoju.

Jednakże nie tylko od Sadie Dean dowiedziała się pani Carew rzeczy, o których przedtem nie miała pojęcia. Wiele nauczyła się również od małego Jamiego. Pollyanna ogromnie lubiła, gdy Jamie ją odwiedzał, a on również lubił składać jej wizyty. Z początku po każdym zaproszeniu wahał się nieco, lecz wkrótce wyzbył się tej swojej niepewności, składając wizyty coraz częściej i tłumacząc sobie i Pollyannie, że przecież takie odwiedziny nie zobowiązują go do tego, żeby miał „zostać na zawsze”.

Pani Carew często zastawała Jamiego i Pollyannę siedzących w zadowoleniu w bibliotece na parapecie okiennym. Fotel na kółkach stał zawsze tuż przy nich. Czasami siedzieli obydwoje pochyleni nad jakąś książką, czasami znów chłopak opowiadał jakąś historię, a Pollyanna słuchała zainteresowana, utkwivszy w jego twarzy spojrzenie szeroko otwartych oczu.

Pani Carew dziwiła się pod tym względem Pollyannie, dopóki pewnego dnia sama nie przystanęła i nie zaczęła słuchać. Później już nigdy nie patrzyła bez zrozumienia na dziewczynkę, lecz za to coraz częściej i chętniej słuchała opowiadań chłopca. Aczkolwiek używał języka prostego i niezbyt poprawnego, to jednak opowiadał tak żywo i obrazowo, że pani Carew na równi z Pollyanną śledziła każde jego słowo.

Mglisto zaczęła sobie uświadamiać brawurę i bohaterstwo średniowiecznych rycerzy, widziała ich nawet oczami wyobraźni, choć w rzeczywistości każdym z nich był tylko mały kaleka w fotelu na kółkach. Nie uświadamiała tylko sobie pani Carew tego, że ten mały kaleka zaczynał w jej własnym życiu odgrywać tak potężną rolę, nie uświadamiała sobie, jak ważną rzeczą stała się teraz jego obecność w jej domu i jak ona sama usiłowała znaleźć coraz coś nowego do pokazania małemu Jamiemu. Nie uświadamiała sobie również, że z każdym dniem bardziej ten chłopiec zastępował jej tamtego Jamiego, zaginionego synka zmarłej siostry.

Gdy minął luty, marzec i kwiecień, gdy nadszedł maj, przynosząc wraz z sobą oznaczoną datę wyjazdu Pollyanny, w duszy pani Carew zbudziła się nagle świadomość, czym będzie dla niej wyjazd pupilki.

Sama była zdziwiona i zaskoczona. Przecież do tej pory radowała się na samą myśl o jak najszybszym rozstaniu z Pollyanną. Obiecowała sobie, że wreszcie po wyjeździe małej w domu zapanuje spokój i będzie można przysłonić jak dawniej okna, aby nie raziły oczu zbyt jasne promienie słoneczne. I ona wtedy sama zazna trochę spokoju, mogąc odseparować się od hałaśliwego i męczącego świata. Będzie wreszcie miała możliwość oddać się niepodzielnie swemu bólowi, swym najdroższym wspomnieniom o ukochanym, zaginionym siostrzeńcu, który już tak dawno temu wkroczył w krainę nieznaną i za którym podwoje dotychczasowego życia zamknęły się na zawsze. To wszystko obiecywała sobie pani Carew wówczas, gdy Pollyanna wreszcie wyjedzie do domu.

Lecz teraz, kiedy Pollyanna rzeczywiście miała wyjechać, ten pełen obietnic obraz nabrał zupełnie innego wyglądu. „Spokojny dom z przysłoniętymi oknami” stał się nieprzyjemną wizją czegoś „ponurego i nie do zniesienia”. Upragniony „spokój” wydawał się pani Carew „straszliwą samotnością”, a „odsunięcie się od hałaśliwego męczącego świata i całkowite oddanie bólowi oraz najdroższym wspomnieniom” — jednoczyło się z myślą o nowym Jamie (który mógł być przecież prawdziwym Jamiem), patrzącym na nią pełnymi skargi i błagania oczami!

Jednym słowem, pani Carew zdała sobie dokładnie sprawę z tego, że bez Pollyanny w domu jej zapanuje beznadziejna pustka, orientowała się jednak również, że jeszcze gorzej czułaby się, gdyby po wyjeździe Pollyanny nie miała przy sobie małego Jamiego. Ze względu na wrodzoną dumę, świadomość ta nie była dla niej przyjemna. Przeżywała istne tortury, gdy chłopiec dwukrotnie nie chciał przyjąć jej propozycji. W ciągu ostatnich dni pobytu Pollyanny walka wewnętrzna napawała ją prawdziwą goryczą, chociaż duma nie pozwalała jej tych najskrytszych uczuć okazywać. Gdy uświadomiła sobie, że Jamie przybył do Pollyanny z ostatnią wizytą, zdecydowała się raz jeszcze poprosić go, aby zamieszkał u niej i aby zastąpił jej zaginionego siostrzeńca.

Jakimi słowami to wypowiedziała, nie pamiętała potem zupełnie, natomiast nie zapomniła nigdy tego, co jej odpowiedział chłopiec. Odpowiedź małego Jamiego zawarta była w kilku zaledwie krótkich wyrazach.

Przez długą, bardzo długą chwilę zdawał się rozognionym wzrokiem szukać czegoś na jej twarzy, po czym odetchnął głęboko i z radosnym uśmiechem wyszeptał:

— Dobrze! Tak, teraz kieruje panią uczucie!

ROZDZIAŁ XIV. ZAZDROSNY JIMMY

Tym razem Beldingsville nie witało już Pollyanny z orkiestrą i sztandarami, może dlatego, że godzina jej przyjazdu znana była tylko niewielu mieszkańcom miasta. Nie brakło jednak radosnych powitań ze strony każdego przechodnia, gdy tylko Pollyanna wysiadła z pociągu w towarzystwie ciotki Polly i doktora Chiltona. Pollyanna również natychmiast po przyjeździe poczęła składać krótkie, kilkuminutowe wizyty, pragnąc jak najprędzej powitać swych starych przyjaciół. Przez kilka następnych dni, zdaniem kucharki Nancy, „nie było takiego miejsca, do którego nie zajrzała i nie było takiej osoby, z którą by nie pogadała chwilę”.

A wszędzie, gdziekolwiek poszła, słyszała jedno i to samo pytanie:

— Jak ci się podobał Boston?

Na pewno nikomu nie odpowiedziała bardziej wyczerpująco niż panu Pendletonowi, który ją o to samo zapytał. Zastanowiła się najprzód, zmarszczyła brwi i wyszeptwała:

— Bardzo mi się podobał, bardzo, szczególnie niektóre rzeczy...

— Więc nie cały Boston? — uśmiechnął się pan Pendleton.

— Nie. Tylko niektóre rzeczy. Ale bardzo się cieszę, że tam byłam — dorzuciła pośpiesznie. — Szalenie miło przepędziłam czas i widziałam tyle cudownych i ciekawych rzeczy. Wie pan, że tam jedzą obiad wieczorem zamiast w południe? Wszyscy tam byli dla mnie tacy dobrzy, widziałam Pagórek Bunkera i park publiczny, i autobusy, którymi zwiedza się Boston, i całe mnóstwo obrazów i pomników, i wystawy sklepowe, i ulice, które wcale nie mają końca. A ludzie! Nigdy w życiu nie widziałam jeszcze takiego mnóstwa ludzi.

— No, na pewno, ale zdawało mi się, że ty ludzi lubisz — zauważył pan Pendleton.

— Owszem, lubię — Pollyanna znowu zmarszczyła brwi i zamyśliła się na chwilę.

— Ale co człowiek ma z tylu ludzi, jeżeli ich i tak nie zna? A pani Carew nie pozwoliła mi zawierać znajomości, sama zresztą prawie nikogo nie znała. Niezmiennie twierdzi, że ludzie są niepotrzebni.

Zaległa chwila ciszy, po czym z głębokim westchnieniem Pollyanna zaczęła opowiadać dalej:

— Właśnie to było najbardziej dla mnie przykre, że ci wszyscy ludzie absolutnie się ze sobą nie znali. Byłoby przecież o wiele przyjemniej, gdyby tworzyli jedno grono znajomych! I pomyśleć tylko, proszę pana, że tam jest tylu ludzi, którzy mieszkają na wąskich, brudnych uliczkach, nie mają co jeść i chodzą w łachmanach! Ale i inni są tam także, chociażby taka pani Carew, ci znów mieszkają w prześlicznych domach, mają jedzenia za dużo, a ubrania tyle, że nie wiedzą co z nim robić. Gdyby tak ci ludzie znali tamtych ludzi... — Lecz w tej chwili pan Pendleton przerwał jej głośnym wybuchem śmiechu.

— Moje drogie dziecko, czy nie przyszło ci na myśl, że właśnie ci bogaci ludzie nie chcą wcale znać tamtych biedaków? — zapytał, pokpiwając.

— Ach, ale niektórzy z nich są inni — zaprotestowała Pollyanna gorączkowo. — Jest tam na przykład taka Sadie Dean, która sprzedaje w sklepie żaboty i kołnierzyki i która bardzo lubi poznawać ludzi. Zaznajomiłam ją z panią Carew i była u nas w domu, był wówczas również Jamie i jeszcze kilka osób, a ona była ogromnie zadowolona, że ich wszystkich poznała! I właśnie wtedy przyszło mi na myśl, że gdyby pani Carew znała biednych... Ale ja przecież nie mogę ze wszystkimi jej zaznajamiać, zresztą sama znam niewielu. Ale gdyby oni wszyscy się znali, to na pewno ci bogaci daliby tym biednym choć trochę swoich pieniędzy...

I tym razem pan Pendleton przerwał dziewczynce głośnym śmiechem.

— Ach, Pollyanno, Pollyanno — zawołał. — Boję się, że wypływasz na zbyt głębokie wody. Gotowaś stać się typową „towarzyszką”, nim jeszcze zdasz sobie dokładnie z tego sprawę.

— Czym? — zapytała dziewczynka, nic nie rozumiejąc. — Zdaje się, że nie wiem, co znaczy „towarzyszka”. Wiem za to, co znaczy być towarzyskim i ogromnie lubię towarzyskich ludzi. Jeżeli to pan miał na myśli, to nie mam absolutnie nic przeciwko temu, żeby zostać towarzyszką.

— Wcale nie wątpię, Pollyanno — uśmiechnął się pan Pendleton. — Ale jeżeli idzie o rozwiązanie niezwykle trudnego zagadnienia bogactwa, to będziesz miała z tym dużo przykrości.

Pollyanna głęboko westchnęła.

— Wiem — skinęła głową. — To samo mi mówiła pani Carew. Zawsze twierdziła, że nic nie rozumiem, wspominała o jakiejś tam pauperyzacji i... Tak, zdaje się, że to brzmiało w ten sposób. — Spojrzała poważnie na pana Pendletona, który znów zaśmiał się wesoło. — Ale ja mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego jedni ludzie mają mieć tak dużo, wówczas gdy inni nic nie mają, wcale mi się to nie podoba. Jak ja kiedyś będę miała majątek, to na pewno podzielę się z biednymi, chociaż bym nawet miała... — Pan Pendleton śmiał się teraz tak głośno, że Pollyanna po chwili zaraziła się tą jego wesołością.

— Ale mimo wszystko — wyszeptła, poważniejąc nagle — ja i tak właściwie nic nie rozumiem.

— Słusznie, kochanie, lękam się, że naprawdę nie rozumiesz — przyznał pan Pendleton, stając się równie poważny i zamyślony — i my wszyscy też mało rozumiemy na ten temat. Ale wytłumacz mi — dodał po chwili — kim jest ten Jamie, o którym tyle mówisz od swego przyjazdu?

Pollyanna zaczęła opowiadać. Mówiąc o Jamiem, nie miała już zatroskanej minki i tego wyrazu powagi w oczach. Ogromnie lubiła opowiadać o swym przyjacielu, bo to był temat, który rozumiała doskonale. Mówiąc o Jamiem, nie trzeba było dobierać górnolotnych, niezrozumiałych słów, zresztą w tym wypadku pan Pendleton nie zdziwił się wcale, że pani Carew wzięła chłopca do swego domu, bo któż lepiej od pana Pendletona rozumiał potrzebę „obecności dziecka”?

Odtąd już Pollyanna wszystkim opowiadała o Jamiem, wychodziła bowiem z tego założenia, że każdy powinien być tym chłopcem tak samo zainteresowany, jak ona. W większości wypadków nie doznała w tym względzie rozczarowania, lecz pewnego dnia spotkała ją prawdziwa niespodzianka. Było to podczas rozmowy z Jimmym Pendletonem.

— Słuchaj, moja droga — zawołał zniecierpliwiony chłopiec pewnego popołudnia. — Czy w tym Bostonie nikogo więcej nie było, tylko stale ten Jamie?

— Jak to, Jimmy Beanie, co masz na myśli? — zdziwiła się Pollyanna.

Chłopak podniósł ku górze głowę.

— Nie jestem żaden Jimmy Bean, tylko Jimmy Pendleton, a sądząc z tego, co ciągle mówisz, widocznie w tym Bostonie nikogo więcej nie było oprócz tego głupiego chłopca, który ptaki i wiewiórki nazywał „Lady Lancelot” i wyczyniał rozmaite inne głupstwa.

— Jak to, Jimmy Be... Pendleton! — otworzyła szeroko usta Pollyanna, a po chwili zawołała z wyraźnym oburzeniem. — Jamie wcale nie jest głupi! Jest bardzo miłym i mądrym chłopcem, czytał dużo książek i umie opowiadać piękne historie! Potrafi nawet opowiadać ciekawe historie z głowy! A poza tym ta wiewiórka nie nazywała się „Lady Lancelot”, tylko „Sir Lancelot”. Gdybyś umiał choć połowę tego, co Jamie, to byś na pewno i o tym wiedział! — zakończyła, patrząc nań pałającym wzrokiem. Jimmy Pendleton zarumienił się zawstydzony, ale ogarniała go coraz większa pasja. Z każdą chwilą nurtowało go bardziej uczucie zazdrości, a wraz z nim wzmagał się w jego duszy upór.

— Zresztą — mruknął z przekąsem — wcale mnie nie obchodzi ten idiota. „Jamie”! Hm! To by było dobre imię dla baby! Nie tylko ja zresztą to zauważyłem!

— A kto jeszcze?

Nie było odpowiedzi.

— A kto jeszcze? — powtórzyła Pollyanna nalegająco.

— Ojciec. — Głos chłopca był jakiś obcy.

— Twój ojciec? — powtórzyła Pollyanna ze zdziwieniem. — Jak to, a skąd on mógł znać Jamiego?

— Tamtego nie znał. Nie o nim mówił, tylko o mnie. — Chłopak przez cały czas był dziwnie onieśmielony i wyraźnie unikał wzroku Pollyanny, w głosie jego jednak brzmiała jakaś słodycz, którą zawsze dawało się zauważyć, ilekroć mówił o ojcu.

— O tobie!

— Tak. Było to na krótko przed jego śmiercią. Zatrzymaliśmy się prawie na tydzień u jednego gospodarza. Ojciec pomagał przy sianokosach, a ja także robiłem co mogłem. Gospodyni była bardzo dobra dla mnie i zaczęła mnie nazywać „Jamie”. Nie wiem dlaczego, ale tak mnie nazywała. Pewnego dnia ojciec to usłyszał. Rozgniewał się okropnie, był taki zły, że dotychczas to jeszcze pamiętam. Powiedział, że „Jamie” to nie jest imię dla chłopca i że jego syn nigdy nie będzie miał takiego imienia. Powiedział, że to babskie imię, i że go nienawidzi. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak rozgniewanego, jak tego wieczoru. Nie chciał nawet skończyć rozpoczętej pracy, zabrał mnie z sobą i wyruszyliśmy jeszcze tej nocy w dalszą drogę. Mnie było bardzo przykro, bo ogromnie lubiłem tę gospodynię. Była dla mnie naprawdę dobra.

Pollyanna kiwała głową, pełna zrozumienia i sympatii. Rzadko się zdarzało, żeby Jimmy mówił tak obszernie o tym dawnym okresie swego życia, kiedy ona go jeszcze nie знаła.

— I co się potem stało? — ośmieliła się zapytać. Na chwilę zapomniała zupełnie o poprzednim temacie i o tym, że Jimmy wypowiedział się tak niepoehlebnie o imieniu „Jamie”.

Chłopak westchnął.

— Poszliśmy dalej, aż znaleźliśmy jakąś inną zagrodę. Tam właśnie ojciec umarł, a mnie zabrali do przytulku.

— Skąd później uciekłeś i ja cię znalazłam wracając od pani Snow — podchwyciła Pollyanna czule. — I odtąd już znamy się ze sobą.

— Tak, odtąd znamy się — powtórzył Jimmy dziwnie nieswoim głosem. Powrócił nagle do rzeczywistości i do swego obecnego smutku. — Od tego czasu nie nazywałem się więcej „Jamie” — zakończył złośliwie, odwracając się na pięcie i pozostawiając zdziwioną i przerażoną Pollyannę samą.

— W każdym razie mogę być zadowolona, że nie zawsze zachowuje się w ten sposób — westchnęła dziewczynka, spoglądając z zasmuconą minką za znikającym w oddali chłopcem.

ROZDZIAŁ XV. CIOTKA POLLY WSZCZYNA ALARM

Pollyanna przebywała w domu już prawie tydzień, gdy pani Chilton otrzymała list od Delli Wetherby.

Chciałabym donieść Pani, ile dobrego mała Pani siostrzenica uczyniła dla mojej siostry — pisała panna Wetherby — lecz obawiam się, że to będzie niemożliwe. Nie orientuje się Pani przecież, co było dawniej. Widziała ją Pani wprawdzie, lecz proszę sobie wyobrazić, że ta jej rezygnacja trwała już od bardzo wielu lat. Stale przepojona była goryczą, nic jej nie interesowało i zdecydowała się aż do śmierci nosić żalobę.

Potem przyjechała Pollyanna. Nie wspominałam Pani, że siostra moja żalowała, iż zgodziła się przyjąć do siebie to dziecko i zaczęła robić mi poważne trudności, grożąc, że gdy tylko dziewczynka zacznie jej prawić kazania, natychmiast odeśle ją do domu. Pollyanna jednak kazań nie prawiała, przynajmniej tak twierdzi moja siostra, a ona chyba wie o tym najlepiej. Pozwoli Pani, że Jej opiszę, co zastałam, gdy odwiedziłam siostrę wczoraj. Może to właśnie da Pani choć nikłe pojęcie o tej cudownej zmianie, jaka zaszła dzięki Pollyannie.

Gdy weszłam tylko do domu, zauważyłam, że wszystkie okna są odsłonięte, dawniej zaś po całych dniach zasłony były opuszczone. Po wejściu do hallu usłyszałam melodię z *Parsifala*²¹. Obydwa salony były otwarte i wszędzie unosił się zapach róż.

²¹*Parsifal* — tu: tytuł opery Richarda Wagnera, opartej na motywach opowieści o królu Arturze i Rycerzach Okrągłego Stołu. [przypis edytorski]

„Pani Carew i panicz Jamie są w salonie muzycznym” — oświadczyła mi pokojówka. Istotnie zastałam ich tam — siostrę moją i chłopca, którego wzięła do swego domu — zasłuchanych w tej cudownej melodii, którą wykonywała orkiestra radiowa.

Chłopiec siedział w fotelu na kółkach, był blady, lecz najwidoczniej szczęśliwy. Siostra moja wyglądała o dziesięć lat młodziej. Błede zazwyczaj policzki miała zarumienione, a oczy jej błyszczwały radością. Później trochę, gdy chwilę porozmawiałam z chłopcem, poszliśmy wraz z siostrą na górę do jej pokoju i tam opowiadała mi o Jamiem, ale nie o tym dawnym Jamiem, za którym wypłakiwała oczy i przez tyle lat tak beznadziejnie tęskniła, lecz o tym nowym, którego miała przy sobie i który nie przyniósł jej ani łez, ani smutku, przeciwnie, wskazał jej nowy cel w życiu i nowe zainteresowania.

„Dello, on jest nadzwyczajny — zaczęła. — Wszystko co najpiękniejsze w muzyce, sztuce i literaturze, przemawia do niego z niebywałą siłą, tylko oczywiście brakuje mu rozwoju duchowego i wykształcenia. Właśnie tego ja mu muszę dostarczyć. Od jutra będzie miał nauczyciela. Oczywiście język też ma okropny, ale jednocześnie czyta mnóstwo książek i powinnaś usłyszeć, jakie piękne historie potrafi opowiadać! Oczywiście w ogólnym wykształceniu jest bardzo cofnięty, ale wykazuje taką chęć do nauki, że wkrótce z pewnością przegoni swych rówieśników. Prawdziwie kocha muzykę, więc i pod tym względem muszę go kształcić. Kupiłam już jeden z najlepszych aparatów radiowych i szkoda, żeś nie widziała jego twarzy, gdy po raz pierwszy usłyszał koncert orkiestry. Wie wszystko o Królu Arturze i o jego Okrągłym Stole, mówi o rycerzach, lordach i damach dworu, jak my mówimy o członkach naszej rodziny, czasami tylko zastanawiam się nad tym, czy mówiąc o Sir Lancelocie, ma na myśli rycerza średniowiecznego, czy też wiewiórkę z publicznego parku. A wiesz, Dello, wierzę w to, że on jeszcze będzie chodził. Mam zamiar wezwać w tych dniach doktora Amesa i...”

I tak przez cały czas opowiadała, gdy ja siedziałam oniemiała, z zamkniętymi ustami, lecz bardzo, bardzo, szczęśliwa! Piszę Pani o tym wszystkim, droga pani Chilton, aby się Pani zorientowała, jak wielka zmiana zaszła w mojej siostrze, jak serdecznie zaopiekowała się ona życiem i rozwojem tego chłopca i jak całkiem bezwiednie zmieniła swój stosunek do własnego życia. Stała się teraz czynna dla niego, dla Jamiiego, bowiem raz na zawsze przestała myśleć wyłącznie/ o sobie. Mam nadzieję, że już nigdy nie będzie tą znękaną, bezradną kobietą, jaką była dawniej, a to wszystko tylko dzięki Pollyannie.

Pollyanna! Najmilsze dziecko, najcudowniejsza istota, która zupełnie jest nieświadoma tego, co czyni. Przypuszczam, że nawet moja siostra nie zdaje sobie sprawy z tego, co wypełniło lukę w jej sercu i w życiu całym, a tym bardziej Pollyanna nie może wiedzieć, że to ona jest sprawczynią tej szczęśliwej zmiany.

Jak mam Pani dziękować, droga pani Chilton? Wiem, że to jest niemożliwe i dlatego wcale próbować nie będę. Odczuwa Pani jednak z pewnością, jak bardzo wdzięczna jestem zarówno Pani, jak i Pollyannie.

Della Wetherby.

— Sądząc z tego, kuracja udała się jak najlepiej — uśmiechnął się doktor Chilton, gdy żona skończyła czytanie listu.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu pani Polly niechętnym i ostrzegawczym ruchem podniosła w górę rękę.

— Tomasz, proszę cię, daj spokój! — wyszeptwała.

— Jak to, Polly, co się stało? Czy jesteś niezadowolona, że lekarstwo poskutkowało? Pani Chilton opadła bezradnie na krzesło.

— Znowu to samo, Tomasz — westchnęła. — Naturalnie, że jestem zadowolona, iż ta nieszczęśliwa kobieta znalazła wreszcie jakiś cel w życiu, a poza tym cieszę się, że jest

to dzieło Pollyanny. Nie chcę jednak, aby o dziecku mówiło się ciągle, jak... jak o butelce lekarstwa, czy o „kuracji”. Nie rozumiesz tego?

— Głupstwo! Przecież to jej nie wyrządza żadnej krzywdy. Nazywam Pollyannę balsamem od czasu, jak ją poznałem.

— Nie wyrządza krzywdy! Tomasz Chilton, nie zdajesz sobie sprawy, że to dziecko jest starsze z dnia na dzień. Czy chcesz ją zupełnie zepsuć? Do tej pory jest zupełnie nieświadoma swojej niezwykłej mocy i w tym właśnie tkwi tajemnica jej wielkiego czaru. W chwili, gdy świadomie będzie chciała ludziom pomagać, stanie się zupełnie niemożliwa i zdemoralizowana. Broń Boże, żeby jej kiedykolwiek miało przyjść do głowy, że jest balsamem dla biednych, chorych i cierpiących ludzi.

— Głupstwo! Ja bym się o to nie martwił — zaśmiał się doktor.

— Ale ja się martwię, Tomasz.

— Pomyśl tylko, Polly, ile już ona zdziałała — argumentował doktor. — Pomyśl o pani Snow, Johnie Pendletonie i o tych wszystkich innych, którzy są nie tacy, jak dawniej i w których zaszła jeszcze większa zmiana, niż w pani Carew. I to wszystko zdziałała Pollyanna, niech jej Bóg błogosławi!

— Wiem, że to wszystko ona — skinęła poważnie głową pani Polly Chilton. — Ale nie chcę, żeby zdawała sobie z tego sprawę! Wystarczy, że wie o tym, że nauczyła tych wszystkich ludzi swojej „gry w zadowolenie” i że odtąd czują się oni szczęśliwi. Istnieje gra, ta jej gra, w którą zabawiają się wszyscy. Mówiąc między nami, Pollyanna i nam samym przyniosła wiele dobra, lecz nie wolno dopuścić do tego, żeby to sobie uświadomiła. Chodzi mi tylko o to. A teraz muszę ci zakomunikować, że postanowiłam tej jesieni pojechać z tobą do Niemiec. Z początku myślałam, że nie pojedę, nie chciałam zostawiać Pollyanny samej, a i teraz nie mam zamiaru jej zostawiać. Zdecydowałam, że pojedzie z nami.

— Pojedzie z nami? Doskonale! Czemużby nie?

— Właśnie tak pomyślałam. Uważam, że tak będzie dobrze. Poza tym miałabym wielką ochotę pozostać tam przez kilka lat, o czym sam marzyłeś. Chciałabym, aby Pollyanna była przez jakiś czas z daleka od Beldingsville. Pragnę, aby na zawsze pozostała tak naiwna i niezepsuta. Będę się starać nie dopuszczać do jej główki głupich myśli. Czyż obydwójce nie pragniemy, Tomasz, aby to dziecko pozostało nadal czystą i niewinną istotką?

— Masz słuszność, oczywiście — zaśmiał się doktor. — Ale wątpię, czy będąc tutaj, musiałaby się zepsuć. Ten pomysł z pozostaniem na dłuższy czas za granicą bardzo mi odpowiada. Wiesz, że nie wybrałbym się nigdy na dłużej, gdyby Pollyanna miała pozostać sama, ale wobec takiego stanu rzeczy, im prędzej wyjedziemy, tym lepiej. Chętnie tam zostanę zarówno dla studiów, jak i dla praktyki.

— A zatem sprawa załatwiona — szepnęła ciotka Polly, wzdychając z zadowoleniem.

ROZDZIAŁ XVI. W OCZEKIWANIU POLLYANNY

Całe Beldingsville szalało po prostu z podniecenia. Od czasu, gdy Pollyanna Whittier owego dnia wróciła do domu z sanatorium zdrowa, nie było chyba w miasteczku tylu na jej temat rozmów, tyle radości i tylu rozjaśnionych twarzy na każdym podwórzu i na każdym rogu ulicy, jak dzisiaj. Tak, dzisiaj ogniskiem zainteresowania znowu była Pollyanna. Po raz drugi wracała do domu, lecz taka inna i taki inny był ten powrót!

Pollyanna miała teraz lat dwadzieścia, bo sześć lat spędziła w Niemczech, podróżując podczas wakacji z doktorem Chiltonem i jego żoną. Tylko raz jeden w ciągu tego czasu była w Beldingsville, lecz zaledwie przez cztery krótkie tygodnie i miała wtedy lat szesnaście. Teraz wracała do domu, jak mówiono — na stałe, ona i ciotka Polly.

Doktora Chiltona z nimi nie było. Pół roku temu miasteczko wstrząśnięte zostało smutną wieścią, że doktor umarł nagle. Mieszkańcy Beldingsville przypuszczali wówczas, że pani Chilton i Pollyanna wrócą natychmiast do domu. One jednak nie wróciły. Przybyła natomiast wiadomość, że wdowa z siostrzenicą pozostaną jeszcze na pewien czas w Niemczech. W liście tym donoszono, że w nowych warunkach i wśród nowego otoczenia pani Chilton łatwiej może zapomni o swym bólu i prędzej na szerokim świecie znajdzie ukojenie.

Wkrótce jednak mieszkańcy miasteczka dowiedzieli się, że obecnie pod względem materialnym nie było już tak dobrze z panią Polly Chilton. Pewne warsztaty kolejowe, w których, jak się okazało, majątek Harrington był mocno zaangażowany, zachwiały się, a potem uległy zupełnej ruinie. Według pogłosek, innych źródeł dochodu nie było. Z posiadłości należącej do zmarłego doktora trudno było czegoś oczekiwać. Doktor nigdy nie był człowiekiem bogatym, a podczas ostatnich sześciu lat wydatki miał okazałe. Dlatego też Beldingsville nie zdziwiło się zupełnie, gdy w sześć miesięcy po śmierci doktora przyszła wiadomość, że pani Chilton i Pollyanna wracają do domu.

I znowu stare domostwo Harringtonów, tak długo opuszczone i zamknięte, wyrzało na świat otwartymi na oścież drzwiami i oknami. I znowu Nancy, obecna pani Tymoteuszowa Durgin, zamiała, szorowała i okurzała wszystko tak długo, aż wszystkie pokoje zostały uporządkowane i zapanowała w nich nieskazitelna czystość.

— Nie, nikt mi nie kazał tego robić — tłumaczyła Nancy ciekawym przyjaciółom i sąsiadom, którzy zatrzymywali się u bramy lub odważnie podchodzili do samych drzwi. — Matka Durgin miała oczywiście klucze i przychodziła tutaj, aby się przekonać, czy wszystko jest w porządku, a teraz pani Chilton napisała, że przyjeżdża z panną Pollyanną w ten piątek i prosi, aby przewietrzyć pokoje, a klucz zostawić na piątek pod słomianką przy bocznych drzwiach.

— Pod słomianką, akurat! Gotów ktoś pomyśleć, że ja pozwolę na to, żeby te biedactwa przyjechały tu same i żeby nie zastały nikogo w domu, wówczas kiedy mieszkam zaledwie o milę stąd. Mam pewno siedzieć w swoim domu i zgrywać wielką damę. Musiałabym już zupełnie nie mieć serca! Biedaczki i tak mają dosyć. Jak im musi być przykro, że wracają do domu bez doktora, niech mu ziemia lekką będzie! A pieniędzy także nie mają! Czyście słyszeli moi państwo? Przecież to byłby kompletny wstyd! Pomyśleć, że taka panna Polly — chciałam powiedzieć pani Chilton — jest biedna! To mi się zupełnie w głowie nie mieści!

Prawdopodobnie z nikim Nancy nie mówiła tak szczerze, jak z wysokim, sympatycznie wyglądającym młodzieńcem, o jasnych, wyrazistych oczach i ujmującym uśmiechu, który zatrzymał się ze swym wierzchowcem przed bocznymi drzwiami punktualnie o dziesiątej owego czwartkowego ranka. Jednocześnie do nikogo nie zwracała się z tak widocznym zażenowaniem, bo nie wiedziała, w jaki sposób właściwie ma się doń zwracać. „Panicz Jimmy... hm... pan Bean, chciałam powiedzieć, pan Pendleton!” jąkała się, co niezwykle bawiło sympatycznego młodzieńca.

— Mniejsza o to, Nancy! Proszę mówić tak, jak najwygodniej — uśmiechnął się. — Dowiedziałem się już na pewno, że pani Chilton z siostrzenicą wracają nieodwołalnie jutro.

— Tak, *sir*, na pewno, *sir* — kiwała głową Nancy — żal człowieka ogarnia! Chociaż zadowolona jestem, że je wreszcie zobaczę, pan rozumie, ale w takim stanie biedactwa muszą wracać do domu.

— Tak, wiem, rozumiem — skinął głową młodzieniec, rozglądając się badawczym wzrokiem po starym, opuszczonym domu. — Niestety, nie ma na to żadnej rady. Cieszę się, że Nancy tu trochę sprzątnęła, bo będzie im na pewno o wiele przyjemniej — dorzucił, uśmiechając się przyjaźnie i wskoczywszy na konia, szybko odjechał.

Nancy stała na stopniach, patrząc za oddalającym się i kiwając w zamyśleniu głową.

— Wcale się nie dziwię, paniczu Jimmy — oświadczyła głośno, śledząc wzrokiem pełnym przywiązania zręczną sylwetkę jeźdźca i wierzchowca. — Wcale się nie dziwię, że pamięta pan jeszcze o pannie Pollyannie. Już dawno mówiłam, że nastąpi to kiedyś, gdy dorośniecie obydwójce. Przysięgłabym, że tak będzie! Zupełnie tak jak w książce, znalazła pana, biedactwo, a pan dzięki niej znalazł szczęście w domu poczciwego pana Pendletona. Ale kto by cię teraz, mój paniczu, wziął za dawnego Jimmy'ego Beana? Nie sądziłam, że człowiek może się tak zmienić... nie uwierzyłabym nigdy! — szeptała dalej, wracając do przerwanej na chwilę roboty.

Prawdopodobnie te same myśli zaprzątały teraz umysł Johna Pendletona, który ze swojej werandy obserwował szybkie zbliżanie się konia i młodego jeźdźca. W oczach jego tlił ten sam wyraz przywiązania, co w oczach Nancy Durgin, na ustach błędził ten sam uśmiech, gdy westchnął i wyszeptał do siebie:

— Boże, jaka z nich byłaby piękna para!

W pięć minut potem młody chłopak wyszedł zza węgła domu i wolnym krokiem wszedł na werandę.

— I cóż, mój chłopcze, więc to prawda? Istotnie przyjeżdżają? — zapytał pan Pendleton z wyraźnym zaciekawieniem.

— Tak.

— Kiedy?

— Jutro — młodzieniec leniwym ruchem opadł na krzesło.

Słyszając lakoniczną odpowiedź, John Pendleton zmarszczył brwi, po czym spojrzał bacznie na chłopca. Przez chwilę wahał się i nagle nieoczekiwanie zapytał:

— Powiedz, synu, co się stało?

— Nic, *sir*.

— Głupstwa pleciesz! Ja wiem lepiej. Przed pół godziną wyjechałeś stąd tak gorączkowo, że i tabun dzikich koni nie zdołały cię powstrzymać, a teraz siedzisz na krześle jak martwy. Gdybym nie orientował się w sytuacji, mógłbym pomyśleć, że jesteś niezadowolony z powrotu naszych przyjaciół.

Umilkł na chwilę, widocznie czekając odpowiedzi, lecz na werandzie panowało milczenie.

Młodzieniec zaśmiał się i poruszył niespokojnie na krześle.

— Oczywiście, że jestem zadowolony.

— Hm! A zachowujesz się całkiem inaczej.

Młodzieniec znowu uśmiechnął się, a krwawoczerwony rumieniec okraślił jego chłopięcą twarz.

— To tylko dlatego, że myślałem o Pollyannie.

— O Pollyannie! Człowieku, przecież ty nic innego nie robiłeś od przyjazdu z Bostonu, tylko ciągle mówiłeś o Pollyannie. Sądząc z tego, myślałem, że usychasz z tęsknoty za nią.

Młodzieniec pochylał się, patrząc na opiekuna z badawczą ciekawością.

— Miałeś słusność, *sir*, w tym, co mówiłeś przed chwilą. Jeszcze wczoraj tabun dzikich koni nie powstrzymałby mnie od zobaczenia Pollyanny, a teraz, dzisiaj, kiedy wiem, że przyjeżdża, boję się po prostu ją ujrzeć.

— Dlaczego, Jim?

Widząc zdziwioną minę opiekuna, chłopak poprawił się na krześle i uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Tak, wiem. To brzmi dość dziwnie i wątpię, czy mnie zdołasz zrozumieć. Nie wiem dlaczego, ale wolałbym, żeby Pollyanna na zawsze została małą dziewczynką. Taka miła była, będąc dzieckiem. Lubię myśleć o niej takiej, jaką widziałem po raz ostatni, lubię wspominać jej poważną, drobną twarzyczkę, jej gruby, jasny warkocz i pełne pogody słowa, w których drżały łzy: „O, tak, zadowolona jestem, że jadę, ale bardziej cieszyć się będę, gdy już wrócę”. Mówiła to, gdy ją po raz ostatni widziałem. Gdy przed czterema laty przyjechała tu na wakacje, my przebywaliśmy wówczas w Egipcie.

— Pamiętam. Rozumiem teraz, co masz na myśli. I ja odczuwałem to w ten sam sposób, dopóki nie zobaczyłem jej zeszłej zimy w Rzymie.

Młodzieniec pochylał się gorączkowo.

— Właśnie, przecież tyś ją widział, *sir*! Opowiedz mi o niej.

Figlarne ogniki zablysły w oczach Jona Pendletona.

— Ach, ale przecież ty nie chcesz, żeby Pollyanna urosła.

Młodzieniec zdawał się nie słyszeć tej uwagi.

— A czy jest ładna?

— Ach, wy młodzi chłopcy! — Pokiwał głową pan Pendleton z udaną rozpaczą. — Zawsze przede wszystkim zadajecie pytanie: „Czy jest ładna?”.

— Więc czy ona jest ładna? — indagował uparcie chłopak.

— Pod tym względem sąd pozostawiam tobie. Boję się, żebyś się nie rozczarował. Pollyanna nie jest piękna, bo nie posiada regularnych rysów, pięknych loków i tych wszystkich wdzięków, które posiadają premiiowane piękności. Najważniejsze jednak jest to, że ona sama przekonana jest, że jest brzydka. Bardzo dawno temu mówiła mi, że pragnęłaby mieć czarne loki, gdy pójdzie kiedyś do nieba, a w zeszłym roku w zimie powiedziała mi całkiem co innego. Może nie wszystko potrafiła wyrazić słowami, lecz

w samym tonie wyczułem wyraźną tęsknotę. Wspominała, że marzy o tym, aby ktoś napisał powieść, której bohaterka miałaby równy jasny warkocz i brodawkę na nosie, lecz jednocześnie chciałaby, aby ta bohaterka potrafiła uszczęśliwiać ludzi.

— To zupełnie przypomina dawną Pollyannę.

— Ach, tę dawną Pollyannę odnajdziesz na pewno — uśmiechnął się pan Pendleton tajemniczo. — Poza tym uważam, że jest ładna. Oczy ma wspaniałe, przedstawia sobą okaz zdrowia, posiada mnóstwo dziewczęcości i twarzyczka jej tak promienieje, gdy mówi, że zapomina się zupełnie o tym, że nie ma regularnych rysów.

— A czy jeszcze ciągle gra w swoją grę?

John Pendleton uśmiechnął się radośnie.

— Mam wrażenie, że gra, chociaż zdaje mi się, że teraz już o tym nie wspomina. Przynajmniej mnie nic nie mówiła, chociaż ją widziałem dwa czy trzy razy.

Zaległa krótka cisza, po czym młody Pendleton zaczął mówić:

— Właśnie tego najbardziej się lękałem. Ta jej gra była takim dobrodziejstwem dla tylu ludzi, tyle dobrego zdziałała w całym mieście! Nie mogę sobie wyobrazić tego, że przestała już oddawać się tej grze, a jednocześnie trudno uwierzyć w to, że dorosła Pollyanna może dotychczas starać się o to, aby stykający się z nią ludzie byli szczęśliwi. I właśnie dlatego pragnąłbym, aby Pollyanna nigdy nie była dorosła.

— Ja tam się o to nie martwię — wzruszył ramionami starszy jegomość. — Pollyanna zawsze była niezwykła, godna podziwu i jestem pewien, że i teraz znajdziesz ją taką samą, chociaż jest mniej naiwna i bardziej doświadczona. Biedne dziecko, lękam się, że teraz będzie musiała do samej siebie zastosować tę grę, aby własne jej życie było możliwe do zniesienia.

— Czy dlatego, że pani Chilton straciła swój majątek? Czy istotnie są teraz takie biedne?

— Przypuszczam, że tak. Znajdują się w opłakanym stanie, jeżeli idzie o ich położenie materialne. Prywatny majątek pani Chilton jest zupełnie zachwiany, a posiadłość biednego Tomasza jest mała i tak zadłużona, że chyba nigdy nie da się oczyścić jej z długów. Tomasz za życia swego nie potrafił nikomu odmówić, gdy chodziło o jego pomoc, a ponieważ ludzie o tym wiedzieli, wyzyskiwali go, jak mogli. Ostatnio sam także miał okazałe wydatki, zresztą spodziewał się wielkich dochodów po ukończeniu swej specjalnej praktyki w Niemczech. Jeżeli chodziło o żonę i Pollyannę, to wierzył, że posiadłość Harringtonów obydwu niewiastom przyszłość zabezpieczy, toteż nie troszczył się o to.

— Hm, rozumiem. Strasznie to przykre!

— Ale to jeszcze nie wszystko. Było to mniej więcej w dwa miesiące po śmierci Tomasza, gdy widziałem panią Chilton i Pollyannę w Rzymie, a pani Chilton znajdowała się wówczas w rozpaczliwym stanie. Na domiar wszystkich smutków przyszło jeszcze zmartwienie o pieniądze i była kompletnie bliska obłądu. Nie chciała wrócić do domu, twierdząc, że nie chce więcej widzieć Beldingsville, ani też jego mieszkańców. Była zawsze niezwykle dumną kobietą i ta właśnie duma nie pozwalała jej zetknąć się z dawnymi przyjaciółmi. Pollyanna opowiadała mi, że ciocia jest przekonana, iż mieszkańcy Beldingsville nigdy nie pochwalali jej małżeństwa z doktorem Chiltonem, które zawarła w tak późnym wieku, a teraz, kiedy Tomasz umarł, czuje, że nie pojmą jej głębokiego smutku i że nawet zareagują zwykłym szyderstwem. Chciała ukryć przed dawnymi sąsiadami zarówno swoją biedę, jak i swoje smutne wdowieństwo. Jednym słowem, pragnęła nadal pozostać sama ze swą rozpaczą, z daleka od dawnych przyjaciół. Biedna mała Pollyanna! Należało podziwiać, jak dzielnie znosiła to wszystko. Jeżeli jednak pani Chilton nadal pozostawać będzie w tym stanie, to dziecko gotowe się zamartwić. Właśnie dlatego wspominałem, że teraz Pollyannie bardziej niż komukolwiek będzie potrzebna jej gra.

— Przykro pomyśleć, że coś takiego właśnie jej się musiało przytrafić! — zawołał młodzieniec drżącym ze wzruszenia głosem.

— Tak, i zobaczysz ją, jak przyjedzie jutro, jaka jest spokojna i opanowana. Na pewno nikt nie usłyszy z jej ust ani słowa skargi. Ale to już jest dzieło Polly Chilton, gotów jestem przysiąc. Przecież to ona nie chce się z nikim stykać. Rozumiem teraz, dlaczego o swym powrocie zawiadomiła tylko starą panią Durgin, która miała klucze od mieszkania.

— Tak mi właśnie mówiła Nancy, poczciwa dusza! Przewietrzyła wszystkie pokoje, posprzątała i poukładała, aby w mieszkaniu było jak najprzyjemniej. Oczywiście ogród też

wygląda całkiem przyzwoicie, bo stary Tomasz przez cały czas go nie zaniedbywał. Ale to wszystko jest bardzo przykre i bardzo mnie boli.

Zaległa znowu dłuższa cisza, którą i tym razem przerwał John Pendleton:

— Ktoś powinien ich oczekiwać.

— I na pewno będzie.

— Wybierasz się na stację?

— Owszem.

— Więc orientujesz się, którym pociągiem przyjadą?

— Ach, nie. Nawet Nancy tego nie wie.

— To jak zamierzasz to zrobić?

— Będę wychodził od rana na każdy pociąg, aż wreszcie trafię — zaśmiał się trochę nieszczерze młodzieniec. — Tymoteusz wybiera się także rodzinnym powozem. Przecież nie tak dużo pociągów tu się zatrzymuje, więc jakoś damy sobie radę.

— Hm, oczywiście — skinął głową pan Pendleton. — Jim, podziwiam twoje nerwy, lecz nie twój rozum. Cieszę się, że idziesz za popędem uczuć, a nie rozumu i życzę ci pod tym względem wiele szczęścia.

— Dziękuję, *sir* — uśmiechnął się młodzieniec. — Potrzebne mi są one, te twoje dobre życzenia i przydadzą się, jak zawsze mówi Nancy.

ROZDZIAŁ XVII. PRZYJAZD POLLYANNY

W miarę jak pociąg zbliżał się do Beldingsville, Pollyanna z coraz większym niepokojem obserwowała ciotkę. Przez cały dzień podróży pani Chilton była zdenerwowana i ponura, a Pollyanna najbardziej obawiała się tej chwili, kiedy dotrą już do tak dobrze znajomej stacji.

Kiedy patrzyła na ciotkę, serce jej zamierało z bólu. Po prostu trudno było uwierzyć, żeby człowiek mógł się do tego stopnia zmienić i postarzeć w ciągu krótkich sześciu miesięcy. Oczy pani Chilton były przygaszone, policzki blade i zmięte, a czoło porwane gęstą siecią zmarszczek. Kąciki ust opadały ku dołowi, włosy zaś gładko zaczesane od czoła, nie stosując się absolutnie do obecnej mody, której tak zawzięcie hołdowała za dawnych lat, za czasów, kiedy Pollyanna przyjechała do niej po raz pierwszy. Cała miękkość i słodycz, promieniujące z niej podczas małżeństwa, zniknęły bezpowrotnie, ustępując miejsca dawnej surowości i goryczy, które ją cechowały wówczas, gdy była jeszcze panną Polly Harrington, przez nikogo niekochaną i nikomu niepotrzebną.

— Pollyanno! — głos pani Chilton brzmiał natarczywie.

Pollyanna drgnęła niespokojnie. Doznała nieprzyjemnego uczucia, że ciotka w tej chwili czytała w jej myślach.

— Słucham, ciociu.

— Gdzie jest ta czarna walizeczka, ta najmniejsza?

— Tutaj.

— Dobrze, chciałam, żebyś mi z niej wyjęła mój czarny welon. Jesteśmy już prawie na miejscu.

— Ale ten welon jest strasznie gruby i ciepły, ciociu!

— Pollyanno, proszę cię o ten czarny welon. Gdybyś nauczyła się spełniać moje życzenia bez sprzeciwu, byłoby mi o wiele przyjemniej. Chcę mieć ten welon. Sądzisz, że mam zamiar całemu Beldingsville pokazywać swoją twarz, żeby się wszyscy przekonali, jak ja ten ból znoszę?

— Ach, ciociu, oni wcale na to nie zwrócą uwagi — zaprotestowała Pollyanna, przeczucując spieszenie rzeczy w czarnej walizeczce i szukając welonu. — Zresztą na pewno nikt nie wyjdzie po nas na stację. Nie zawiadomiliśmy przecież nikogo, że wracamy.

— Tak, wiem o tym. Nie prosiłyśmy, żeby ktokolwiek po nas wychodził. Ale poleciliśmy Durginowej, żeby przewietrzyła pokoje i zostawiła klucz pod słomianką. Czy przypuszczasz, że Durginowa zachowała, tę wiadomość dla siebie? Ja wątpię. Połowa miasta już wie, że wracamy dzisiaj i na pewno kilkadziesiąt osób „przypadkowo” znajdzie się na stacji. Znam dobrze tych ludzi! Będą ciekawi, jak wygląda zubożała Polly Harrington. Oni...

— Ach, ciociu, ciociu — prosiła Pollyanna ze łzami w oczach.

— Gdybym nie była taka samotna, gdyby Tomasz był tutaj... — urwała nagle i odwróciła głowę. Usta jej drżały konwulsyjnie. — Gdzież jest ten welon? — wybąkała niepewnym głosem.

— Tak, kochana. Jest tutaj, już go mam — uspokajała Pollyanna, której jedynym życzeniem było teraz jak najspieszniej wręczenie welonu ciotce. — Jesteśmy już prawie na miejscu. Ach, ciociu, jakżebym chciała, żeby stary Tomasz albo Tymoteusz wyszli po nas na stację!

— I żebyśmy pojechały do domu z takimi minami, jakbyśmy istotnie mogły sobie pozwolić na konie i powozy? A czyż nie zdajemy sobie sprawy, że to wszystko będziemy musiały już jutro sprzedać? Nie, dziękuję ci, Pollyanno. Już wolę w takich warunkach pojechać do domu zwykłą dorożką.

— Ja wiem, ale... — pociąg zakołysał się i przystanął, a Pollyanna zakończyła rozpoczęte zdanie głębokim westchnieniem.

Gdy obydwie niewiasty wyszły na peron, pani Chilton w swym czarnym welonie opuszczonym na twarz nie oglądała się nawet poza siebie. Pollyanna jednak kiwała głową i uśmiechała się do ludzi, idąc tuż za ciotką. Nagle ujrzała przed sobą jakąś dziwnie znajomą twarz.

— Czy to przypadkiem nie Jimmy? — zawołała radośnie, wyciągając swobodnie rękę. — Właściwie powinnam powiedzieć „pan Pendleton” — poprawiła się z czarującym uśmiechem na bladej twarzyczce. — Teraz, kiedy tak urosłeś i zmężniałeś...

— Radzę ci lepiej nie próbować — zaśmiał się młodzieniec z figlarnym śmiechem dawnego małego Jimmy. Zwrócił się potem do pani Chilton, ona jednak nie spojrzała nań nawet, przyspieszając uparcie kroku.

Powrócił więc do Pollyanny, patrząc na nią zatroskanym i pełnym współczucia wzrokiem.

— Może byście zechciały pójść tędy — zaproponował. — Bo tam czeka Tymoteusz z powozem.

— Ach, jak ładnie z jego strony — zawołała Pollyanna, spoglądając jednocześnie z odrobiną niepokoju na zawołowaną twarz ciotki. Delikatnie dotknęła jej ramienia. — Ciociu droga, Tymoteusz jest na stacji. Przyjechał powozem. Podobno czeka z tej strony. A to jest Jimmy Bean, ciociu. Pamiętasz chyba Jimmy'ego Beana!

W swym zdenerwowaniu i zażenowaniu Pollyanna nie zwróciła nawet uwagi, że przedstawiła ciotce młodzieńca, wypowiadając jego dawne chłopięce nazwisko. Pani Chilton jednak też widocznie tego nie zauważyła. Z wyraźną niechęcią odwróciła się i podniosła w górę głowę.

— Pan Pendleton jest bardzo miły, ale mi przykro, że zarówno on, jak i Tymoteusz zadawali sobie tyle trudu — rzekła chłodno.

— To żaden trud, żaden trud, zapewniam panią — zaśmiał się młodzieniec, usiłując ukryć zażenowanie. — Jeżeli panie dadzą mi tylko kwity, chętnie zajmę się ich багаżem.

— Dziękujemy — wyszeptła pani Chilton — ale my same możemy...

Pollyanna jednak z radosnym „dziękuję” wręczyła już kwity towarzyszowi, zaś pani Chilton, która posiadała dużo wrodzonego taktu, więcej nie oponowała.

Przez całą drogę do domu wszyscy milczeli. Tymoteusz, dotknięty chłodnym powitaniem swej dawnej chlebodawczyni, siedział na koźle sztywny i poważny, z zaciętymi ustami. Pani Chilton, szepnąwszy zmęczonym głosem „Dobrze, dobrze, moje dziecko, jak sobie życzysz. Możemy tym powozem pojechać do domu!” — zapadła w przykre i ponure milczenie. Tylko Pollyanna nie była ani poważna, ani zatroskana. Gorączkowym, zażawionym spojrzeniem witała ukochany krajobraz w miarę, jak oddalali się od stacji. Tylko raz jeden ośmieliła się przemówić:

— Czyż Jimmy nie jest nadzwyczajny? A jak zmężniał! I czyż nie ma cudownych oczu i uśmiechu?

Zamilkła na chwilę, a nie otrzymawszy odpowiedzi, zadowolona się własnym, pełnym przekonania potwierdzeniem:

— Tak, oczy ma wspaniałe.

Tymoteusz był zbyt załęknioty, aby uprzedzić panią Chilton o tym, co ją czeka w domu, toteż szeroko otwarte okna, pokoje udekorowane kwiatami i Nancy stojąca na ganku, wszystko to było prawdziwą niespodzianką dla pani Chilton i Pollyanny.

— Nancy, jakaś ty miła! — zawołała Pollyanna, wyskakując lekko z powozu. — Ciociu, przyszła Nancy, żeby nas powitać. I zobacz, jak tu pięknie wszystko wygląda!

Głos Pollyanny był radosny, lecz wyraźnie załamywał się w drzeniu. Ten powrót do domu bez ukochanego wuja, do którego była tak szczerze przywiązana, stanowił dla niej dość ciężkie przeżycie, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, jak przykro w tej chwili musiało być ciotce. Wiedziała, że ciotka lękała się najbardziej okazania swej słabości przed Nancy, a przecież pod osłoną ciężkiego, czarnego welonu oczy jej błyszczały łzami i usta drżały. Wiedziała również, że pani Chilton, pragnąc ukryć swe wzruszenie, skorzysta z pierwszej lepszej okazji, by wyładować swój gniew na kimkolwiek. Toteż Pollyanna nie zdziwiła się zupełnie, gdy po kilku słowach chłodnego przywitania, ciotka zwróciła się do Nancy ostro:

— Oczywiście, bardzo ładnie z twojej strony, Nancy, ale wolałabym, żebyś tego wszystkiego nie robiła.

Dotychczasowa radość zniknęła z twarzy wiernej służącej. Słowami tymi była najwyraźniej dotknięta i przerażona.

— Ach, ale panno Polly, chciałam powiedzieć, pani Chilton — wybąkała — myślałam, że przecież...

— Tak, tak, mniejsza o to, Nancy — przerwała jej pani Chilton. — Już lepiej nie mówmy o tym. — I z głową dumnie wzniesioną do góry wyszła z pokoju.

W chwilę potem słychać było, jak zatrzasnęła ze złością drzwi swojej sypialni na górze. Nancy obejrzała się zmartwiona.

— Ach, panno Pollyanno, co to było? Co ja takiego zrobiłam? Myślałam, że będzie zadowolona. Chciałam przecież jak najlepiej!

— Oczywiście, że chciałaś — wyszeptała z płaczem Pollyanna, szukając w torebce chustki do nosa. — I bardzo to ładnie z twojej strony, ja się strasznie ucieszyłam.

— Ale ona nie jest zadowolona.

— Owszem, jest, tylko nie chce tego okazać. Bała się, że będzie musiała okazać także inne swoje uczucia. Ach, Nancy, Nancy, taka jestem zadowolona, że mogę się wypłakać! — i Pollyanna poczęła szlochać z twarzą ukrytą na ramieniu Nancy.

— Cicho, cicho kochanie — uspakajała ją wierna służąca, gładząc po głowie, a drugą ręką wycierając własne łzy brzegiem fartucha.

— Widzisz, mnie nie wolno płakać przy niej — szeptała Pollyanna — a tak ciężko było tu po raz pierwszy przyjechać. Rozumiem, jak ona się musi teraz czuć.

— Oczywiście, oczywiście, biedactwo — biadała Nancy. — I pomyśleć, że zaraz na wstępie musiałam ją rozgniewać...

— Ach, ależ ona nie była wcale rozgniewana — sprostowała Pollyanna drżącym głosem. — To tylko taki jej sposób, Nancy. Widzisz, ona nie lubi okazywać, jak strasznie rozpacza po doktorze. A nie chce tej swojej rozpaczy pokazywać ludziom, więc udaje, że jest zagniewana. W stosunku do mnie też często postępuje tak samo, toteż orientuję się w tym doskonale, rozumiesz?

— O, tak, tak, rozumiem. — Nancy zacięła z surowością wargi i jeszcze czulej pogładziła Pollyannę po głowie. — Biedne dziecko! Cieszę się, że przyszłam tutaj, chociażby ze względu na ciebie.

— Ja też się bardzo cieszę — odetchnęła głębiej Pollyanna, uwalniając się z uścisku Nancy i osuszając łzy chusteczką. — Teraz czuję się lepiej. Dziękuję ci serdecznie za wszystko i przepraszam za chwilę słabości. Ale już najwyższa pora, żebyś wracała do domu.

— Hm, myślę, że jednak zostaną tutaj na pewien czas — mruknęła Nancy.

— Zostaniesz? Jak to Nancy, przecież ty masz męża. Czyż nie jesteś żoną Tymoteusza?

— Naturalnie! Ale jeżeli o was idzie, to on nie będzie miał nic przeciwko temu. Nawet sam będzie chciał, żebyś została tutaj.

— Ale my nie możemy się na to zgodzić — rozumowała Pollyanna. — Nie możemy teraz zatrudnić nikogo, wiesz chyba o tym. Mam zamiar sama wszystko robić. Dopóki sytuacja nie wyklaruje się, musimy żyć bardzo oszczędnie, tak przynajmniej mówi ciotka Polly.

Sługa

— Tak jak ja bym chciała brać pieniądze od... — zaczęła Nancy wyraźnie dotknięta, lecz widząc wyraz twarzy Pollyanny, umilkła i wybiegła spiesznie z pokoju, aby zajrzeć do kurczaków rumieniących się w piecu.

Dopiero po kolacji i uporządkowaniu wszystkiego pani Tymoteuszowa Durgin zdecydowała się odjechać wraz ze swym mężem. Odjeżdżała jednak z wyraźną niechęcią, prosząc ciotkę Polly i Pollyannę, aby jej wolno było odwiedzić je kiedyś i „pomóc trochę przy kuchni”.

Po wyjeździe Nancy Pollyanna weszła do bawialni, w której siedziała pani Chilton z oczami przysłoniętymi dłonią.

— Ciociu, czy mogę światło zapalić? — zapytała swobodnie.

— Ach, sądzę, że tak.

— Czyż Nancy nie jest kochana, że nam wszystko tak ślicznie urządziła?

Nie było odpowiedzi.

— Gdzież ona znalazła tyle pięknych kwiatów? Ustawiła je we wszystkich pokojach, nawet w obydwu pokojach sypialnych.

Znowu nie było odpowiedzi.

Pollyanna westchnęła głęboko i zaniepokojona spojrzała na zatroskaną twarz ciotki. Po chwili zagadnęła znowu, siląc się na wesołość:

— Widziałam starego Tomasza w ogrodzie. Strasznie jest biedny, bo reumatyzm dokucza mu coraz bardziej. Pochylił się prawie do ziemi. Zapytywał szczególnie o ciebie i...

Pani Chilton przerwała jej nagle ostro:

— Co my będziemy robiły, Pollyanno?

— Co będziemy robiły? Oczywiście wszystko, co będzie w naszej mocy.

Pani Chilton uczyniła ruch zniecierpliwienia.

— Ach, ach, Pollyanno, mogłabyś już raz wreszcie być poważna. Sama się orientujesz, że to nie są żarty. Pytam się, co będziemy robiły? Jak ci wiadomo, dochody moje prawie zupełnie się urwały. Oczywiście niektóre rzeczy przedstawiają jeszcze jakąś wartość, ale pan Hart twierdzi, że niewiele będzie można w tej chwili spieniężyć. Mamy coś nie coś w banku i oczywiście jest z tego jakiś mały dochód. A poza tym mamy ten dom. Ale jaki pożytek jest z domu? Nie można go przecież jeść, ani się w niego ubrać. Zresztą, jest on teraz za duży dla nas w obecnych warunkach, a sprzedać go za połowę wartości nie możemy, tym bardziej, że nie tak łatwo znaleźć nabywcę.

— Sprzedać! Ach, ciociu, przecież nie sprzedamy naszego domu i tylu pięknych rzeczy!

— Ja bym go chętnie sprzedała, Pollyanno. Niestety, musimy przecież jeść.

— Wiem o tym, bo jeżeli o mnie chodzi, to zawsze jestem głodna — uśmiechnęła się ze smutkiem Pollyanna. — Właściwie powinnam być zadowolona, że mam taki dobry apetyt.

— Bardzo to do ciebie podobne. We wszystkim potrafisz znaleźć coś, z czego możesz być zadowolona. Ale co my będziemy robić, dziecko? Chciałabym, żebyś choć na chwilę zastanowiła się poważnie.

Twarzyczka Pollyanny uległa natychmiastowej zmianie.

— Już jestem poważna, ciociu Polly. Zaczynam się zastanawiać. Strasznie bym chciała móc zarabiać pieniądze.

— Ach, dziecko, dziecko, nie sądziłam, że kiedyś w życiu coś takiego od ciebie usłyszę! — jęknęła pani Chilton. — Córka Harringtonów zarabiająca na chleb powszedni!

— Nie można z tego punktu widzenia patrzeć na to — zaśmiała się Pollyanna. — Powinnaś być zadowolona, że córka Harringtonów jest na tyle zdolna, że mogłaby na chleb zarabiać! To nie jest żadna hańba, ciociu Polly.

— Możliwe. Ale to niezbyt przyjemna perspektywa, gdy się pomyśli, jakie stanowisko kiedyś zajmowaliśmy w Beldingsville.

Pollyanna zdawała się tych słów nie słyszeć. Spojrzenie jej utkwione było w dalekiej przestrzeni.

— Żebym tylko miała jakieś zdolności! Żebym potrafiła robić cośkolwiek lepiej niż wszyscy ludzie na świecie — westchnęła po chwili. — Umiem trochę śpiewać, trochę

Pozycja społeczna, Pieniądz,
Praca

grać, trochę haftować i trochę cerować, ale nic nie potrafię tak dobrze, aby mi ludzie mogli za to zapłacić...

— Myślę, że najlepiej potrafiłabym gotować — zdecydowała po chwili milczenia — i prowadzić gospodarstwo domowe. Strasznie lubiłam te zimy w Niemczech, kiedy Greta czasami nie przychodziła, a była nam bardzo potrzebna. Ale w kuchni u obcych ludzi nie miałabym ochoty pracować.

— Ja bym ci na to nigdy nie pozwoliła, Pollyanno! — zawołała z drżeniem pani Chilton.

— A zajmowanie się naszą kuchnią nie da przecież żadnych zysków — martwiła się Pollyanna — nie będzie mi za to nikt płacił, a nam są potrzebne pieniądze.

— Bardzo potrzebne — westchnęła ciotka Polly.

Zaległa długa cisza, którą przerwała wreszcie Pollyanna.

— I pomyśleć, że po tym wszystkim, coś ty dla mnie uczyniła, ciociu, i pomyśleć, że teraz, gdybym tylko mogła, miałabym taką wspaniałą okazję przyjść ci z pomocą! A jednak nie mogę tego uczynić. Ach, dlaczego nie urodziłam się z czymś, co jest warte dużo pieniędzy?

— Daj spokój, dziecko! Gdyby żył doktor... — słowa zamarły w śmiertelnej ciszy.

Pollyanna podniosła głowę i zerwała się z krzesła.

— Ciociu, ciociu, przecież to nigdy nie wróci! — zawołała zupełnie zmienionym głosem. — Nie martw się, ciociu. Co byś powiedziała na to, gdyby nagle pewnego dnia rozwinął się we mnie wielki talent? Zresztą uważam, że to wszystko jest naprawdę ciekawe, bo tyle w tym jest niepewności. Szalenie lubię pragnąć czegoś i obserwować, jak to coś się zbliża. Gdy człowiek żyje, mając tę pewność, że może mieć wszystko, czego pragnie, to wówczas życie nie jest wcale ciekawe — zakończyła, śmiejąc się wesoło.

Pani Chilton nie śmiała się. Westchnęła tylko, mówiąc:

— Mój Boże, Pollyanno, jakie z ciebie jeszcze dziecko!

ROZDZIAŁ XVIII. NOWA POLLYANNA

Pierwsze dni pobytu w Beldingsville nie były łatwe ani dla pani Chilton, ani dla Pollyanny. Należało przyzwyczaić się do nowych warunków, a okres takiego przyzwyczajania na ogół nie jest przyjemny.

Po podróżach i ciekawych wrażeniach niełatwo było nakłonić umysł do drobiazgowego zastanawiania się nad ceną masła lub do targowania się z rzeźnikiem. Po długim okresie całego mnóstwa wolnego czasu, trudno było teraz nagiąć się i przyzwyczaić do tego, aby każda robota była na czas gotowa. Przyjaciele i sąsiedzi składali częste wizyty i chociaż Pollyanna witała ich wszystkich ze szczerą radością, pani Chilton nie pokazywała się prawie nikomu pod pierwszym lepszym pretekstem. Zazwyczaj po takich wizytach mówiła z goryczą do Pollyanny:

— Ciekawi są zobaczyć, jak Polly Harrington znosi swoją biedę.

O doktorze pani Chilton rzadko mówiła, Pollyanna jednak wiedziała dobrze, że ani na chwilę nie przestawała o nim myśleć.

Jimmy'ego Pendletona widziała Pollyanna kilka razy w ciągu pierwszego miesiąca. Najprzód przyszedł z panem Johnem Pendletonem z ceremonialną i nieco sztywną wizytą, lecz właściwie zupełnie sztywni nie byli, dopóki ciotka Polly nie weszła do pokoju. Nie wiadomo, dlaczego ciotka Polly tym razem nie unikała gości. Później Jimmy przychodził już sam, raz z kwiatami, raz z książką dla ciotki Polly, a dwa razy — bez żadnego specjalnego interesu. Pollyanna za każdym razem witała go ze szczerą radością, zaś ciotka Polly po pierwszej oficjalnej wizycie w ogóle nie pokazywała się więcej młodemu Pendletonowi.

Na ogół przyjaciółom i znajomym Pollyanna nie wspominała prawie wcale o przykrej zmianie warunków ich życia, z młodym Pendletonem jednak mówiła całkiem otwarcie i przy każdej niemal rozmowie wdychała głęboko, przejęta jednym i tym samym pragnieniem:

— Żebym tylko mogła coś robić, co by mi dawało trochę pieniędzy.

— Zamierzam zostać najemną pracownicą — śmiała się wesoło. — Doszłam już do tego, że obliczam wszystko na dolary, a jeżeli myślę, to jedynie o centach. Widzisz, ciotka Polly czuje się taka biedna!

— Ależ to wstyd! — oburzył się Jimmy.
— Wiem o tym. Jeżeli mam być szczerą, to sądzę, że ona raczej w tym wypadku przesadza. Chciałabym jednak bardzo jakoś jej pomóc.

Jimmy patrzył na jej poważną, rozgorączkowaną twarzyczkę i błyszczące podnieceniem oczy z prawdziwym wzruszeniem.

— A co byś chciała robić, gdybyś mogła? — zapytał.

— O, chciałabym gotować i prowadzić gospodarstwo domowe — uśmiechnęła się Pollyanna, wdychając. — Bardzo lubię trzeć żółtka z cukrem i słuchać, jak soda syczy w filiżance kwaśnego mleka. Jestem najbardziej szczęśliwa, gdy mam piec ciasto. Ale za to nie można otrzymywać pieniędzy, chyba żeby się pracowało u kogoś. A ja... ja się jakoś na to zdobyć nie mogę!

— Oczywiście że nie! — zawołał młodzieniec.

Znowu spojrzął na tę wyrazistą twarzyczkę, którą miał tuż przy sobie. Tym razem dziwny uśmiech rozchylił jego usta. Zagryzł wargi, po czym rzekł z lekkim rumieńcem na twarzy:

— Ale ty byś mogła wyjść za mąż. Czy myślałaś o tym, panno Pollyanno?

Pollyanna wybuchnęła wesołym śmiechem. Jej głos i zachowanie były najlepszym dowodem, że należała do tych dziewcząt, których serca nie dosięgła jeszcze strzała Amora²².

— O, nie, ja nigdy nie wyjdę za mąż — zawołała wesoło. — Przede wszystkim wiesz, że nie jestem ładna, a po drugie mam zamiar pozostać z ciotką Polly, żeby się nią opiekować.

— Naprawdę nie jesteś ładna? — uśmiechnął się Pendleton zdziwiony. — A czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że na ten temat zdania mogą być podzielone?

Pollyanna potrząsnęła przecząco głową.

— Bardzo możliwe, ale ja mam lusterko, w którym się widzę — zaoponowała, patrząc nań uśmiechnięta.

Brzmiało to jak kokieteria. U każdej innej dziewczyny byłaby to z pewnością kokieteria, pomyślał Pendleton. Lecz patrząc teraz na twarzyczkę Pollyanny, Jimmy był pewny, że cokolwiek robiła czy mówiła, nie miało nic wspólnego z kokieterią. I nagle uświadomił sobie, dlaczego Pollyanna nie była podobna do tych wszystkich dziewcząt, które znał. Coś z dawnej jej pogody pozostało jeszcze dotychczas i jakby na zawsze do niej przywarło.

— Dlaczego nie jesteś ładna? — zapytał.

Zadając to pytanie i orientując się, jaką otrzyma odpowiedź, wstrzymał oddech w niecierpliwym oczekiwaniu. Zdawał sobie sprawę z tego, z jaką radością każda inna dziewczyna przyjęłaby taki komplement. Lecz już pierwsze słowa wypowiedziane przez Pollyannę przekonały go, że chwilowe jego obawy były absolutnie bezpodstawne.

— Po prostu dlatego, że nie — zaśmiała się z odrobiną smutku w głosie. — Taką mnie już Pan Bóg stworzył. Nie wiem, czy pamiętasz, ale dawno temu, gdy byłam jeszcze małą, wydawało mi się zawsze, że największym szczęściem byłoby, gdyby mnie natura obdarzyła czarnymi lokami.

— A teraz już o tych lokach nie marzysz?

— Nie, chyba nie — zawahała się na chwilę. — Chociaż nie powiem, żeby takie loki nie były ładne. Poza tym nie mam wystarczająco długich rzęs i nie mam greckiego ani rzymskiego nosa, jakie mają te kobiety, które posiadają pewien określony typ urody. Mam taki sobie zwykły nos, a ponadto mam twarz za długą, czy też za krótką, już dokładnie nie pamiętam jaką, lecz kiedyś mierzyłam ją według wskazówek podanych w artykule o „prawdziwym pięknie” i okazało się, że moja twarz nie jest prawidłowa. W artykule tym było napisane, że szerokość twarzy powinna się równać szerokości pięciu oczu, a szerokość każdego oka też powinna czemuś odpowiadać. Już dokładnie tego wszystkiego nie pamiętam, wiem tylko, że nie mam prawidłowej twarzy.

— Jakaż to przykra sytuacja! — zaśmiał się Pendleton, a obserwując z zachwytem twarz dziewczyny, zapytał nieoczekiwanie: — Czy patrzyłaś kiedyś w lustro, jak mówisz, Pollyanno?

— Naturalnie, że nie, a dlaczego pytasz?

²²Amor (mit. rzym.) — bóg miłości, syn Wenus i Marsa, przedstawiany zwykle jako skrzydlaty chłopczyk z łukiem, z którego „poluje na serca” (jeśli czyjeś serce Amor ustrzeli swą strzałą, musi on nieuchronnie ulec uczuciu miłości). [przypis edytorski]

— To radziłbym ci spróbować.

— Cóż za wspaniały pomysł! Wyobraź sobie, że już to robię — zaśmiała się. — Co mam na przykład mówić? Mam może powiedzieć: „Chociaż masz za krótkie rzęsy i niezgrabny nos, Pollyanno, ciesz się, że w ogóle Pan Bóg dał ci jakiś nos i jakieś rzęsy!”

Pendleton śmiał się teraz razem z nią, lecz dziwny grymas pojawił się na jego twarzy.

— Więc ty jeszcze ciągle grasz w tę grę — zauważył nieufnie.

Pollyanna zwróciła nań spojrzenie pełne zdziwienia.

— Jak to, naturalnie! Wątpię, czy potrafiłabym żyć w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, gdybym nie znała tej cudownej gry. — Głos jej w tej chwili zadrżał nieco.

— A wcale o niej nie wspominałaś — dorzucił.

Zarumieniła się.

— Tak. Lękam się teraz mówić zbyt dużo ludziom obcym, których to nic nie obchodzi. Teraz, kiedy mam lat dwadzieścia, nie mogę się tak zachowywać, jak wówczas, gdy miałam lat dziesięć. Zdaję sobie dokładnie z tego sprawę. Ludzie nie lubią cudzych zmartwień, wiesz o tym — zakończyła z wyrozumiałym uśmiechem.

— Wiem. — Skinął głową młodzieniec. — Ale czasami zastanawiam się, Pollyanno, czy ty sama orientujesz się, czym jest ta gra i ile dobrego uczyniła ona niektórym ludziom.

— Wiem, ile dobrego mnie przyniosła — powiedziała to przyciszonym głosem, unikając jego wzroku.

— Widzisz, da ci ona wiele dobrego, jeśli będziesz nadal w nią grała — oznajmił głośno po chwili milczenia. — Ktoś kiedyś mądrze powiedział, że gra ta wywoła rewolucję na całym świecie, jeżeli wszyscy zaczną w nią grać. Ja osobiście święcie w to wierzę.

— Tak, ale istnieją ludzie, którzy wcale nie pragną takiej rewolucji — uśmiechnęła się Pollyanna. — Sama nawet spotkałam takiego człowieka w zeszłym roku w Niemczech. Stracił wszystkie pieniądze i był ogromnie przygnębiony. Boże, jakiż on był ponury! Ktoś w mojej obecności chciał go pocieszyć, mówiąc: „Nie trzeba się martwić, mogło być jeszcze gorzej!”. Boże, powinieneś być zobaczyć jego wściekłość! „Jeżeli istnieje coś na świecie, co mnie może doprowadzić do pasji — zawołał — to tylko to, jeżeli ktoś mnie chce przekonać, że mogło być jeszcze gorzej i że powinienem być wdzięczny za to, co mam. Ludzie, którzy obnoszą po świecie wieczny uśmiech, zazwyczaj wdzięczni są Bogu za to, że mogą jeść, chodzić i leżeć, ja jednak tego nie uznaję. Nie chcę oddychać, jeść, chodzić czy leżeć, jeżeli mam się znajdować w takiej sytuacji jak dzisiaj. A jak mi ktoś mówi, że powinienem się cieszyć z tego, co mam, wpadam w taką złość, że gotów jestem zamordować kogoś!”. Wyobraź sobie, co by mnie odpowiedział, gdybym mu zaproponowała moją grę! — śmiała się Pollyanna

— Mniejsza o to. Ta gra jemu właśnie była potrzebna — odparł Jimmy.

— Oczywiście, że tak, ale na pewno nie podziękowałby mi za nią.

— Przypuszczam, że nie. Jednakże z tą grą łatwiej byłoby żyć zarówno jemu samemu, jak i jego przyjaciółom.

Pollyanna uśmiechnęła się pobłażliwie.

— Przypomniam sobie teraz, co powiedziałam kiedyś pewnej biednej staruszce. Na-leżała ona do mojego Towarzystwa Dobroczynności i zawsze we wszystkim widziała coś złego. Miała wtedy najwyżej dziesięć lat i starałam się uczyć ją mojej gry. Pamiętam, że nie powiodło mi się w tym wypadku i prawdopodobnie zorientowałam się w tym wreszcie, bo raz powiedziałam jej z triumfem: „W każdym razie powinna się pani cieszyć, że ma pani tyle rzeczy smutnych, bo przecież pani lubi być smutna!”

— Nie wiem, czy jej to dobrze zrobiło — wzruszył ramionami Jimmy.

Pollyanna uniosła brwi ku górze.

— Obawiam się, że mniej więcej tak samo patrzyła na życie, jak ów jegomość w Niemczech.

— Ale trzeba im było powiedzieć, ty powinnaś im była powiedzieć... — Pendleton urwał nagle z dziwnym wyrazem twarzy, który nie uszedł uwadze Pollyanny.

— Co się stało, Jimmy?

— Ach, nic. Myślałem tylko — odpowiedział, gryząc wargi — że ja tu teraz namawiam cię do tego, czego się najbardziej lękałem, nim się spotkaliśmy. To znaczy, lękałem się, nim cię zobaczyłem, że... że... — znowu zamilkł z rumieńcem na twarzy.

— Dobrze, Jimmy Pendleton — oburzyła się dziewczyna — nie myśl, że ci pozwolę teraz milczeć. Musisz mi wytłumaczyć, co miałeś na myśli.

— Nic, naprawdę nic ważnego.

— Czekam, mów — rozkazała Pollyanna. Głos jej był zimny i oficjalny, chociaż w oczach drgały figlarne iskierki.

Młodzieniec zawahał się, spojrzawszy jednak na jej uśmiechniętą twarzyczkę, skapitulował²³.

— Ach, dobrze, niech będzie tak, jak sobie życzysz — wzruszył ramionami. — Idzie tylko o to, że martwiłem się trochę o tę grę, bo lękałem się, że będziesz mówiła tak, jak zwykłaś mówić dawniej... — przerwał mu jej głośny wybuch śmiechu.

— A widzisz, ci co powiedziałam? Okazuje się, że nawet ty się martwiłeś, że mając lat dwadzieścia będę taka sama, jak wówczas gdy miałam lat dziesięć!

— Nie, nie o to mi chodziło, Pollyanno, naprawdę, myślałem tylko, oczywiście wiedziałem...

Pollyanna jednak zatkała palcami uszy i wybuchnęła jeszcze głośniejszym i weselszym śmiechem.

ROZDZIAŁ XIX. DWA LISTY

Była druga połowa czerwca, gdy Pollyanna otrzymała list od Delli Wetherby.

„Piszę, aby cię prosić o przysługę — zawiadamiała ją panna Wetherby.

— Mam nadzieję, że będziesz mi mogła polecić jakiś spokojny prywatny dom w Beldingsville, który by przyjął do siebie na lato moją siostrę. Właściwie będzie ich troje: moja siostra, jej sekretarka i przybrany syn, Jamie. Pamiętasz Jamiego, nieprawdaż? Za żadne skarby nie chcą jechać do zwykłego hotelu czy pensjonatu. Siostra moja jest bardzo zmęczona i doktor zalecił jej wyjazd na wieś dla zupełnego wypoczynku i zmiany wrażeń. Zaproponował Vermont albo New Hampshire. Od razu pomysleliśmy o Beldingsville i o tobie. Jeżeli to możliwe, chcielibyśmy wyjechać już w pierwszych dniach lipca. Może zechcesz nas zawiadomić, jeśli tylko znajdziesz coś odpowiedniego. List wyślij na mój adres, gdyż moja siostra przebywa u nas w lecznicy na kilkutygodniowej kuracji.

Oczekuję pomyślnej odpowiedzi,
zawsze życzliwa

Della Wetherby”.

Przez pierwszych kilka minut po otrzymaniu listu Pollyanna siedziała ze zmarszczonymi brwiami, szukając w pamięci jakiegoś domu w Beldingsville, który mógłby zastąpić przyzwoity pensjonat jej dawnym przyjaciółom. Potem nagle olśniła ją jakaś myśl i z krzykiem radości pobiegła do ciotki, siedzącej w jadalni.

— Ciociu, ciociu! — wołała. — Wpadłam na najcudowniejszy pomysł. Mówiłam ci, że zdarzy się coś takiego, dzięki czemu będę mogła rozwinąć swój ukryty talent. I zdarzyło się! Miałam słuszność. Otrzymałam list od panny Wetherby, siostry pani Carew, wiesz tej, u której byłam wtedy zimą w Bostonie. Otóż oni pragną przyjechać na wieś na resztę lata i panna Wetherby prosi, żebym się dowiedziała o lokum dla nich. Nie chcą mieszkać ani w hotelu, ani w żadnym pensjonacie, tylko w przyzwoitym domu prywatnym. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co mam zrobić, ale teraz już wiem. Już wiem, ciocia Polly! Zgadnij, co zamierzam!

— Boże święty, dziecko — jęknęła pani Chilton — jakaś ty nieopanowana! Nigdy chyba nie staniesz się dojrzałą kobietą. O czym ty właściwie mówisz?

— O mieszkaniu dla pani Carew i Jamiego. Już je właśnie znalazłam — szczebiotała Pollyanna.

— Nprawdę? Więc cóż z tego? Co to mnie może obchodzić, moje dziecko? — mruknęła niechętnie opiekunka.

²³skapitulować — poddać się; zaprzestać walki. [przypis edytorski]

— Bo to mieszkanie jest właśnie tutaj. Mam zamiar wziąć ich do siebie, ciociu.

— Pollyanno! — Pani Chilton podskoczyła na krześle ze zgorzienia²⁴.

— Tylko proszę cię, ciociu, nie mów „nie”, bardzo cię proszę — szeptała gorączkowo Pollyanna. — Czyż nie pojmujesz? To jest jedyna okazja. Okazja, na którą tak długo czekałam, a teraz sama mi wpadła w ręce. Urządzimy to cudownie. Mamy mnóstwo miejsca w domu, a wiesz, że gotować i prowadzić dom potrafię. Będziemy miały za to pieniądze, bo oni przecież zapłacą, a jestem pewna, że przyjadą z największą ochotą. Będzie ich troje, bo jest z nimi sekretarka.

— Ależ Pollyanno, ja nie mogę! Zamienić ten dom na pensjonat? Dwór Harringtonów ma być zwykłym pensjonatem dla letników? Nie, Pollyanno, to niemożliwe!

— Ależ to nie będzie taki zwykły pensjonat, droga ciociu. Tylko taki czasowy. Zresztą oni są naszymi przyjaciółmi. Niech nam się zdaje, że przyjechali do nas w gościnę. Tylko że to będą płatni goście, więc jednocześnie zarobimy pieniądze, które nam są tak bardzo potrzebne — Pollyanna podkreśliła wymownie ostatnie słowo.

Skurcz zranionej dumy przemknął po twarzy pani Chilton. Z głębokim westchnieniem opadła z powrotem na fotel.

— Ale jak ty to zrobisz? — zapytała wreszcie słabym głosem. — Przecież sama nie możesz wykonywać takiej pracy, dziecko?

— Ach, nie, oczywiście, że nie — uśmiechnęła się Pollyanna. Stała znowu na mocnym gruncie i była pewna wygranej. — Ale mogę gotować i doglądać wszystkiego, a którąś z młodszych sióstr Nancy mogłabym wziąć do pomocy. Stara pani Durgin będzie tak samo prała, jak dotychczas.

— Ale, Pollyanno, ja jestem słaba, wiesz o tym. Niewiele ci pomogę.

— Naturalnie, że nie. Nie ma powodu, żebyś ty, ciociu, pracowała — oburzyła się Pollyanna. — Ach, czy to nie będzie wspaniałe? Zbyt dobre, aby mogło być prawdziwe, pieniądze po prostu same wpadają mi w ręce!

— Wpadają ci w ręce, rzeczywiście! Musisz się jeszcze wielu rzeczy nauczyć w życiu, Pollyanno, a najważniejszą z nich jest ta, że letnicy nie rzucają w niczyje ręce pieniądze, nie otrzymując uprzednio nic w zamian. Będziesz musiała przygotowywać, dźwigać, piec i smażyć do upadłego i będziesz po prostu omdlewała, aby tylko gości odpowiednio obsłużyć, aby im dostarczyć świeżych jajek i mleka i wtedy dopiero uwierzysz w to, co ci teraz mówię.

— Dobrze, będę pamiętała — zaśmiała się dziewczyna. — Ale teraz nie mam powodu, żeby się martwić. Muszę natychmiast odpisać pannie Wetherby, żeby dać list Jimmy’emu Beanowi, gdy przyjdzie po południu.

Pani Chilton poruszyła się niespokojnie.

— Pollyanno, chciałabym, żebyś wreszcie nazywała tego młodego człowieka jego prawdziwym nazwiskiem. To „Bean” przyprawia mnie kompletnie o dreszcze. Jego obecne nazwisko brzmi „Pendleton”, o ile się nie mylę.

— Istotnie — przyznała Pollyanna — ale ja ciągle zapominam. Nawet wówczas, gdy tu jest, nazywam go tak samo, a to jest istotnie niesprawiedliwe, skoro został całkiem legalnie zaadoptowany. Ale ja jestem roztrzępana — dorzuciła, wybiegając tanecznym krokiem z pokoju.

Miała list już gotowy, gdy Jimmy zjawił się o czwartej. Drżała jeszcze z podniecenia, toteż zaraz na wstępie zaczęła opowiadać gościowi o wszystkim.

— Zresztą nie mogę się już doczekać tej chwili, kiedy ich zobaczę — zawołała, gdy przedłożyła mu swoje plany. — Nikogo z nich nie widziałam od tamtej zimy. Ty wiesz, mówiłam ci o Jamiem?

— O, tak, mówiłaś. — W głosie młodzieńca brzmiała niechęć.

— I powiedz, czy nie wspaniałe, że przyjeżdżają?

— Nie wiem, czy dla mnie to jest takie wspaniałe — mruknął.

— Nie cieszysz się, że mam okazję, aby pomagać ciotce Polly chociaż przez pewien czas? Naprawdę, Jimmy, to jest nadzwyczajne!

— Ale mnie się zdaje, że to będzie trochę za trudne dla ciebie — argumentował Jimmy z cieniem lekkiej irytacji.

²⁴zgorzienie — tu: oburzenie, zgroza. [przypis edytorski]

— Tak, oczywiście, do pewnego stopnia. Ale będę tak zadowolona z tych pieniędzy, że wcale nie myślę o tym. Widzisz — westchnęła — jaka ja jestem materialistka?

Przez dłuższą chwilę nie było odpowiedzi, po czym młodzieniec trochę obcesowo zapytał:

— Powiedz, ile lat ma teraz ten Jamie?

Pollyanna podniosła głowę z wesołym uśmiechem.

— Ach, przypominam sobie, że nigdy nie lubiłeś imienia „Jamie” — spojrzała nań figlarnie. — Mniejsza o to, teraz jest on zaadoptowany legalnie i przypuszczam, że używa nazwiska Carew, więc będziesz go mógł tak nazywać.

— Ale to mi jeszcze nie mówi, ile on ma lat — przypomniał jej Jimmy zimno.

— Przypuszczam, że nikt nie wie dokładnie. Bo widzisz, on sam nie umie powiedzieć, lecz sądzę, że jest mniej więcej w twoim wieku. Ciekawa jestem, jak on teraz wygląda. Pytałam właśnie o to wszystko w liście.

— Ach, pytałaś! — Pendleton spojrzał na list, który trzymał w ręku i począł go obracać w palcach podejrzliwie. Przeszło mu teraz przez myśl, że chętnie by go podarł, wyrzucił, byleby tylko nie wysłać go do miejsca przeznaczenia.

Zdawał sobie dokładnie sprawę, że jest zazdrosny, że zawsze był zazdrosny o tego młodzieńca, noszącego to samo, co on, a jednak całkiem inne imię. „To nie znaczy, że jestem zakochany w Pollyannie” — tłumaczył samemu sobie. Oczywiście, że zakochany nie był, po prostu nie miał ochoty, żeby ten obcy chłopak o babskim imieniu przyjeżdżał do Beldingsville, bo był pewien, że mu swą obecnością zepsuje humor. Miał tyle do powiedzenia Pollyannie, ale jakaś dziwna siła mroziła mu słowa na ustach. Po pewnym czasie wyszedł, zabierając ze sobą ów nieszczęsny list.

Że Jimmy nie zniszczył i nie podarł listu, okazało się już po kilku dniach, gdy Pollyanna otrzymała pełną radości odpowiedź od panny Wetherby i gdy Jimmy przyszedł następnym razem, musiał treści tego listu wysłuchać, a właściwie tylko niewielkiej jego części, bowiem Pollyanna poprzedziła czytanie słowami:

— Oczywiście pierwsza część listu jest tylko o tym, jak bardzo cieszą się, że mogą do nas przyjechać i tak dalej. Tego nie będę ci czytać. Ale dalszy ciąg z pewnością cię zainteresuje, bo znasz przecież wszystkich z mojego opowiadania. Zresztą już wkrótce poznasz ich osobiście. W tym wypadku bardzo liczę na ciebie, Jimmy, że pomożesz mi czas spędzony tutaj gościom uprzyjemnić.

— Ach, nawet liczysz na mnie!

— Nie bądź złośliwy tylko z tej przyczyny, że nie lubisz imienia Jamie — zgromiła go Pollyanna z udaną powagą. — Polubisz go, jestem pewna, jak go bliżej poznasz, a panią Carew pokochasz z pewnością.

— Tak sądzisz? — mruknął Jimmy gniewnie. — Nie byle jaka perspektywa! Miejmy nadzieję, że jeżeli nawet tak będzie, dama ta wspaniałomyślnie potrafi mi się odwzajemnić.

— Oczywiście — uśmiechnęła się Pollyanna. — A teraz posłuchaj, to ci przeczytam o niej. List ten jest od jej siostry, Delli, panny Wetherby, wiesz, od tej z lecznicy.

— Doskonale. Czytaj! — rozkazał Jimmy, z prostej grzeczności udając zainteresowanie.

Ciągle jeszcze się uśmiechając, Pollyanna zaczęła czytać:

„Proszę mnie, abym Ci napisała o wszystkich. Trudne to będzie zadanie, lecz uczynię to możliwie najrzęcznie. Przede wszystkim zauważysz wielką zmianę w mojej siostrze. Nowe zainteresowanie, jakie znalazła sześć lat temu, sprawiło kompletny cud. Ostatnio wprawdzie zeszczupiała i jest zmęczona z przepracowania, lecz dłuższy wypoczynek doskonale jej zrobi, a sama przekonasz się, jak młodo i ślicznie wygląda. Poza tym czuje się szczęśliwa. Zanotuj to sobie. Nie będzie to oczywiście takie dziwne dla ciebie, jak jest dla mnie, bo byłaś zbyt młoda podczas pobytu swego w Bostonie, aby zorientować się, jak bardzo wówczas czuła się nieszczęśliwa. Życie było dla niej beznadziejną tragedią, teraz zaś jest jednym pasmem radości i zainteresowania.

Przede wszystkim ma Jamiego i gdy ich zobaczysz razem, zdasz sobie sprawę, czym on jest dla niej. W zasadzie nie wiemy jeszcze absolutnie, czy

jest on tym prawdziwym Jamiem, czy też nie, lecz siostra moja kocha go jak własnego syna i zaadoptowała go, co Ci jest prawdopodobnie wiadome.

Poza tym ma przecież swoje dziewczęta. Przypominasz sobie sklepową, Sadie Dean? Wiedziona pragnieniem dopomożenia jej, siostra moja czyniła wszelkie możliwe wysiłki, gromadząc przy sobie kilkadziesiąt dziewcząt, dla których jest prawdziwym aniołem opiekuńczym. Stworzyła nawet Dom dla Pracujących Dziewcząt według najnowocześniejszych wymagań techniki. Szczępłe grono bogatych i wpływowych ludzi współpracuje z nią oczywiście, lecz ona jest główną osią tego wszystkiego i nigdy ani na chwilę nie waha się, jeżeli nawet zmuszona jest do jakichkolwiek poświęceń. Pojmujesz chyba, ile na to potrzeba nerwów. Jej główną pomocnicą i prawą ręką jest jej obecna sekretarka, ta sama Sadie Dean. I w niej zauważysz wielkie zmiany, choć w gruncie rzeczy pozostała tą dawną Sadie.

Co do Jamiego, to największą tragedią jego życia jest to, że zdaje sobie doskonale sprawę, iż nigdy nie będzie mógł normalnie chodzić. Przez pewien czas mieliśmy wszyscy nadzieję. Przebywał nawet cały rok tutaj w lecznicy pod obserwacją doktora Ames, który próbował wszelkich sposobów i wreszcie nauczył go chodzić o kulach. Ale biedny chłopak na zawsze zostanie kaleką, bo obydwie nogi są poważnie zaatakowane. Jednakże gdy się zna Jamiego bliżej, zapomina się zupełnie o jego kalectwie, ulegając urokowi jego bogatej duszy. Nie umiem Ci tego dokładnie wytłumaczyć, ale sama zrozumiesz, co mam na myśli, gdy go zobaczysz. Poza tym rozwinął się nadzwyczajnie, zachowując swój chłopięcy entuzjazm i swoją dawną radość życia. Istnieje tylko jedna rzecz, która go dręczy i doprowadza często do rozpacz, a mianowicie niepewność, czy jest owym Jamiem Kentem, naszym siostrzeńcem. Tak długo marzył o tym i tak święcie w to wierzył, że jeżeli nawet okaże się kiedyś, że nie jest naszym Jamiem, postaramy się, aby się o tym nie dowiedział”.

— To jest wszystko, co mi panna Della pisze o nich — oświadczyła Pollyanna, składając troskliwie gęsto zapisany arkusik papieru. — Ale czyż to nie jest ciekawe?

— Owszem, bardzo! — w głosie Jimmy brzmiała teraz szczerść, bo zdał sobie sprawę, jak wielki skarb posiadał, mając zdrowe nogi. Przez chwilę nawet zapragnął, aby ten biedny, nieznan, chory młodzieniec zaabsorbował choć częściowo myśli i uwagę Pollyanny, byleby oczywiście nie pochłonął jej za bardzo! — Mój Boże! Ciężko musi być temu biedakowi, nie ulega wątpliwości.

— Ciężko! Ty go jeszcze nie znasz, Jimmy Banie — wyszeptła Pollyanna — ale ja go znam dobrze i dobrze go rozumiem, bo przecież i ja kiedyś nie chodziłam, wiesz o tym!

— Tak, naturalnie, naturalnie — sposepniał młodzieniec, poprawiając się niespokojnie na krześle.

Patrząc teraz na zasmuconą twarzyczkę i przygasłe oczy Pollyanny, Jimmy nie był już taki pewny, czy powinien chcieć, żeby Jamie przyjechał do Beldingsville, jeżeli Pollyanna miała podczas jego pobytu stale tak wyglądać.

ROZDZIAŁ XX. GOŚCIE

Kilka następnych dni, poprzedzających przybycie „tych strasznych ludzi”, jak ciotka Polly nazywała gości swej siostrzenicy, obfitowało w nieludzką pracę, lecz jednocześnie były one pełne radosnego oczekiwania, tak przynajmniej twierdziła Pollyanna.

Przy pomocy Nancy i jej młodszej siostry, Betty, Pollyanna systematycznie chodziła z pokoju do pokoju, przygotowując wszystko dla wygody i przyjemności mających wkrótce przybyć pensjonariuszy. Pani Chilton nie brała w tych przygotowaniach prawie wcale udziału. Po pierwsze czuła się niezbyt dobrze, a po drugie nie pochwałała tego „szaleńczego pomysłu” Pollyanny, który wyraźnie godził w godność i dumę dawnych tradycji rodziny Harringtonów. Za każdym razem, widząc przebiegającą przez pokój Pollyannę, pani Chilton, zgorszona jęczała:

— Ach, Pollyanno, Pollyanno, i pomyśleć, że stare domostwo Harringtonów aż tak na psy zeszło!

— Nic straszego, ciociu — uśmiechała się Pollyanna. — Przecież to Carewowie przyjeżdżają do domu Harringtonów!

Lecz panią Chilton nie tak łatwo było przekonać. Wzdychała tylko jeszcze głośniejsze i ocierała łzy, toteż Pollyanna postanowiła nie perswadować²⁵ jej nic dłużej, lecz wrócić do przerwanej roboty, pozostawiając ciotkę własnemu losowi.

Oznaczonego dnia Pollyanna z Tymoteuszem (który był teraz właścicielem koni Harringtonów) pojechała na stację na popołudniowy pociąg. Do tej chwili serce jej przepojone było najzupełniejszą równowagą i szczerą radością, lecz wraz z głośnym gwizdem lokomotywy doznała uczucia nagłego zwątpienia, onieśmienia i bojaźni. Uświadomiła sobie nagle, że przecież ona, Pollyanna, tak zupełnie sama nie da sobie z tym wszystkim rady. Przypomniała sobie bogactwo pani Carew, jej stanowisko społeczne i kapryśne usposobienie. Uświadomiła sobie również, że za chwilę ujrzy przed sobą nowego, wysokiego, dorosłego Jamiego, zupełnie niepodobnego do tamtego chłopca, którego kiedyś знаła.

Przez jeden krótki moment myślała tylko o tym, żeby się z tego wszystkiego wycofać, dokądś jak najprędzej uciec.

— Tymoteuszu, mnie jest niedobrze. Źle się czuję. Powiem im, żeby... żeby nie przyjeżdżali — wyszeptwała, jakby szykując się do ucieczki.

— Panienko! — zawołał przerażony Tymoteusz.

Jedno spojrzenie na załękniętą twarz Tymoteusza wystarczyło. Pollyanna zaśmiała się, wzruszając swobodnie ramionami.

— Nic. Już wszystko w porządku! Ja oczywiście tylko żartowałam, Tymoteuszu. Zobaczcie, prędko! Już są prawie tutaj — niecierpliwiła się i pobiegła w stronę peronu, już zupełnie opanowana.

Poznała ich od razu. Jeżeli nawet miała przez chwilę jakieś wątpliwości, to upewniły ją natychmiast kule, na których opierał się wysoki, ciemnooki młodzieniec.

Nastąpiła krótka chwila gorączkowych uścisków dłoni, niezrozumiałych okrzyków, po czym w niewytłumaczony sposób Pollyanna znalazła się w powozie przy boku pani Carew, mając naprzeciw Jamiego i Sadie Dean. Teraz dopiero nadarzyła się okazja dokładnego przyjrzenia się przyjaciółom i dostrzeżenia tych wszystkich zmian, jakie w ciągu sześciu lat zaszły.

W stosunku do pani Carew Pollyanna od razu doznała uczucia przyjemnego zdziwienia. Zapomniała zupełnie, że pani Carew jest taka miła. Zapomniała również, że dawna jej opiekunka ma takie długie rzęsy, które zupełnie prawie osłaniają jej wspaniałe, wyraziste oczy.

Następnie przeniosła wzrok na Jamiego. Tutaj znowu ogarnęło ją zdziwienie i to z tej samej przyczyny. Jamie także stał się bardzo przystojnym młodzieńcem. Pollyanna skonstatowała w duchu, że wyglądał naprawdę imponująco. Jego ciemne oczy, blada twarz i ciemne, wijące się włosy tworzyły całość nader interesującą. W pewnej chwili spojrzała na oparte z boku kule i spazm bolesnego współczucia ścisnęła je za gardło.

Wreszcie spojrzała na Sadie Dean. Sadie, jeżeli chodziło o wygląd, wyglądała tak samo jak wówczas, kiedy ją Pollyanna po raz pierwszy ujrzała w publicznym parku. Łatwo się jednak było zorientować, że te włosy, ta suknia, zachowanie i sposób mówienia, wszystko należało teraz do całkiem innej Sadie.

W pewnej chwili Jamie przemówił.

— Jak ładnie z twojej strony, że nam pozwoliłaś przyjechać — zwrócił się do Pollyanny. — Czy wiesz, co mi przyszło na myśl, gdy napisałaś żebyśmy przyjechali?

— Jak to, nie, oczywiście, że nie — wybąkała Pollyanna. Jeszcze ciągle widziała kule przy boku Jamiego i jeszcze ciągle w gardle dławilo ją to bolesne współczucie.

— Otóż przyszła mi na myśl ta mała dziewczynka z publicznego parku, niosąca torebkę orzechów dla Sir Lancelota i Lady Guinevere i przekonałem się, że dopiero wówczas czułaś się szczęśliwa, jeżeli każdą własnością mogłaś się podzielić z tymi, którzy nic nie mieli.

— Tak, torebką orzechów! — zaśmiała się Pollyanna.

²⁵perswadować coś komuś — przekonywać kogoś do czegoś. [przypis edytorski]

— W tym wypadku twoja torebka orzechów okazała się tym samym, co wygodne mieszkanie na świeżym powietrzu, mleko prosto od krowy i świeże jajka od kur — odpowiedział Jamie, kiwając głową — lecz znaczenie jest zawsze takie samo. Może lepiej będzie, jak cię ostrzeżę — pamiętasz, jaki był zachłanny Sir Lancelot?... — umilkł wymownie.

— Doskonale, zaryzykuję — uśmiechnęła się Pollyanna i przyszło jej na myśl, jak dobrze się stało, że ciotka Polly nie słyszy tej całej rozmowy. — Biedny Sir Lancelot! Ciekawa jestem, czy teraz ktoś go jeszcze karmi i czy w ogóle on sam przebywa jeszcze w parku.

— Jeżeli jest, to na pewno nie cierpi głodu — wtrąciła pani Carew wesoło. — Ten nieopanowany chłopak jeszcze do dzisiaj chodzi tam chociaż raz w tygodniu z kieszeniami wypchanymi orzechami i innymi smakołykami dla ptaków i wiewiórek. Ulubieńcy ci za każdym razem żegnają go z wielkim żalem, a ja muszę niejednokrotnie czekać na niego ze śniadaniem i dopiero od pokojówki dowiaduję się, że „panicz Jamie karmi teraz gołębie, proszę pani!”

— Tak, ale pozwól sobie powiedzieć... — zawołał Jamie entuzjastycznie i w następnej chwili Pollyanna słuchała już fascynującej opowieści o dwóch wiewiórkach igrających w słonecznym blasku ogrodu. Później dopiero zrozumiała, znaczenie słów Delli Wetherby, bo gdy przyjechali do domu, doznała przykrego uczucia, widząc Jamiego, wysiadającego z trudem z powozu, wspierającego się na kulach. Uświadomiła sobie, że w owej chwili, kiedy tak ciekawie snuł swoją opowieść, zapomniała zupełnie o jego przykrym kalectwie.

Ku wielkiej radości Pollyanny pierwsze powitanie ciotki Polly z Carewami, którego tak bardzo się lękała, przebiegło zupełnie gładko, wbrew jej dotychczasowym przypuszczeniom. Goście byli tak szczerze zachwyceni starym domem i wszystkim, co wewnątrz ujrzeli, że bytoby niemożliwością, aby właścicielka i pani tego domu mogła niechętnie i sztywno ich przyjąć. Poza tym już po godzinie nawet ciotka Polly uległa urokowi Jamiego, toteż Pollyanna pozbyła się chociaż największego swego zmartwienia, konstatuując, że ciotka Polly wspaniale weszła w swą rolę gościnniej gospodyni, podejmującej najmilej widzianych gości.

Mimo ulgi, jaką odczuła, widząc zmianę w zachowaniu ciotki Polly, Pollyanna jednak zdawała sobie sprawę, że jej własne zadanie nie będzie takie łatwe. Roboty miała mnóstwo, a wszystko przecież musiało być punktualnie na czas zrobione. Siostra Nancy, Betty, była bardzo miła i chętna, ale nie była to jednak Nancy, jak Pollyanna się wkrótce przekonała. Należało nią kierować, co zajmowało dość dużo czasu. Nic więc dziwnego, że Pollyanna ustawicznie martwiła się o to, aby wszystko było w porządku. W owym okresie zakurzone krzesło czy niezbyt wypieczony placek stanowiły dla Pollyanny kompletną tragedię.

Stopniowo jednakże, po wysłuchaniu licznych argumentów i prośb ze strony pani Carew i Jamiego, Pollyanna nauczyła się traktować pracę z mniejszym przejęciem, uświadamiając sobie, że tragedią w oczach przyjaciół nie jest zakurzone krzesło i niewypieczony placek, lecz niepokój i troska odzwierciedlające się na jej twarzy.

— Wystarczy, że pozwoliłaś nam tu przyjechać — tłumaczył jej Jamie, a teraz sama zamęczasz się, żebyśmy tylko mieli co jeść.

— Zresztą my i tak tyle jeść nie możemy — śmiała się pani Carew — bo gotowi jesteśmy dostać niestrawności, jak zawsze to powtarza jedna z moich dziewcząt w przytulku.

Zadziwiające było mimo wszystko, z jaką łatwością przybysze przywykli do warunków codziennego życia, panującego w domu ciotki Polly. Po upływie zaledwie dwudziestu czterech godzin pani Carew sprowokowała panią Chilton do zadawania całego mnóstwa pytań na temat Domu dla Pracujących Dziewcząt, zaś Sadie Dean i Jamie klócili się ze sobą, pragnąc pomagać Pollyannie w łuskaniu grochu i ścinaniu kwiatów w ogrodzie.

Carewowie przebywali już w posiadłości Harringtonów prawie tydzień, gdy pewnego wieczoru przyszli z wizytą John Pendleton i Jimimy. Pollyanna miała nadzieję, że zjawią się wcześniej, o co prosiła ich usilnie jeszcze przed przybyciem Carewów. Teraz przedstawiała swych gości z widoczną dumą.

— Jesteście państwo tak bliskimi moimi przyjaciółmi, że bardzo pragnę, abyście i między sobą zawarli przyjaźń — wytłumaczyła z wdziękiem.

To, że Jimmy i pan Pendleton od pierwszej chwili oczarowani zostali pięknnością i urokiem pani Carew, nie było dla Pollyanny wcale niespodzianką, lecz dziwny błysk w oczach pani Carew na widok Jimmy'ego zadziwił Pollyannę niezmiernie. Pani Carew tak jakoś patrzyła na młodzieńca, jakby go znała kiedyś i jakby go sobie teraz przypomiwała.

— Czy nie widziałam już pana kiedyś, panie Pendleton? — zapytała w pewnej chwili.

Szczere spojrzenie Jimmy zatoneło na chwilę z prawdziwym zachwytem w wyrazistych oczach uroczej kobiety.

— Myślę, że nie — uśmiechnął się do niej. — Jestem pewien, żeśmy się nigdy dotąd nie spotkali. Pamiętałbym na pewno, gdybym panią choć raz jeden w życiu widział — skłonił się.

Wypowiedział to z takim przejęciem, że wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem, a John Pendleton zażartował.

— Ślicznie potrafisz kokietować niewiasty, mój synu. Nawet ja bym tak nie umiał.

Pani Carew zarumieniła się lekko, przyłączając się do ogólnej wesołości.

— Nie, naprawdę — zawołała. — Żarty na bok, dziwnie znajoma wydała mi się pańska twarz. Przypuszczam, że musiałam pana jednak gdzieś widzieć, jeżeli już nawet nie znaleźmy się osobiście.

— Możliwe, że to było w Bostonie — podchwyciła Pollyanna — bo Jimmy studiuje tam na politechnice. Ma zamiar kiedyś budować mosty i tamy, to znaczy wówczas, jak już będzie zupełnie dorosły — zakończyła żartobliwie, podnosząc roześmiane oczy na wysokiego młodzieńca, stojącego jeszcze ciągle przed panią Carew.

Wszyscy się znowu roześmieli — wszyscy, oprócz Jamiego. Jedynie Sadie Dean zauważyła, że Jamie zamiast śmiać się, przymknął oczy, jakby nie chcąc patrzeć na coś, co sprawiło mu przykrość. Również tylko Sadie Dean zorientowała się, że temat rozmowy nagle został zmieniony, bo przecież to ona właśnie postarała się o to. Sadie była także tą osobą, która dokładała wszelkich starań, aby jak najczęściej rozmawiano o książkach, kwiatach, zwierzętach i ptakach, które Jamie tak dobrze znał i rozumiał, zamiast o tamach i mostach, których Jamie i tak nigdy nie będzie mógł budować. Że to wszystko było zasługą Sadie, nikt się jednak nie orientował, a najmniej zdawał sobie z tego sprawę Jamie, choć o niego to właśnie chodziło.

Po wyjścia Pendletonów pani Carew wróciła znowu do tematu, że musiała jednak już kiedyś widzieć młodego Pendletona.

— Jestem pewna, jestem pewna, że go gdzieś widziałam — szeptała w zamyśleniu. — Możliwe, że to było w Bostonie, ale... — nie dokończyła rozpoczętego zdania, dorzucając po chwili: — Bardzo sympatyczny młodzieniec, ogromnie mi się podoba.

— Jakże się cieszę! Ja go także bardzo lubię — skinęła głową Pollyanna. — Zawsze zresztą lubiłam Jimmy'ego.

— Więc znasz go już od dawna? — zdziwił się Jamie, patrząc na nią z dziwną niechęcią.

— O, tak. Znałam go jeszcze wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką. Nazywał się wówczas Jimmy Bean.

— Jimmy Bean? Jak to, więc on nie jest synem pana Pendletona? — zapytała z ciekawością pani Carew.

— Nie, został tylko adoptowany.

— Adoptowany? — zawołał Jamie. — A zatem nie jest rodzonym synem tak samo, jak ja. — Nuta radości zabrzmiała w tej chwili w jego głosie.

— Nie. Pan Pendleton nie ma dzieci. Nigdy nie był żonaty. Miał... miał się zamiar kiedyś ożenić, ale... ale nic z tego nie wyszło. — Pollyanna wypowiedziała ostatnie słowa, rumieniąc się niespodzianie. Pamiętała zawsze, że to właśnie jej matka nie przyjęła oświadczenia Johna Pendletona, więc też na nią, choć matka już dawno nie żyła, spadała przykra odpowiedzialność za jego dotychczasowe starokawalerstwo.

Jednakże pani Carew i Jamie, nie wiedząc o tym, dostrzegli teraz tylko krwawy rumieniec na twarzy Pollyanny i nagłą zmianę jej zachowania, z czego wyciągnęli odpowiednie wnioski.

— Czyż to możliwe — zapytywali samych siebie — żeby ten jegomość, ten John Pendleton miał jakieś zamiary w stosunku do takiego dziecka, jak Pollyanna?

Oczywiście głośno o tym nie mówili, rozumiałe więc, że na pytanie swe nie mogli otrzymać odpowiedzi. Zrozumiałe również, że ta niewypowiedziana myśl nurtowała ich długo i odrodziła się na powrót, gdy nadeszła odpowiednia chwila.

ROZDZIAŁ XXI. POGODNE DNI LATA

Przed przybyciem Carewów Pollyanna zaznaczyła Jimmy'emu, że liczy na jego pomoc przy podejmowaniu gości. W owym czasie Jimmy nie wyraził zbytnej gotowości przysłużenia się jej pod tym względem, lecz już po dwutygodniowym pobycie Carewów w domu pani Chilton, zupełnie zmienił zdanie na ten temat, dając tego dowód składaniem częstych wizyt oraz stałymi zaproszeniami gości na przejażdżki powozem lub samochodem.

Między nim i panią Carew zadzierzgnęła się od razu gorąca przyjaźń, która zdawała się fascynować obydwie strony. Dużo spacerowali i rozmawiali z sobą, snując nawet różnorodne plany na temat Domu dla Pracujących Dziewcząt, które pragnęły zrealizować podczas następnej zimy, kiedy Jimmy będzie znowu w Bostonie. Na osobę Jamiego zwracano również troskliwą uwagę, nie zapominając także o Sadie Dean. Sadie, jak często zaznaczała pani Carew, uważana już była za członka rodziny i pani Carew dbała ustawicznie o to, aby dziewczyna na urlopie nie nudziła się.

Nie tylko jednak Jimmy wysuwał stale propozycje coraz to nowych rozrywek. Obecnie również często odwiedzał towarzystwo John Pendleton. Urządzano przejażdżki, wycieczki i pikniki, a długie, przyjemne popołudnia częstokroć spędzano na czytaniu rozmaitych książek na werandzie domostwa Harringtonów.

Pollyanna była zachwycona, bo nie tylko przecież przybyli z miasta goście nie nudzili się, lecz również najbliżsi jej przyjaciele, Pendletonowie, zaprzyjaźnili się tak szybko i serdecznie z Carewami.

Jednakże zarówno Carewowie, jak i Pendletonowie nie byli zadowoleni, gdy Pollyanna nie dotrzymywała im towarzystwa, toteż ustawicznie nalegali, aby jak najwięcej czasu spędzała z nimi. Nie pomagały żadne wymówki i preteksty, którymi Pollyanna usiłowała się tłumaczyć.

— Już zupełnie zaśnieźniałaś w tej kuchni przy pieczeniu ciasta! — narzekał pewnego dnia Jamie, zaglądając do niej. — Jest taki piękny ranek i zamierzamy wszyscy zabrać z sobą drugie śniadanie i wyruszyć do Gorge. Ty oczywiście musisz pójść z nami.

— Ależ, Jamie, ja nie mogę, naprawdę nie mogę — tłumaczyła się Pollyanna.

— Dlaczego nie? Nie potrzebujesz szykować dla nas obiadu, bo i tak nie będziemy jeść.

— Ale trzeba przygotować drugie śniadanie.

— Znowu kłopot. Zabieramy śniadanie z sobą, więc nie potrzebujesz z tej przyczyny zostawać w domu.

— Jednakże, Jamie, będę musiała. Trzeba jeszcze upiec ciasto.

— Nie chcę ciasta.

— Trzeba zetrzeć kurze...

— Nie będziesz dziś odkurzała.

— I trzeba pomyśleć o jedzeniu na dzień jutrzejszy.

— Dasz nam sucharki z mlekiem. Wolimy mleko z sucharkami i twoje towarzystwo niż pieczonego indyka bez ciebie.

— Ale nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, co mam jeszcze dzisiaj do roboty.

— Lepiej, żebyś nie mówiła — zawołał Jamie wesoło. — Wcale nie chcę tego słyszeć. Zakładaj prędko beret. Widziałem Betty w jadalni i obiecała, że sama nam przygotowuje drugie śniadanie. Tylko śpiesz się!

— Ależ, Jamie, ty niemożliwy chłopcze, ja nie mogę — śmiała się Pollyanna, opuszczając wolno zakasane rękawy. — Nie mogę wybrać się z wami na wycieczkę!

Wybrała się jednak. Wybrała się nie tylko wtedy, lecz także później kilkakrotnie. Musiała pójść, rada nie rada, bo miała przeciwko sobie nie tylko Jamiego, lecz również i Jimmy'ego, pana Pendletona, panią Carew, Sadie Dean i nawet samą ciotkę Polly.

— Bardzo się cieszę, że idę — wdychała radośnie, gdy nie pozwalano jej odkurzać mebli i piec świeżych ciasteczek. — Ale jestem pewna, że w żadnym pensjonacie nie ośmieliliby się raczyć gości mlekiem z sucharkami i zimnym mięsem. Poza tym żaden

pensjonat nie trzymałby takiej gospodyni, która zamiast pracować biega na wycieczki z gośćmi!

Szczytem wszystkiego było, gdy pewnego dnia John Pendleton zaproponował, aby całe towarzystwo wybrało się na dwutygodniową obozową wycieczkę nad jezioro oddalone o czterdzieści mil od Beldingsville.

Propozycja ta przyjęta została z entuzjazmem przez wszystkich, z wyjątkiem ciotki Polly, która zwierzyła się na osobności Pollyannie, że bardzo pięknie, iż John Pendleton w swoim wieku może się zdobyć na taki pomysł, ale z drugiej strony — nie ma najmniejszego sensu, żeby się nagle chciał przeistoczyć w dwudziestoletniego chłopca. Zdaniem ciotki Polly, John Pendleton po prostu się wygłupiał! W obecności wszystkich pani Chilton oświadczyła chłodno, że ona oczywiście nie pojedzie na żadną wycieczkę, bo nie ma zamiaru sypiać w namiocie i żywić się ślimakami i rybami, gdyż byłoby to całkiem niestosowne dla osoby, która już dawno przekroczyła czterdziestkę.

Jeżeli nawet Johna Pendletona słowa te dotknęły, nie dał absolutnie poznać tego po sobie. Entuzjazmował się tym planem razem z innymi i jednogłośnie zdecydowano, że aczkolwiek ciotka Polly nie weźmie udziału w wycieczce, to nie ma chyba żadnych podstaw, żeby całe towarzystwo musiało sobie odmówić tej przyjemności.

— Matkować nam będzie pani Carew — oświadczył swobodnie Jimmy.

Z tego więc względu przez cały tydzień nie mówiono o niczym innym, tylko o namiotach, zapasach żywności, aparatach fotograficznych, wędkach i czyniono gorączkowe przygotowania przed zamierzoną wycieczką.

— Musi to być prawdziwy obóz — radował się Jimmy gorączkowo — nawet z przewidzianymi przez panią Chilton ślimakami i rybami — dodał z wesołym uśmiechem, patrząc nieustraszenie prosto w surową i nachmurzoną twarz ciotki Polly. — Pożegnamy się z elegancką jadalnią! Będziemy piekli kartofle w popiele, będziemy opowiadali ciekawe historie przy ognisku i warzyli²⁶ kaszę w kociołku.

— Będziemy pływać, wiosłować i łowić ryby — podchwyciła Pollyanna. — I... — umilkła nagle, spojrzawszy na Jamiego. — To znaczy, oczywiście — poprawiła się śpiesznie — nie będziemy stale tego wszystkiego robili. Będziemy również czytać i rozmawiać.

Oczy Jamiego pociemniały, twarz mu pobladła, a usta zadrżały, lecz nim zdążył wy mówić słowo, uprzedziła go już Sadie Dean.

— Ach, na takich obozowych wycieczkach doświadcza się wielu rozmaitych przyjemności — wtrąciła wesoło. — Jestem pewna, że i my będziemy mieli ich mnóstwo. Zeszłego lata byliśmy w Maine i trzeba państwu było widzieć, ile pięknych ryb złowił pan Carew. Niech pan sam powie — zwróciła się prosząco do Jamiego.

Jamie zaśmiał się i potrząsnął głową.

— Oni i tak nie uwierzą — zaprotestował. — To zresztą długa historia!

— Opowiedz — zawołała Pollyanna.

Jamie znowu potrząsnął głową, lecz twarz jego nie była już blada i z oczu zniknął ten wyraz smutku i bólu. Spojrzawszy na Sadie Dean, Pollyanna ze zdziwieniem zastanawiała się, dlaczego Sadie poprawiła się na swym krześle, oddychając z taką ulgą.

Wreszcie nadszedł oznaczony dzień i wyruszono nowym turystycznym samochodem Johna Pendletona. Za kierownicą zasiadł Jimmy. Gwar rozmów, dźwięk syreny, głośnie pożegnanie i auto pomknęło, kierowane wprawną ręką młodego Pendletona.

W wiele lat później Pollyanna często wracała myślą do tego pierwszego wieczoru spędzonego w obozie. Wszystko to było dla niej wówczas zupełnie nowe i pełne uroku.

O godzinie czwartej stanęli u celu czterdziestomilowej podróży. W ciągu ostatniej pół godziny potężne auto z trudem posuwało się naprzód po wyboistej drodze, zupełnie nieprzystosowanej dla pojazdów mechanicznych. Dla samego auta, jak również dla kierowcy, ta ostatnia część drogi była wyjątkowo uciążliwa. Lecz dla reszty pasażerów, którzy nie brali na siebie odpowiedzialności za wszystkie wyboje i błotniste kałuże, droga ta była tylko weselszą częścią beztrudnej eskapady²⁷.

²⁶warzyć (daw.) — gotować. [przypis edytorski]

²⁷eskapada — wyprawa. [przypis edytorski]

Miejsce odpowiednie dla rozbicia obozu znane było Johnowi Pendletonowi z dawnych lat młodości, toteż widok tego miejsca powitał radośnie, oddychając z niezaprzeczną ulgą.

— Ach, jakże tu wspaniale! — zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Cieszę się, że się państwu podoba! Byłem pewny, że się nie rozczarujecie — skinął głową John Pendleton. — Lękałem się tylko, że przez tych kilka lat mogły tu zajść jakieś zmiany. Istotnie krzewy trochę podrosły, ale będzie nam tu bardzo wygodnie.

Wszyscy natychmiast zabrali się do pracy, do sprząwania niewielkiej polanki, rozstawiania dwóch małych namiotów, wyładowywania rzeczy z samochodu, rozpalania ogniska i urządzania „kuchni i spiżarni”.

I właśnie wówczas Pollyanna zwróciła szczególną uwagę na Jamiego, którym zaczęła się nagle niepokoić. Zorientowała się, że wyboje i sterczące z ziemi korzenie nie były tak wygodne do poruszania się o kulach, jak wyfroterowana posadzka. Jamie również najwidoczniej zdał sobie z tego sprawę, mimo to jednak za wszelką cenę pragnął brać czynny udział w przygotowawczej robocie i to właśnie najbardziej martwiło Pollyannę. Dwukrotnie podbiegła, aby mu pomóc przenieść dość ciężką skrzynkę z samochodu na polanę.

— Daj, ja to zaniosę — prosiła. — Już się na pewno zmęczyłeś — a za drugim razem dorzuciła: — Usiądź i odpocznij sobie, Jamie, wyglądasz na bardzo zmęczonego.

Gdyby przyjrzała mu się bliżej, dostrzegłaby rumieniec pojawiający się nieoczekiwanie na jego twarzy. Nie obserwowała go jednak tak dokładnie, toteż żadnej zmiany nie widziała. Natomiast nie uszło jej uwagi, że w chwilę potem Sadie Dean, obarczona rozmaitymi pudełkami i skrzyneczkami, przechodząc obok Jamiego, zawołała:

— Ach, panie Carew, może by mi pan pomógł!

W sekundę później Jamie znów na swych kulach dźwigał jakieś zapasy, idąc śpiesznie w stronę rozstawionych namiotów.

Z pełnym oburzenia protestem Pollyanna zwróciła się do Sadie Dean. Niewypowiedziane jednak słowa zamarły jej na ustach, gdy Sadie spojrzała na nią wymownie, dając jakiś znak porozumiewawczy.

— Wiem, że tego nie chciałaś — wyszeptła, zbliżając się do Pollyanny — ale czyż nie widzisz, że go to boli? Czyż nie rozumiesz, że przykro mu, gdy uświadamia sobie, że nie może nam być pomocny? Spójrz tylko, jaki teraz jest szczęśliwy i uśmiechnięty.

Pollyanna teraz zrozumiała. Widziała Jamiego, przejętego swoją misją, z trudem posuwającego się na kulach i dźwigającego z bohaterstwem ciężar, którym był obarczony. Widziała radosny błysk w jego oczach i słyszała, jak wesoło zwracał się do reszty towarzysztwa:

— Przysłała mnie tutaj panna Dean. Prosiła, żebym to przyniósł do namiotu.

— Tak, teraz rozumiem — westchnęła Pollyanna, zwracając się do Sadie Dean, ale Sadie już dawno od niej odeszła.

Niejednokrotnie później obserwowała Pollyanna Jamiego, lecz zawsze czyniła to tak ostrożnie, aby nikt jej spojrzeń nie zauważył. Obserwacje takie sprawiały jej dotkliwy ból. Kilkakrotnie dostrzegła, że podejmował się czegoś, co przekraczało jego siły. Raz chciał podnieść skrzynkę, której w żaden sposób nie mógł udźwignąć, raz znów chciał przesunąć połowy stół, co mu się nie udawało ze względu na kule. I za każdym razem, nie mogąc pokonać nadmiernej przeszkody, zerkał ukradkiem, czy ktoś aby nieudolności jego nie widzi. Zauważyła również, że coraz bardziej jest zmęczony, że twarz jego, mimo wesołego uśmiechu, była blada, znużona i szara.

— Powinniśmy byli to przewidzieć — strofowała samą siebie Pollyanna, czując w oczach piekące łzy. — Powinniśmy byli przewidzieć to i nie urządzać w ogóle tej wycieczki. Obóz, oczywiście, ale nie kiedy się chodzi o kulach! Że też nie pomyśleliśmy o tym przed wyruszeniem tutaj!

W godzinę później przy ognisku, po kolacji, Pollyanna zdołała wreszcie rozwiązać ten dręczący ją problem. Oto tonąc w blasku wesołych płomieni, wpatrzona w daleką ciemną przestrzeń lasu, porwana została znowu urokiem cudownych opowiadań Jamieem. I właśnie w owej chwili zapomniiała zupełnie, że Jamie chodzi o kulach.

ROZDZIAŁ XXII. TOWARZYSZE

Cała ich szóstka tworzyła wesołe i zgrane kółko. Zdawało się nie być końca coraz to nowym, wesołym przygodom, nie przestawali się radować tym prymitywnym trybem życia, jaki obecnie prowadzili.

Słusznie powiedział Jamie pewnego wieczora, gdy siedzieli wszyscy dokoła ogniska:

— Widzicie, że tutaj wśród lasu poznaliśmy się wzajemnie lepiej w ciągu jednego tygodnia niż w mieście w ciągu całego roku.

— To prawda, ale dlaczego? — wyszeptała pani Carew, wpatrzona sennym wzrokiem w skaczące płomienie.

— Sądzę, że coś takiego musi być w powietrzu — westchnęła uszczęśliwiona Pollyanna. — To coś płynie z nieba, z lasu i z jeziora i roztacza się dookoła nas.

— Bo jesteśmy tutaj jakby odcięci od świata — zawołała Sadie Dean dziwnie załamującym się głosem (Sadie nie przyjęła udziału w ogólnej wesołości, jaka nastąpiła po słowach Pollyanny). — Tutaj wszystko jest takie szczere i prawdziwe, że i my musimy być szczeri, bo nie ma między nami ani bogatych, ani biednych, tylko jesteśmy po prostu sobą.

— Ho! — zaśmiał się ironicznie Jimmy. — To wszystko brzmi bardzo pięknie, ale dzieje się to jedynie z tej przyczyny, że zdajemy sobie sprawę, iż nie jesteśmy narażeni na niczyją opinię, iż nikt nie kontroluje, co robimy, dokąd idziemy i czy zamierzamy tu długo zostać!

— Ach, Jimmy, ty wszystko potrafisz obedrzeć z poezji — śmiejąc się, uczyniła mu wymówkę Pollyanna.

— Taki już mój los — zapalił się Jimmy. — W jaki sposób budowałbym tamy i mosty, gdybym chciał być poetą?

— Zupełnie słusznie, Pendleton! Najważniejsza rzecz to most, który się buduje — wtrącił Jamie tak zmienionym głosem, że zwróciło to uwagę wszystkich siedzących przy ognisku. Panująca cisza trwała jednak tylko chwilę, bo nagle przerwała ją Sadie Dean wesoło:

— Hm, ja bym tam wolała wodospady i rzeki bez mostów, bo mosty stanowczo psują widok!

Wszyscy się roześmieli i przykra chwila minęła bezpowrotnie. Pani Carew podniosła się z ziemi.

— Chodźcie, chodźcie, dzieci, już najwyższa pora udać się na spoczynek! — W wesołym nastroju całe towarzystwo rozeszło się po namiotach.

I tak mijały dni za dniami. Dla Pollyanny były one pełne czaru, jak zresztą i dla reszty towarzystwa.

Z Sadie Dean gawędziła Pollyanna o nowym Domu dla Pracujących Dziewcząt, o owocnej pracy pani Carew. Mówiły również o dawnych czasach, kiedy to Sadie sprzedawała żaboty za kontuarem i o tym, ile dobrego uczyniła dla niej jej obecna opiekunka. Pollyanna nasłuchiwała się mnóstwo o starych rodzicach „tam w domu” i o tym, jak się Sadie radowała, że może im teraz nawet materialnie pomagać.

— A przecież w gruncie rzeczy wszystko to zawdzięczam tobie — powiedziała Sadie pewnego dnia do Pollyanny, ta jednak potrząsnęła energicznie głową, protestując:

— Głupstwa pleciesz! To wszystko zrobiła pani Carew.

Z panią Carew Pollyanna także rozmawiała o Domu i o najbliższych planach dotyczących mieszkających w nim dziewcząt. Tylko raz jeden na spacerze o zmroku pani Carew zaczęła mówić o sobie i o swym zmienionym ustosunkowaniu się do życia. W pewnej chwili i ona tak samo, jak Sadie Dean, zaznaczyła:

— Ale wszystko to zawdzięczam tylko tobie.

Pollyanna jednak nie przywiązywała do tego zbyt wielkiej wagi i zaczęła mówić o Jamie.

— Jamie jest kochany — zawołała pani Carew z czułością. — Kocham go jak własnego syna. Nie mógłby być droższy dla mnie, gdyby był nawet synem mojej siostry.

— Więc pani przypuszcza, że jednak nim nie jest?

— Nie mam pojęcia. Nigdy nie dowiedzieliśmy się nic konkretnego. Czasami jestem pewna, że to właśnie on, a później znowu zaczynam wątpić. Myślę, że on w to jednak

Szlachcic, Pozycja społeczna, Krew, Dziecko

wierzy! Jedno tylko jest pewne, że w żyłach jego płynie szlachetna krew. Jamie nie jest zwykłym dzieckiem ulicy i zdradza wyjątkowe zdolności.

— Oczywiście — skinęła głową Pollyanna. — A skoro potrafiła się pani do niego tak przywiązać, to już mniejsza o to, czy jest prawdziwym Jamiem, czy też nie.

Pani Carew zahała się. W oczach jej pojawił się ów dawny smutek.

— Byleby tylko on tak bardzo tym się nie trapił — westchnęła wreszcie. — Czasami jednak zastanawiam się, że jeżeli on nie jest naszym Jamiem, to gdzie może być prawdziwy Jamie Kent? Czy jest zdrowy? Czy jest szczęśliwy? Czy jest przy nim ktoś, kto go kocha? Gdy zaczynam o tym myśleć, Pollyanno, jestem bliska obłądu. Oddałabym wszystko, co posiadam, żeby się tylko upewnić, że ten chłopiec właśnie jest Jamiem Kentem.

Pollyanna niejednokrotnie wspominała tę rozmowę podczas późniejszych swych pogawędek z Jamiem. Jamie był tak poważny i tak pewny siebie.

— Coś tajemniczego mówi mi, że tak właśnie jest — powiedział jej pewnego razu. — Jestem pewny, że nazywam się Jamie Kent. Wierzę w to, dopiero od niedawna. Uwierzyłem w to tak mocno, że nie zniósłbym chyba, gdyby okazało się, że jest inaczej. Pani Carew tyle dla mnie zrobiła! Pomyśl tylko, przecież mimo wszystko byłem dla niej zupełnie obcy!

— Ale ona cię kocha, Jamie.

— Wiem o tym i to właśnie najbardziej mnie boli, nie rozumiesz? I ją kiedyś może to doprowadzić do rozpacz. Marzy o tym, abym był prawdziwym Jamiem. Wiem, że niejednokrotnie o tym myśli. Gdybym chociaż mógł coś dla niej uczynić, żeby była ze mnie dumna! Gdybym mógł wziąć się do czegoś, jak każdy inny mężczyzna! Ale cóż ja mogę robić... z tym? — mówił z goryczą, kładąc rękę na kulach leżących tuż przy nim.

Pollyanna była wzruszona i zażenowana. Po raz pierwszy słyszała, jak Jamie, dorosły już chłopiec, mówił o swoim kalectwie. Na próżno szukała odpowiednich słów, którymi należało teraz wszystko wyjaśnić, lecz nim zdążyła zdecydować się na cośkolwiek, twarz Jamiego poweselała i zaszła w niej zupełna zmiana.

— Zapomnij o tym, co powiedziałem! Nie to miałem na myśli — zawołał swobodnie. — W ten sposób nie mogą mówić ludzie uprawiający grę w zadowolenie. Zadowolony jestem, że mam kule, bo przecież są one o wiele przyjemniejsze niż fotel na kółkach!

— A Radosna Księga, czy ją jeszcze prowadzisz? — zapytała Pollyanna głosem, który drżał nieco.

— Naturalnie! Mam teraz całą bibliotekę radosnych książek — odpowiedział.. — Wszystkie są oprawione w skórę oprócz tej pierwszej. Tamta, to ten stary notatnik, który mi podarował Jerry.

— Jerry! Już dawno chciałam o niego zapytać — zawołała Pollyanna. — Co się z nim dzieje?

— Jest w Bostonie i mówi tak samo kwiecicie, jak za dawnych, dobrych czasów. Pracuje jeszcze ciągle w gazecie, ale już gazet nie sprzedaje, tylko pisze do nich rozmaite wiadomości. Jest reporterem, pojmujesz? Nareszcie miałem możliwość dopomóc jemu i mamci. Wyobrażasz sobie, jaki byłem z tego powodu uradowany? Mamcia jest w sanatorium i leczy się na reumatyzm.

— A czuje się lepiej?

— O wiele lepiej. Wkrótce już wyjdzie i zacznie prowadzić gospodarstwo Jerry'emu. Jerry poduczył się trochę w ciągu ostatnich kilku lat. Pomagałem mu nawet w nauce, ale w żaden sposób nie chciał przyjąć mojej pomocy bez pieniędzy. Jest pod tym względem szalenie skrupulatny.

— Oczywiście — skinęła głową Pollyanna w niemej pochwałę. — Rozumiem, że go to peszy. Na jego miejscu byłabym taka sama. Przykro zaciągać długi, których później spłacić nie można. Ja się znam na tym. Dlatego właśnie tak bardzo chciałabym pomóc ciotce Polly za to wszystko, co kiedyś dla mnie uczyniła.

— Przecież jej pomagasz tego lata.

Pollyanna uniosła brwi ku górze.

— Tak, prowadzę pensjonat. Wyglądam na to nawet, prawda? — poczęła się śmiać, rozkładając bezradnie ręce. — Żadna gospodyni pensjonatowa nie spełnia swych obo-

wiązków w ten sposób, jak ja! Powinieneś być słyszeć sprzeciwu ciotki Polly odnośnie waszego przyjazdu — rzuciła mimochodem.

— Jakie sprzeciwy?

Pollyanna potrząsnęła energicznie głową.

— Nie mogę ci powiedzieć, bo to tajemnica, ale... — umilkła i westchnęła, a twarzyczka jej spoważniała znowu. — Ale to przecież nie będzie trwać wiecznie, sam rozumiesz. Tak zawsze być nie może. Pensjonat można prowadzić tylko latem, a ja i zimą muszę coś robić. Właśnie myślę ciągle o tym. Chyba będę pisała nowele.

Jamie spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Co będziesz robić? — zapytał.

— Pisać nowele i sprzedawać, pojmujesz? Czemu jesteś taki zaskoczony? Przecież mnóstwo ludzi to robi. Znałam dwie panienki w Niemczech, które się także tym zajmowały.

— A czy kiedyś próbowałaś? — głos Jamiego jeszcze ciągle był niepewny.

— Nie, dotychczas nie — przyznała Pollyanna, po czym oburzyła się, widząc zdziwiony wyraz jego twarzy. — Przecież wiesz, że teraz prowadzę pensjonat, a wszystkiego naraz robić nie można.

— Oczywiście, że nie!

Spojrzała nań już teraz łagodniej.

— Sądysz, że nie potrafiłabym pisać?

— Tego nie powiedziałem.

— Nie, ale tak patrzyłeś na mnie. Nie rozumiem, dlaczego miałabym nie potrafić. Pisanie to przecież nie śpiew. Nie potrzeba do tego głosu. Nie jest to również instrument, na którym trzeba się nauczyć grać.

— Ale uważam, że coś bardzo podobnego — wyszeptał Jamie nieśmiało, nie patrząc na nią w tej chwili.

— Co takiego? Coś powiedział? Jak to, Jamie, wystarczy tylko mieć ołówek i kawałek papieru, a na pianinie czy na skrzypcach trzeba się uczyć grać!

Nastąpiła chwila milczenia. Wreszcie usłyszała jego odpowiedź wypowiedzianą cichym, nieśmiałym głosem i zauważyła, że ciągle jeszcze unikał jej wzroku.

— Instrument, na którym ty grasz, Pollyanno, to wielkie serce świata! Dla mnie byłby on najtrudniejszym instrumentem, jaki znam. Pod twoim dotknięciem instrument ten płacze i uśmiecha się, zależnie od twego własnego nastroju.

Pollyanna westchnęła głęboko. Oczy jej stały się nagle wilgotne.

— Ach, Jamie, jak ty pięknie potrafisz wszystko ujmować! Mnie by to nigdy na myśl nie przyszło. Ale tak jest rzeczywiście, nieprawdaż? Jakże bym chciała grać na takim instrumencie! Jakże bym chciała pisać nowele, chociaż możliwe, że nie potrafię. Czytałam jednak mnóstwo nowel w rozmaitych pismach i zdaje mi się, że mogłabym sama coś napisać. Strasznie lubię opowiadać historie. Zawsze powtarzam to, co ty opowiadasz i tak samo płaczę i śmieję się, jak ty to robisz podczas opowiadania.

Jamie pośpiesznie odwrócił ku niej twarz.

— Czy i ciebie te historie doprowadzają do śmiechu i płaczu, Pollyanno? — głos jego był teraz dziwnie podniecony.

— Naturalnie, że tak, a ty to najlepiej wiesz, Jamie! Doprowadzały mnie one do płaczu i śmiechu jeszcze wówczas, gdy opowiadałeś je przed laty w publicznym parku. Nikt nie potrafi tak opowiadać, jak ty, Jamie. Ty powinieneś właśnie pisać nowele, nie ja. Dlaczego tego nie robisz? Potrafiłbyś pisać cudownie, jestem pewna!

Nie było odpowiedzi. Jamie najwidoczniej nie słyszał, może dlatego, że przywoływał do siebie jakiegoś ptaszka, ćwierkającego w pobliskich zaroślach.

Nie tylko z Jamiem, panią Carew i Sadie Dean prowadziła Pollyanna ciekawe rozmowy. Często również gawędziła nader mile z Jimmy'm i Johnem Pendletonem.

Dopiero teraz doszła do wniosku, że dotychczas nie знаła naprawdę Johna Pendletona. Dawna jego posępnosć zniknęła zupełnie od chwili, gdy przyjechali na obóz. Wiosłował, pływał, łowił ryby i chodził na dłuższe spacerzy z takim samym niemal entuzjazmem, jak Jimmy i z taką samą młodzieńczą werwą. Wieczorami, gdy się zbierano dokoła ogniska, po prostu rywalizował z Jamiem w opowiadaniu o swych dawnych przygodach, śmiesznych

i podniecających, których takie mnóstwo doświadczył podczas swych dawnych podróży po obcych krajach.

— W „Pustyni Sary”, jak mówi zawsze Nancy — śmiała się Pollyanna, prosząc pana Pendletona wraz z innymi o opowieść o przygodach na Saharze.

Lubiła jednak bardziej te chwile, kiedy John Pendleton, będąc z nią sam na sam, opowiadał o jej matce, którą w młodości tak bardzo kochał. Pollyanna cieszyła się z tej jego szczerości, lecz jednocześnie była nią zaskoczona, dawniej bowiem John Pendleton nigdy tak swobodnie nie wspominał o kobiecie, którą kochał bez wzajemności. Może i on sam tą swoją szczerością był zdziwiony, bo pewnego razu, patrząc na Pollyannę, szepnął w zamyśleniu:

— Dziwię się, że o tym wszystkim tobie opowiadam.

— Ach, przecież mnie to wszystko interesuje — wyrwała się Pollyanna.

— Tak, wiem, ale nigdy bym nie przypuszczał, że kiedykolwiek zdobędę się na to. Widocznie czynię to dlatego, że jesteś tak bardzo podobna do swej matki. Tak samo wyglądała wówczas, gdy ją znałem.

— A ja myślałam, że moja mama była piękna! — zawołała Pollyanna z głębokim rozczarowaniem.

John Pendleton uśmiechnął się tajemniczo.

— Była istotnie piękna, moje dziecko.

Pollyanna zdziwiła się jeszcze bardziej.

— Więc nie rozumiem, jak mogła być do mnie podobna!

Wybuchnął teraz głośnym, serdecznym śmiechem.

— Pollyanno, jeżeli któraś dziewczyna powiedziałaaby, że ja... mniejsza o to, nie słuchaj tego, co mówię. Ach, ty mała figlarko! Strasznie miła jesteś, Pollyanno!

Pollyanna zarumieniła się, patrząc z przerażeniem w oczy pana Pendletona.

— Proszę pana, niech pan nie patrzy na mnie w ten sposób i niech pan ze mnie nie szydzi. Tak bym chciała być ładna, chociaż to może brzmi strasznie komicznie. Mam przecież lusterko, więc wiem.

— Wobec tego radzę ci spojrzeć w nie, gdy coś mówisz — zauważył pan Pendleton z poważną miną.

Pollyanna otworzyła szerzej oczy.

— To samo powiedział mi kiedyś Jimmy — zawołała.

— Naprawdę? A to łajdak! — rzekł z udanym oburzeniem pan Pendleton i zmieniając nagle wyraz twarzy, wyszeptał tuż nad jej uchem: — Masz oczy i uśmiech swojej matki, Pollyanno, więc dla mnie jesteś piękna.

Pollyanna umilkła, gdyż oczy jej w tej chwili zasły łzami.

Chociaż te rozmowy były tak miłe i ciekawe, nie można ich było jednak porównać z długimi rozmowami prowadzonymi z Jimmym. Właściwie Pollyanna i Jimmy nie potrzebowali wcale mówić ze sobą, bo i tak, będąc razem, czuli się szczęśliwi. Jimmy był zawsze taki spokojny i zrównoważony. Czy mówili ze sobą, czy też milczeli, nie sprawiało właściwie żadnej różnicy. Jimmy zawsze ją rozumiał. Serce jej było przepojone sympatią dla Jimmy'ego, a sympatia ta była wielka, mocna i oszałamiająca. Jimmy nie martwił się o zaginionego siostrzeńca, nie cierpiał również po utracie pierwszej swej miłości. Chodząc, nie potrzebował opierać się na kulach, co było takie przykre, gdy się to widziało, lub gdy się o tym pomyślało. W towarzystwie Jimmy'ego Pollyanna czuła się zadowolona, szczęśliwa i swobodna. Jimmy był taki kochany! Oby tylko na zawsze takim pozostał!

ROZDZIAŁ XXIII. PRZYKUTY DO DWÓCH KIJÓW

Było to ostatniego dnia pobytu w obozie. Pollyannie zdarzenie to sprawiło tak wiele przykrości, że wolałaby, aby w ogóle nie zaistniało, gdyż ono właśnie spowodowało pierwszą chmurkę zaciemniającą jasny horyzont obrazu całej wycieczki. Niejednokrotnie później Pollyanna wdychała, wspominając tę nieprzyjemną chwilę:

— Gdybym wróciła do domu o dzień wcześniej, na pewno by się to nie stało.

Ale los chciał, że nie wróciła, musiała więc przeżyć tę wielką, pamiętną przykrość.

Wczesnym rankiem owego ostatniego dnia całe towarzystwo wyruszyło na dwumilową wycieczkę do Basin.

— Będziemy mieli jeszcze jeden rybny obiad przed wyjazdem — powiedział Jimmy i wszyscy radośnie przystali na to.

Zabrawszy drugie śniadanie i wędkę, wybrano się w drogę bardzo wcześnie. Śmiejąc się i nawołując wzajemnie, skierowali się na wąską ścieżkę biegnącą przez las. Na czele pochodu kroczył Jimmy, który znał drogę najlepiej.

Z początku tuż za nim szła Pollyanna, lecz później przyłączyła się do Jamiego, idącego na samym końcu. Zdawało jej się, że dostrzegła na twarzy Jamiego szalone zmęczenie i wyczerpanie, a wiedziała, że nic nie mogło mu sprawić większej przykrości jak to, gdyby ktoś to jego zmęczenie zauważył. Poza tym zdawała sobie sprawę, że już raczej wołał wesprzeć się na jej ramieniu, idąc z trudem po kamienistej drodze. Dlatego też przy pierwszej okazji, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi, pozostała w tyle i przyłączyła się do Jamiego. Została natychmiast nagrodzona, bo twarz Jamiego rozjaśnił wesoły uśmiech i pod pretekstem przeskoczenia przez pień zwałonego drzewa, młodzieniec wziął ją pod rękę.

Po wyjściu z lasu droga prowadziła wzdłuż wysokiego, kamiennego muru, tonącego w słońcu, po obydwu stronach którego ciągnęły się przestrzenne pastwiska, a w dali widać było pięknie zagospodarowaną farmę. Gdy się znaleźli na następnym pastwisku, Pollyanna nagle ujrzała rozkwitłe nawłocie, przyciągające wzrok wspaniałością swego wyglądu.

— Zaczekaj, Jamie! Muszę ich narwać — zawołała gorączkowo. — Będziemy mieli śliczny bukiet do stołu! — i śpiesznie wdrapawszy się po kamiennej ścianie, zsunęła się na przeciwną jej stronę.

Nawłocie rosły tu bardzo licznie, gęsto obsypane były nimi krzewy i każdy nowy zerwany kwiatek wydawał się Pollyannie piękniejszy. Z wesołymi okrzykami, zwróconymi w stronę czekającego Jamiego, Pollyanna, sprawiająca wrażenie cudnej makówki w swym szkarlatnym swetrze, biegła od krzewu do krzewu, powiększając ciągle swój bukiet. Miała już pełne obydwie dłonie, gdy nagle rozległ się przeraźliwy ryk rozwścieczonego byka, a po nim pełen przerażenia krzyk Jamiego i tupot kopyt biegnącego zwierzęcia.

To, co się stało później, pamiętała Pollyanna jak przez mgłę. Wiedziała tylko, że rzuciła na ziemię zebrane kwiaty i biegła, biegła, jak nigdy dotychczas, w stronę skalistej ściany i czekającego na nią Jamiego. Zdawała sobie sprawę, że zwierzę jest coraz bliżej, że już ją prawie dogania. Daleko przed sobą zobaczyła bladą, bezradną twarz Jamiego i słyszała jego rozdzierający krzyk. A później, nie wiadomo skąd, dobiegł ją głos Jimmy'ego wesoły, dodający otuchy.

Ciągle jeszcze biegła na oślep, słysząc za sobą tupot kopyt byka. Raz potknęła się i omal nie upadła. Uczuła nagle, że ją siły opuszczają, lecz tuż przy sobie usłyszała znowu głos Jimmy'ego. W sekundę potem upadła na ziemię i usłyszała nagle coś głośno bijącego, co widocznie było sercem Jimmy'ego. Wszystko pomieszało się razem, czyjeś głośne okrzyki, przyspieszone oddechy, odgłos kopyt, zbliżający się coraz bardziej. I gdy już doznała wrażenia, że te kopyta depczą jej po głowie, padła nagle w ramiona Jimmy, nie pamiętając już o niczym. Prawie w tej samej chwili znalazła się po przeciwnej stronie skalistej ściany i dostrzegła pochylonego nad sobą Jimmy'ego z bardzo zatroskaną twarzą.

Z histerycznym śmiechem, który był podobny raczej do szlochu, wyrwała się z jego ramion i podniosła z ziemi.

— Nie umarłam jeszcze! I to wszystko dzięki tobie, Jimmy. Jestem zupełnie zdrowa. Ach, jak przyjemnie było usłyszeć twój głos! To było naprawdę wspaniale! Skąd się tu wzięłaś? — szeptała zadyszana.

— Głupstwo! Nie myśl, że to jakieś bohaterstwo. Po prostu... — nagły przeraźliwy krzyk zmusił go do milczenia. Odwrócił i ujrzał w pobliżu Jamiego leżącego na ziemi. Pollyanna już się zerwała i biegła do niego.

— Jamie, Jamie, co się stało? — wołała. — Upadłeś? Potłukłeś się bardzo?

Nie było odpowiedzi.

— Co ci się stało, stary? Wyrządziłeś sobie jakąś krzywdę? — dowiadywał się Jimmy.

I tym razem panowała cisza, po czym nagle Jamie odwrócił od nich twarz.

— Musiałem się potłuc? — wyszeptał z goryczą, wyciągając przed siebie obydwie ręce.

— Czyż nie wystarcza ten ból, kiedy się widzi coś podobnego i nie można pomóc? Czyż

nie wystarczy to, że człowiek przykuty jest do dwóch kijów? Zaręczam wam, że trudno cośkolwiek z takim bólem porównać!

— Ależ, Jamie — wyszeptała Pollyanna.

— Daj spokój! — przerwał kaleka niechętnie. Usiłował teraz podnieść się z ziemi. — Nic nie mów. Nie chciałem wam urządzić takiej sceny, dorzucił złamanym głosem, odwracając się i odchodząc wąską ścieżką, biegnącą w stronę obozu.

Przez chwilę, jakby pod wpływem tajemniczej siły, Pollyanna i Jimmy spoglądali za nim bez ruchu.

— Tak, na Boga! — westchnął Jimmy, a potem dodał głosem, który drżał nieco: — To było dla niego naprawdę przykre!

— Przecież ja cię nie chwaliłam w jego obecności — zaszlochała Pollyanna. — A widziałeś te jego ręce? Były tak pokrwawione, jakby sobie gwoździe powbijał w ciało — szepnęła, kierując się również w stronę ścieżki.

— Dokąd idziesz, Pollyanno? — zawołał Jimmy.

— Oczywiście idę do Jamiego! Sądziłeś, że go tak zostawię? Chodź, musimy go tu natychmiast sprowadzić.

Jimmy westchnął głęboko, wcale nie na temat Jamiego i posłusznie ruszył za Pollyanną.

ROZDZIAŁ XXIV. PRZEBUDZENIE JIMMY'EGO

Wycieczka obozowa na pozór była wspaniała, lecz w gruncie rzeczy...

Pollyanna niejednokrotnie zastanawiała się, czy przykrości ostatniego dnia powstały jedynie z jej winy, czy też zawinił w tym ktoś jeszcze. Podświadomie wyczuwała, że i reszta towarzystwa przywiozła z sobą z wycieczki pewien nieokreślony niesmak. Powodem tego niesmaku było zdarzenie ostatniego dnia na owej fatalnej wycieczce do Basin.

Oczywiście obydwójce z Jimmym łatwo dogonili Jamiego i po dłuższych wysiłkach nakłonili go do połączenia się z resztą towarzystwa. Jednak mimo że każde z oddzielna usiłowało zachowywać się tak, jakby nic specjalnego nie zaszło, nikomu nie udawało się to nadzwyczajnie. Pollyanna, Jamie i Jimmy zgrywali się nieco w swojej nadmiernej wesołości, a reszta uczestników wycieczki, nie wiedząc wprawdzie o niczym, czuła jednak, że coś jest nie w porządku i tę swoją świadomość starała się ukrywać przed młodymi. Oczywiście przy takim stanie rzeczy trudno było o stworzenie wesołej i beztrudnej atmosfery. Nawet upragnione ryby na obiad zjedzono bez większego wrażenia i o wczesnej godzinie popołudniowej postanowiono opuścić obóz.

Znalazłszy się znowu w domu, Pollyanną doszła do wniosku, że ów nieprzyjemny epizod z rozwścieczonym bykiem nigdy nie zostanie zapomniany. Lecz aczkolwiek ona sama wiedziała, że nie potrafi o tym zapomnieć, nie miała absolutnie pretensji do innych, jeżeli nawet przeszli nad tym do porządku dziennego. O przykrym tym zdarzeniu myślała szczególnie, ilekroć patrzyła na Jamiego. Wciąż przed oczami jej majaczyła jego pobladła twarz i ręce zbroczone krwią. Dotkliwy ból w sercu wzrastał coraz bardziej, toteż obecność Jamiego stała się teraz dla niej prawdziwą męką. Jedynie przed samą sobą zwierzała się szczerze, że nie lubi teraz przebywać z dawnym swoim przyjacielem, nie lubi nawet z nim rozmawiać, mimo wszystko jednak, przebywała w jego towarzystwie ostatnio o wiele częściej. Lękała się po prostu, aby Jamie nie odgadł jej myśli, miała dlań zawsze jakieś miłe słówko czy uśmiech i całkiem ostentacyjnie szukała nawet takich chwil, kiedy mogła z nim pozostawać sam na sam. Nie zawsze jej się to wprawdzie udawało, bowiem Jamie zdawał się unikać ostatnio wszelkich rozmów z Pollyanną.

Najwidoczniej, tłumaczyła sobie Pollyanna, zbyt dobrze jeszcze pamięta ów tragiczny wypadek z bykiem. Wprawdzie nigdy na ten temat nie wspomniał ani słowem i był teraz nawet weselszy niż dotychczas, Pollyanna jednak zdawała się wyczuwać we wszystkim, co mówił, jakąś ukrytą gorycz, której do tej pory nigdy nie dostrzegała. Czasami jednak Jamie całkiem bezwiednie lubował się w samotnych z nią rozmowach. Tak samo było owego dnia, kiedy obydwójce obserwowali towarzystwo grające w tenisa.

— Mimo wszystko, Pollyanno, nikt mnie tak dobrze nie rozumie, jak ty — powiedział Jamie.

— Nikt cię nie rozumie? — Pollyanna w pierwszej chwili nie orientowała się, co młodzieniec ma na myśli. Od pięciu minut obserwowali grających, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa.

— Tak, bo ty kiedyś także nie mogłaś chodzić.

— Ach, tak, naturalnie — szepnęła Pollyanna, zdając sobie sprawę, że obecne zażenowanie odzwierciedlało się na jej twarzy, gdyż Jamie zaśmiał się i szybko zmienił temat rozmowy, mówiąc:

— Słuchaj, Pollyanno, dlaczego ty właściwie nie grasz? Ja bym grał, gdybym był na twoim miejscu. Zapomnij o tym, co mówiłem. Nie powinienem był pokazywać ci tego z tej strony!

Uśmiechnęła się również i rzekła:

— Nie, nie, oczywiście! — ale nie mogła jakoś zapomnieć. To wszystko sprawiło, że Jamie niepokoił ją jeszcze bardziej i że jeszcze bardziej pragnęła mu pomóc.

„Muszę mu udowodnić, że najchętniej przebywam w jego towarzystwie!” — myślała, śpiesząc w stronę placu tenisowego, aby zagrać choć jedną partię.

Nie tylko jednak Pollyanna wyczuwała tę dziwną atmosferę, jaka panowała obecnie. Wyczuwał ją również Jimmy Pendleton, chociaż usiłował tego nie okazywać.

Jimmy podczas tych dni nie czuł się szczęśliwy. Z beztróskiego młodzieńca, którego jedynym celem było ukończenie studiów, przeistoczył się w pełnego niepokoju mężczyznę, odczuwającego lęk przed rywalem, który chciał mu zrabować serce ukochanej dziewczyny.

Teraz dopiero Jimmy zdawał sobie sprawę, że jest poważnie zakochany w Pollyannie. Przypuszczał, że kochał ją już od bardzo dawna. Czuł się bezradny, owładnięty zupełnie tą miłością. Orientował się, że nawet jego ukochane mosty były niczym w porównaniu z radosnym dziewczęcym uśmiechem i z miłym słówkiem usłyszanym z jej ust. Wiedział, że najbardziej trapi go powątpiewanie co do uczuć Pollyanny i lęk przed tym, jakie szanse ma u niej Jamie.

Dopiero w owym dniu, kiedy widział niebezpieczeństwo grożące Pollyannie na pastwisku, zdał sobie sprawę, jak pusty byłby dla niego świat, ten jego świat, bez niej. I dopiero gdy trzymał ją w ramionach, uświadomił sobie, jak bardzo była mu droga. Czując jej ręce na swojej szyi, czuł jednocześnie, że należała niepodzielnie do niego i nawet ta jedna chwila niebezpieczeństwa wydała mu się czymś bardzo przyjemnym i niezapomnianym. A potem zobaczył twarz Jamiego i jego zbroczone krwią ręce. Wyczytał z nich tylko jedno: Jamie także kochał Pollyannę, lecz nie mógł jej pomóc „przykuty do dwóch kijów”. Tak przecież sam powiedział. Jimmy uświadomił sobie, jak by się czuł na miejscu tamtego, gdyby widział, że ktoś inny ratuje istotę najbardziej ukochaną.

Dnia tego wrócił do obozu, przesiąknięty lęklivymi i buntowniczymi myślami. Zastanawiał się nad tym, czy Pollyanna także żywi jakieś uczucie dla Jamiego i tego właśnie najbardziej się obawiał. Jeżeli nawet uczucie to było całkiem nikłe, to rad nie rad, powinien był usunąć się w cień, aby Jamie mógł bez wysiłku wzbudzić w dziewczynie uczucie głębsze i gorętsze. Wobec tego jednak już Jimmy zaczął się buntować. Dlaczego właśnie on miał ustąpić tamtemu? Przecież taka walka nie byłaby niesprawiedliwa.

Ale pomyślawszy to, w tej samej chwili zarumienił się po korzonki włosów. Więc sprawiedliwa byłaby ta walka? Czyż walka między nim i Jamiem może być sprawiedliwa? Doznał teraz takiego wrażenia, jak przed laty, gdy był jeszcze chłopcem i walczył o zerwane jabłko z jakimś nowym kolegą, lecz już po pierwszym uderzeniu skonstatował, że kolega ów ma chorą rękę. Oczywiście walkę przerwał i pozwolił tamtemu zjeść owo upragnione jabłko. Teraz tłumaczył sobie, że sytuacja była całkiem inna. Przecież tu nie o jabłko chodziło. Chodziło tu o szczęście całego życia, a może nawet i o szczęście Pollyanny. Możliwe, że nie żywiła żadnego uczucia dla Jamiego, a natomiast kochała swego dawnego przyjaciela Jimmy'ego, lecz nie chciała się z tym zdradzić. Ale on ją ośmieli. On ją...

I znowu Jimmy zarumienił się nieoczekiwanie. Zmarszczył niechętnie brwi. Żeby tylko mógł zapomnieć o tym, jak wyglądał Jamie, gdy mówił, że jest „przykuty do dwóch kijów”! Żeby tylko... Ale cóż by miał z tego? Walka i tak byłaby nierówna, zdawał sobie z tego dobrze sprawę. Wiedział również, że wszelkie postanowienia i tak na nic się nie zdadzą, bo choćby nie wiem jak było, on i tak będzie tylko czekał i patrzył. Zostawi wszelkie możliwości Jamiemu, a jeżeli Pollyanna okaże, że go kocha, odejdzie spokojnie

i na zawsze zniknie z ich życia. Żadne z nich nigdy się nie dowie, jak wielka gorycz przenika jego serce. Wróci do swoich mostów, jakby te mosty mogły wytrzymać porównanie z Pollyanną! Ale tak być musi. Inaczej być nie może.

Wszystko to było bardzo piękne i bohaterskie i Jimmy upajał się już swoim męczeństwem, gdy wreszcie sen go zmorzył tej nocy. Lecz męczeństwo w teorii a w praktyce — to całkiem dwie różne rzeczy. Całkiem łatwo było uczynić takie postanowienie wśród nocy, okazało się jednak rzeczą trudniejszą zachowanie spokoju, gdy się prawie codziennie widywało Pollyannę i Jamiego razem. Szczególnie denerwujące było zachowanie Pollyanny w stosunku do przybranego syna pani Carew. Jimmy doznawał wrażenia, jakby Pollyanna istotnie zakochana była w kalece, tak troskliwie się nim opiekowała i tak gorliwie spełniała każde jego życzenie. I jakby dla udokumentowania podejrzeń Jimmy'ego nadszedł dzień, kiedy Sadie Dean też wypowiedziała się na ten temat.

Całe towarzystwo znajdowało się na korcie tenisowym. Sadie siedziała na uboczu, dotrzymując towarzystwa Jimmy'emu.

— A teraz pani będzie grać z Pollyanną, prawda? — zapytał młodzieniec. Sadie potrząsnęła przecząco głową.

— Pollyanna dzisiaj grać nie będzie.

— Nie będzie grała? — zmarszczył brwi Jimmy, bo liczył bardzo na to, że właśnie on z nią dzisiaj zagra. — A dlaczego?

Przez krótką chwilę Sadie Dean nie odpowiadała, po czym rzekła z wyraźnym wysiłkiem:

— Powiedziała mi wczoraj wieczorem, że stanowczo za dużo ostatnio gra w tenisa i uważa, że to jest nietakt w stosunku do pana Carewa, który przecież grać nie może.

— Rozumiem, ale... — Jimmy umilkł bezradnie, a zmarszczka na jego czole pogłębiła się jeszcze bardziej. W następnej chwili zdziwiła go jakaś tajemnicza nuta, brzmiała w głosie Sadie Dean, gdy odezwała się znowu:

— Ale on jej przecież nie zabrania. Nie lubi wcale, gdy ktoś poświęca się dla niego. Takie poświęcenie najbardziej go boli. Pollyanna tego nie może zrozumieć. Tylko ja go dobrze rozumiem.

Słowa jej i brzmienie głosu przyprawiły serce Jimmy'ego o niewytłumaczone drżenie. Spojrzał dziewczynie ostro w oczy. Jakieś pytanie cisnęło mu się na usta. Powstrzymywał je przez chwilę, po czym, usiłując ukryć niepokój, uśmiechnął się na pozór obojętnie.

— Chyba pani nie podejrzewa, panno Dean, że między tym dwojgiem istnieje coś więcej niż zwykła przyjaźń?

Obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Gdzie pan ma oczy właściwie? Przecież ona go ubóstwia! Wzajemnie się ubóstwiają — poprawiła się śpiesznie.

Jimmy z niewyraźnym okrzykiem podniósł się i szybko odszedł. Za nic w świecie nie mógł pozostać dłużej. Nie chciał teraz więcej rozmawiać z Sadie Dean. Oddalił się tak nagle, że nie zauważył, że Sadie Dean również śpiesznie odwróciła się i poczęła uważnie wpatrywać się w trawnik, jakby tam czegoś szukała. Najwidoczniej i ona nie miała teraz ochoty rozmawiać z nim na ten temat.

Przekonywał samego siebie, że to wszystko było nieprawdą. Nie można było przywiązywać wagi do słów wypowiedzianych przez Sadie Dean. Mimo to jednak, tego, co usłyszał, nie mógł w żaden sposób zapomnieć. Nieprzyjemna świadomość zabarwiała wszystkie jego myśli i majaczyła przed oczami jak cień, ilekroć widział Jamiego z Pollyanną. Uważnie obserwował ich twarze, wsłuchiwał się w brzmienie ich głosów, a po pewnym czasie doszedł do wniosku, że to wszystko jednak było prawdą, że kochają się istotnie i pod wpływem tej świadomości czuł, że serce w jego piersi stało się nagle kawałkiem ciężkiego ołowiu. Wierny jednak danej samemu sobie obietnicy, postanowił odejść. Wszystko i tak było na nic. Pollyanna jest nie dla niego.

Nastaly pełne niepokoju dni dla Jimmy'ego. Nie chciał przerywać codziennych wizyt, lękając się, że tamci mogą się czegoś domyśleć, a przebywanie w towarzystwie Pollyanny było dla niego prawdziwą męką. Nawet obecność Sadie Dean stała się dlań teraz wybitnie nieprzyjemna, bo zdawał sobie dokładnie sprawę, że to właśnie ona otworzyła mu oczy na wszystko. O jakichkolwiek rozmowach z Jamiem w obecnych warunkach nie mogło być mowy, pozostawała więc tylko pani Carew. Ona stanowiła jedyną jego ostoję i pociechę.

W smutku czy radości potrafiła go zawsze zrozumieć i znała się nawet na takiej dziedzinie jak mosty, które w przyszłości zamierzał budować. Była mądra i niezwykle subtelna, potrafiła zachować się odpowiednio w każdej sytuacji. Pewnego dnia mało już brakowało, żeby jej powiedział o owej tajemniczej „paczce”. W ostatniej chwili jednak przerwało mu nagle pojawienie się Johna Pendletona. John Pendleton zawsze przychodził w najbardziej nieodpowiednich momentach, pomyślał z wściekłością Jimmy, ale gdy przypomniał sobie, ile dobrego John Pendleton dlań uczynił, doznał uczucia zawstydzenia.

Tajemnicza „paczka” pochodziła z dawnych lat chłopięcych i Jimmy nikomu o niej nie wspominał z wyjątkiem Johna Pendletona, a było to owego dnia, kiedy opiekun postanowił go zaadoptować. „Paczka” była właściwie dużą, białą kopertą, poślódką już trochę, zalakowaną wielką, czerwoną pieczęcią. Wręczył mu ją ojciec przed śmiercią, a na kopercie widniał napis:

„Dla mego syna, Jimmy’ego. Pragnę, aby koperta została otwarta w trzydziestą rocznicę jego urodzin.

W razie śmierci mego syna kopertę należy otworzyć natychmiast”.

W swoim czasie Jimmy niejednokrotnie zastanawiał się nad zawartością koperty, później jednak bywały takie chwile, kiedy o jej istnieniu zapominał zupełnie. Podczas pobytu swego w sierocińcu obawiał się najbardziej tego, żeby mu ktoś tego skarbu nie odebrał. Nie rozstawał się z kopertą ani na chwilę, nosząc ją na piersiach za koszulą. W późniejszych latach, za namową opiekuna, Jimmy zdecydował się schować ją bezpiecznie w safesie²⁸ pana Pendletona.

— Nie wiemy przecież, jaką przedstawia wartość — tłumaczył John Pendleton z uśmiechem. — Ojcu twemu musiało na tym bardzo zależeć, więc nie wolno nam zgubić tej koperty.

— I ja bym jej nie chciał zgubić — westchnął Jimmy — ale na wartość jej zbyt nie liczę, *sir*. Biedny papa, o ile sobie przypominam, nie posiadał przed śmiercią nic wartościowego.

I właśnie o tej kopercie Jimmy miał już ochotę powiedzieć pani Carew, lecz przeszkodził mu w tym John Pendleton.

„Może i lepiej, że tak się stało — doszedł później do wniosku, gdy wracał do domu. — Gotowa byłaby pomyśleć, że ojciec ukrywał jakąś tajemnicę, która mogłaby pozostawić plamę i na moim życiu. Za żadną cenę nie chciałbym, żeby pani Carew nabrała złego mniemania o mym ojcu”.

ROZDZIAŁ XXV. POLLYANNA I GRA W ZADOWOLENIE

Przed połową września Carewowie i Sadie Dean wyjechali z powrotem do Bostonu. Pollyanna całkiem mimo woli odetchnęła z ulgą, gdy pociąg uwożący jej gości oddalił się wreszcie od stacji Beldingsville. Nie zwierzyłyby się z tym nikomu i nawet będąc zupełnie sama, wołała o tym nie myśleć.

— To nie znaczy, że nie żywię dla nich prawdziwie serdecznego uczucia — westchnęła, spoglądając za znikającym w oddali pociągiem. — Tylko dlatego, że... że tak mi strasznie żal tego biednego Jamiego, a poza tym jestem naprawdę strasznie zmęczona. Z prawdziwą radością wrócę do dawnych, spokojnych dni spędzanych w towarzystwie Jimmy’ego.

Do tych spokojnych dni jednak nie wróciła. Były one wprawdzie po wyjeździe Carewów bardzo spokojne, lecz nie spędzała ich w towarzystwie Jimmy’ego. Jimmy przychodził teraz bardzo rzadko, a jeżeli nawet zjawiał się, to nie był już tym dawnym Jimmym, którego tak dobrze znała. Był milczący, nerwowy i ponury albo też bardzo wesoły i rozmowny, lecz stwarzał atmosferę tak dziwną, że Pollyanna była tym zaskoczona. Wkrótce i on wyjechał do Bostonu, więc nie widywała go już zupełnie.

Ogarnęło ją zdziwienie, że tak bardzo poczęła nagle odczuwać jego brak. Nawet świadomość, że przebywał w Beldingsville i że może w każdej chwili przyjść, była o wiele przyjemniejsza, niż ta straszna pustka jego nieobecności i Pollyanna tęskniła nawet za ponurym jego nastrojem, jaki ją denerwował ostatnio. Wreszcie pewnego dnia oburzyła się na samą siebie, a w oczach jej pojawiły się gniewne błyski.

²⁸*safes* — sejf. [przypis edytorski]

— Cóż to, Pollyanno Whittier — zgromiła się surowo — mógłby ktoś pomyśleć, że jesteś zakochana w Jimmym Pendletonie! Czyż o nikim już myśleć nie możesz, tylko o nim?

Postanowiła być nadal wesoła i swobodna i raz na zawsze pozbyć się tych nieprzyjemnych myśli o Jimmym Pendletonie. Złożyło się tak dziwnie, że dopomogła jej w tym całkiem mimo woli ciotka Polly.

Wraz z wyjazdem Carewów obydwie utraciły źródło swoich stałych dochodów i ciotka Polly zaczęła się znowu martwić złym stanem swych finansów.

— Naprawdę, nie wiem, Pollyanno, co z nami będzie — jęczała ustawicznie. — Oczywiście odpoczniemy teraz trochę po tym lecie; zebrałyśmy pokaźną sumkę, ale przecież te pieniądze wkrótce się rozejdą. Żebyśmy mogły coś takiego zrobić, co by nam przynosiło stały dochód!

Pewnego dnia po takim właśnie narzekaniu, wzrok Pollyanny spoczął na miesięczniku, w którym wyznaczona była nagroda za napisanie konkursowej noweli. Propozycja była nader kusząca. Nagrody wyznaczono liczne i duże. Warunki podane nie przedstawiały zbyt wielkich trudności. Gdy się je czytało, doznawało się wrażenia, że zdobycie pierwszej nagrody było najłatwiejszą rzeczą na świecie. Ogłoszenie konkursu zawierało nawet jakby prośbę do czytelników o przyjęcie czynnego w niej udziału.

„Konkurs jest właśnie dla ciebie, tylko dla ciebie czytelniku — brzmiał apel. — Cóż z tego, że nigdy nie pisałeś nowel! Nie znaczy to wcale, że pisać nie potrafisz. Radzimy spróbować. Chciałbyś zdobyć trzy tysiące dolarów? Dwa tysiące? Tysiąc? Pięćset, a nawet sto? Więc dlaczego nie miałbyś się ubiegać o nagrodę?”

— Właśnie o to chodzi! — zawołała Pollyanna — klaszcząc w dłonie — Cieszę się ogromnie, że to zobaczyłam! Wyraźnie mówią, że i ja powinnam spróbować. Myślę, że potrafię. Powiem zaraz o tym cioci, żeby się biedaczka nie martwiła.

Kierowała się już ku drzwiom, lecz w ostatniej chwili przystanąła.

— A jeżeli mi się nie uda? Przecież lepiej później sprawić jej niespodziankę, a jak zdobędę pierwszą nagrodę...

Tej nocy, leżąc już w łóżku, układała plany, co zrobi z trzema tysiącami dolarów.

Nowelę zaczęła pisać nazajutrz. Dokładnie mówiąc, przygotowała sobie arkusz papieru, zatemperowała pół tuzina ołówków i usadowiła się przy staromodnym biurku Harringtonów w bawialni. Złamawszy dwa ołówki, napisała trzy słowa na papierze, który położyła przed sobą. W pewnej chwili głęboko westchnęła i odłożywszy trzeci połamany ołówek, sięgnęła po czwarty, zielony, który zatemperowany był najlepiej. Nagle zmarszczyła brwi.

— O Boże! Skąd oni właściwie biorą te tytuły? — szepnęła z rozpaczą. — Może lepiej wpierw napisać nowelę, a później dopiero znaleźć tytuł. Stanowczo trzeba tak zrobić. — Przekreśliła grubą kreską trzy napisane wyrazy, szykując się do rozpoczęcia noweli.

Początek jednak nie był taki łatwy. Napisane zdania okazały się mało przejrzyste i po upływie pół godziny cały arkusz papieru był prawie zupełnie pokreślony z wyjątkiem kilku pozostałych wyrazów.

W tym momencie ciotka Polly weszła do pokoju, kierując spojrzenie zmęczonych oczu na siostrzenicę.

— Pollyanno, co ty tam robisz? — zapytała.

Pollyanna zaśmiała się, czerwieniąc się mimo woli.

— Nic ważnego, ciociu. W każdym razie niewiele jeszcze zrobiłam — przyznała ze smutkiem. — A poza tym to jest sekret, którego teraz jeszcze nie mogę zdradzić.

— Dobrze, rób jak chcesz — westchnęła ciotka Polly. — Ale jeżeli zamierzasz coś zrobić z tymi papierami, pozostawionymi przez pana Harta, to uprzedzam cię, że nic z tego nie będzie. Próbowałam już sama dwukrotnie.

— Nie, ciociu, to nie o te papiery chodzi. Ta moja robota jest o wiele przyjemniejsza — zawołała Pollyanna z triumfem, powracając do przerwanej pracy. Znowu zaczęła planować, co zrobi, jak zdobędzie trzy tysiące dolarów.

Jeszcze przez następne pół godziny pisała, kreśliła i gryzła ołówek, po czym, nie tracąc wciąż pewności siebie, zabrała papier i ołówki i opuściła pokój.

„Przypuszczam, że lepiej pójdzie u mnie na górze — pomyślała, biegnąc przez hall. — Sądziłam, że powinnam to zrobić przy biurku, bo trzeba poważnie traktować pracę

literacką, ale dzisiaj jakoś biurko nie daje mi natchnienia. Spróbuję na parapecie okna w moim pokoju”.

Lecz parapet okna okazał się widocznie jeszcze mniej odpowiednim miejscem, sądząc z pokreślonych stronic, piętrzących się przed niedosłą literatką. Po upływie następnej pół godziny Pollyanna skonstatowała nagle, że nadeszła pora obiadu.

— Jestem zadowolona, że tak się stało — westchnęła. — Wolę raczej przygotowywać obiad niż pisać nowele. Chociaż nowele także pragnę pisać, ale nie miałam pojęcia, że to taka straszna robota.

Podczas następnego miesiąca Pollyanna pracowała pilnie i wytrwale, lecz wkrótce przekonała się, że napisanie „takiej sobie noweli” nie jest wcale rzeczą łatwą do wykonania. Z natury jednak nie należała do osób opuszczających ręce i upadających na duchu. Zresztą mającyla wciąż przed nią nagroda w wysokości trzech tysięcy dolarów, a poza tym wiele nagród innych, z których jedną w najgorszym razie mogła zdobyć! Przecież nawet sto dolarów też było pokaźną sumą! Tak więc dzień po dniu pisała, kreśliła, i przepisywała, aż wreszcie nowela leżała przed nią zupełnie wykończona. Teraz z pewną bojaźnią niosła rękopis Milly Snow do przepisania na maszynie.

„Czyta się zupełnie przyjemnie, to znaczy, że ma sens — myślała Pollyanna, biegnąc śpiesznie w stronę mieszkania pani Snow. — Bardzo miła historyjka o sympatycznej dziewczynie. Ale boję się, że jest tam coś nieścislego. W każdym razie nie mogę zbyt licznie liczyć na pierwszą nagrodę, więc nie będę rozczarowana, jeśli zdobędę ostatnią”.

Ilekcóż przychodziła do Snowów, zawsze myślała o Jimmym, bo wszakże koło ich domku ujrzała go po raz pierwszy przed laty, gdy uciekł z sierocińca. I dzisiaj pomyślała o nim, z bijącym sercem. Lecz zaraz z dumą podniosła głowę, co czyniła teraz zawsze na myśl o Jimmy, podbiegła szybko do drzwi mieszkania i zadzwoniła.

Jak zwykle panie Snow powitały ją z serdeczną radością i jak zwykle rozmowa potoczyła się na temat gry w zadowolenie. W żadnym z domów w Beldingsville nie przywiązano się tak do tej gry, jak u Snowów.

— I co tu nowego słyhać? Jak ci się powodzi? — zapytała Pollyanna, gdy wyjawiała już cel swojej wizyty.

— Wspaniale! — zawołała rozpromieniona Milly Snow. — Ta twoja robota jest już trzecia w tym tygodniu. Ach, Pollyanno, tak się cieszę, że nauczyłaś mnie pisać na maszynie, bo mogę teraz swobodnie pracować w domu! Wszystko to zawdzięczam tylko tobie.

— Głupstwa pleciesz! — zaoponowała Pollyanna wesoło.

— Przecież tak jest. Przede wszystkim nie doszłabym nigdy do tego, gdyby nie twoja gra, dzięki której i mama lepiej się czuje. A później zaproponowałaś mi naukę i pomogłaś kupić maszynę. Ciekawa jestem, jak bym wyglądała, gdybym nie miała ciebie!

Lecz i tym razem Pollyanna zaprotestowała. Przerwała jej jednak zaraz pani Snow, siedząca przy oknie w fotelu na kółkach. Tak poważnie i z takim namaszczeniem pani Snow mówiła, że Pollyanna całkiem bezwiednie przejęła się jej słowami.

— Słuchaj, dziecko, wątpię, czy zdajesz sobie sprawę z tego, coś uczyniła. Bardzo bym chciała, żebyś była świadoma tego! W oczach twoich dzisiaj widzę wyraz, którego wolałabym nie widzieć. Wiem, że jesteś czymś bardzo strapiona. Widzę to dokładnie. Nic dziwnego, śmierć wuja, obecne warunki ciotki, lepiej nie mówmy o tym. Ale chciałam jeszcze coś powiedzieć, moja droga, i musisz mnie wysłuchać, bo nie zniosę tego cienia w twoich oczach. Chcę ci nie wytłumaczyć, ile zrobiłaś dobrego dla mnie, dla całego naszego miasta i dla wielu, wielu ludzi.

— Ależ, pani Snow! — zaprotestowała Pollyanna z zażenowaniem.

— Ach, wiem przecież, co mówię — skinęła głową chora. — Przede wszystkim spójrz na mnie. Czyż nie byłam rozkapryszonym, bezradnym stworzeniem, dopóki ciebie nie poznałam? Czyż nie otworzyłaś mi oczu na wiele rzeczy i nie przekonałaś mnie, że posiadam właśnie to, czego pragnę?

— Ach, pani Snow, więc byłam naprawdę aż tak wielką impertynentką? — wyszeptała Pollyanna z rumieńcem na twarzy.

— To nie była żadna impertynencja — zaprotestowała pani Snow z powagą. — Przy najmniej ty tego za impertynencję nie uważałaś i dlatego jest różnica. Nikomu również nie wygłaszałaś kazań, kochanie. Gdybyś je wygłaszała, z pewnością nigdy nie zaczęłabym

grać w twoją grę, jak zresztą i wszyscy inni. Nauczyłaś mnie jednak w nią grać i spojrz, jaka zaszła zmiana we mnie i w Milly. Czuję się o wiele lepiej, do tego stopnia, że mogę siedzieć w fotelu i mogę poruszać się w nim po całym mieszkaniu. Już samo to dla mnie ma bardzo wielkie znaczenie. Nawet doktor powiada, że zawdzięczam to wszystko twojej grze. A weźmy innych, mieszkających w naszym mieście, o których ciągle słyszę. Nelly Mahoney złamała rękę i była tak zadowolona, że nie złamała nogi, że o bólu w ręce zupełnie zapomniała. Stara pani Tibbits straciła słuch, lecz cieszy się, że nie straciła wzroku i czuje się zupełnie szczęśliwa. Czy pamiętasz zezowatego Joe, z którego się wyśmiewano? I on się teraz już tym wszystkim nie przejmuję, bo uprawia stale grę w zadowolenie. Ktoś go nauczył tej gry i zrobił zeń innego człowieka. Ale wiesz, kochanie, że gra ta dopomogła ludziom nie tylko w naszym mieście. Wczoraj właśnie dostałam list od kuzynki z Massachusetts, w którym mi pisze o pani Tomaszowej Payson, która także tam mieszka. Czy pamiętasz Paysonów? Mieszkali kiedyś na Wzgórzu Pendletona.

— Ach, tak, oczywiście, że ich pamiętam — zawołała Pollyanna.

— Otóż wyjechali stąd tej samej zimy, kiedy ty byłaś w sanatorium i przenieśli się do Massachusetts, gdzie mieszka moja siostra. Siostra zna ich doskonale. Pisze mi, że pani Payson opowiadała jej o tobie i o tym, jak twoja gra odwiodła ją od rozvodu. Obecnie już nie tylko Paysonowie grają tam w twoją grę, lecz zarazili grą innych, którzy czują się teraz o wiele szczęśliwsi. Widzisz więc, kochanie, że jeżeli już ktoś przejął się tą twoją grą, to nie może być mowy, aby ją kiedykolwiek zarzucił. Chciałam, abys o tym wiedziała. Sądziłam, że to ci może pomóc czasami, gdybyś sama zmuszona była grać w swoją grę. Nie myśl, że nie rozumiem, jak ciężko musi ci być w takich chwilach.

Pollyanna podniosła się z krzesła. Uśmiechała się, lecz w oczach jej błyszczały łzy, gdy podawała staruszce rękę na pożegnanie.

— Bardzo dziękuję, pani Snow — szepnęła niepewnie. — Czasami bywa naprawdę ciężko i może istotnie powinnam sobie w takich chwilach moją grę przypomnieć. W każdym razie jednak — poweselała nagle — jeżeli nawet nie potrafię sama już grać, to zadowolona jestem, gdy sobie pomyślę, że inni ludzie w nią grają.

Pollyanna szła do domu w smutnym nastroju tego popołudnia. Wzruszona słowami pani Snow, na dnie serca kryła jeszcze jedną przyczynę swego smutku. Myślała właśnie o ciotce Polly, która grała w zadowolenie tak rzadko i zastanawiała się tym, czy ona sama zawsze pamięta o grze wówczas, kiedy powinna.

— Możliwe, że niekiedy nie potrafię cieszyć się z tego, co mówi ciotka Polly — obwinała samą siebie. — Możliwe, że gdybym sama potrafiła grać lepiej w zadowolenie, przekonałabym do mojej gry i ciotkę Polly. W każdym razie muszę spróbować. Jak nie wezmę się w karby, to wszyscy tamci ludzie będą grali w moją grę lepiej niż ja sama!

ROZDZIAŁ XXVI. JOHN PENDLETON

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem Pollyanna wysłała do redakcji nowelę, pięknie przepisana na maszynie. Nazwiska zdobywców nagród miały być ogłoszone dopiero w kwietniu, jak podawał miesięcznik, toteż Pollyanna postanowiła czekać cierpliwie.

„Nie wiem dlaczego, ale zadowolona jestem, że to jeszcze tak daleko — myślała — bo przez całą zimę będzie mi się zdawało, że zdobędę pierwszą nagrodę, a nie ostatnią. Jeżeli ją istotnie zdobędę, to będzie cudownie, a jeżeli jej nie zdobędę, to nie będę miała chociaż przed sobą wielu, wielu tygodni przykrości i smutku. Zresztą zadowolę się z pewnością nawet nagrodą najmniejszą”. — O tym, że może nie zdobyć żadnej nagrody, Pollyanna nawet nie myślała. Nowela, pięknie przepisana przez Milly Snow, wyglądała tak imponująco, jakby już była co najmniej wydrukowana.

Boże Narodzenie tego roku nie było zbyt przyjemne w dworze Harringtonów, mimo wszelkich możliwych wysiłków Pollyanny. Ciotka Polly nie zezwoliła tego dnia na żadne uroczystości i zachowywała się tak dziwnie, że Pollyanna nie miała odwagi zaofiarować jej najdrobniejszego nawet gwiazdkowego upominku.

W wieczór wigilijny przyszedł John Pendleton. Pani Chilton wytłumaczyła się bólem głowy, natomiast Pollyanna, zmęczona całodziennym przebywaniem z ciotką, powitała gościa radośnie. Lecz i tym razem spotkała ją przykrość, bowiem John Pendleton przywiózł list od Jimmy'ego, w którym nie było nic, oprócz wspólnych planów jego i pa-

ni Carew na urządzenie wspaniałej uroczystości świątecznej w Domu dla Pracujących Dziewcząt. Pollyanna była w takim nastroju, że nie mogła po prostu słyszeć o żadnych świątecznych uroczystościach, a tym bardziej o uroczystościach projektowanych przez Jimmy'ego.

John Pendleton jednak nie przestawał o tym mówić, chociaż list Jimmy'ego dawno został przeczytany.

— Wielkie dzieło! — zawołał, chowając list do kieszeni.

— Tak, rzeczywiście wspaniale! — wyszeptała Pollyanna, siląc się na entuzjazm.

— I to ma być dzisiaj, dziś wieczorem? Strasznie bym chciał wpaść tam choć na chwilę.

— Tak — wyszeptała znowu Pollyanna, udając zainteresowanie.

— Pani Carew od razu domyślała się, że będzie miała dużą pomoc w Jimmym — uśmiechnął się pan Pendleton. — Ja jednak nie przypuszczałem, że chłopak będzie miał ochotę grać rolę świętego Mikołaja przed audytorium złożonym ze stu młodych kobiet!

— Widocznie czuje się w takim towarzystwie doskonale! — zauważyła Pollyanna, unosząc w górę głowę.

— Możliwe. Ale musisz przyznać, że istnieje pewna różnica między budową mostów i takim zajęciem.

— O tak, naturalnie.

— Podziwiam Jimmy'ego i przypuszczam, że te dziewczęta nigdy chyba nie miały w życiu takich uroczystych świąt.

— Tak, rzeczywiście — wybąkała Pollyanna, siląc się na zupełny spokój i wmawiając sobie, że wieczór wigilijny spędzony w towarzystwie Johna Pendletona powinien jej się wydać bardzo miły i interesujący.

Nastała chwila ciszy, podczas której John Pendleton sennym wzrokiem śledził skaczące płomienie na kominku.

— Nadzwyczajna kobieta z tej pani Carew — oznajmił w pewnej chwili.

— O, tak, zupełnie niezwykła! — tym razem entuzjazm brzmiały w głosie Pollyanny był najzupełniej szczery.

— Jimmy pisał mi niedawno, ile ta kobieta robi dla tych biednych dziewcząt — ciągnął dalej pan Pendleton, mając ustawicznie wzrok utkwiony w kominku. — W ostatnim liście bardzo obszernie rozpisywał się na ten temat. Twierdzi, że zawsze miał dla niej wiele szacunku, lecz teraz dopiero przekonał się, jakie pani Carew posiada złote serce.

— Jest naprawdę kochana, ta nasza pani Carew — zawołała Pollyanna z zapałem. — Zawsze na niej można polegać. Kocham ją serdecznie.

John Pendleton drgnął nieoczekiwanie. Zwrócił się teraz do Pollyanny, patrząc na nią pytająco.

— Wiem o tym, moja droga, jeżeli o to idzie, to przypuszczam, że i inni także ją kochają.

Serce w piersi Pollyanny zabiło mocno. Nagła myśl poczęła ją jeszcze bardziej dręczyć. Jimmy! Czyż pan Pendleton sądził, że i Jimmy kocha się w pani Carew?

— Chce pan powiedzieć...? — wyszeptała. Nie miała siły dokończyć.

Dziwnie zdenerwowany John Pendleton podniósł się z fotela.

— Myślałem o tych dziewczętach oczywiście — odparł swobodnie, jeszcze ciągle się uśmiechając. — Czyż nie wierzysz w to, że te jej pupilki darzą ją również serdecznym uczuciem?

Pollyanna bąknęła „tak, oczywiście”, po czym dopowiedziała kilka niewyraźnych słów, nie chcąc zignorować milczeniem uwagi pana Pendletona. Przez głowę jej przebiegały bezładne myśli i przez resztę wieczoru milczała, nie słuchając tego, co mówił jej towarzysz.

John Pendleton także nie miał jakoś ochoty do rozmowy. Kilkakrotnie przeszedł przez pokój i usiadł wreszcie na swym dawnym miejscu. Ale gdy zaczął znowu mówić, mówił oczywiście i tym razem wyłącznie o pani Carew.

— Ciekawa jest historia tego jej Jamiego, nieprawdaż? Ja tam nie wierzę, że on jest jej siostrzeńcem.

Gdy Pollyanna zbyła to milczeniem, pan Pendleton ciągnął dalej po chwili ciszy.

— W gruncie rzeczy to bardzo miły chłopiec. Ja osobiście ogromnie go lubię. Posiada dużo dystynkcji i wrodzonego taktu. Ona świata za nim nie widzi. Ciekawe, co z tego będzie w przyszłości.

Znowu nastąpiło milczenie i nagle John Pendleton odezwał się zmienionym głosem:

— Dziwne jest także, że po raz drugi nie wyszła za mąż. Przecież to bardzo piękna kobieta, nie uważasz?

— Tak, naturalnie — mruknęła Pollyanna, myśląc o czymś innym. — Rzeczywiście bardzo ładna.

Przy ostatnich słowach głos Pollyanny załamał się nieco. Spojrzała w pewnej chwili na odbicie własnej twarzy w lustrze i pomyślała o tym, że jej chyba nikt nie mógł nazwać „piękną dziewczyną”.

John Pendleton śledził za biegiem własnych myśli, zadowolony z siebie, obserwując z zajęciem tańczące płomienie. Nie czekał właściwie na odpowiedź ze strony Pollyanny, wszystko mu było jedno. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, czy Pollyanna go słucha. Po prostu miał ochotę mówić, a w pewnej chwili całkiem nieoczekiwanie wstał i pożegnał się.

Pollyanna już od pół godziny tęskniła za tą chwilą pożegnania. Pragnęła nade wszystkim w świecie pozostać sama, lecz gdy poszedł, zapagnęła go znowu zobaczyć. Uświadomiła sobie, że nieprzyjemnie jej było pozostać teraz sam na sam z własnymi myślami.

Sytuacja wydała jej się zupełnie jasna. Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że Jimmy był zakochany w pani Carew. Właśnie dlatego był taki ponury i niespokojny po jej wyjeździe. I dlatego pewno tak rzadko przychodził w odwiedziny do swej dawnej przyjaciółki Pollyanny. Dlatego...

Najdrobniejsze zdarzenia ostatniego lata utrwały się teraz w pamięci Pollyanny, zdarzenia, które mogły najlepiej świadczyć o tym, co było.

Dlaczego właściwie miałby jej nie kochać? Przecież pani Carew była naprawdę piękna i posiadała mnóstwo uroku. Prawda, że była starsza od Jimmy’ego, ale młodzi chłopcy często żenią się z kobietami o wiele od siebie starszymi. A tym bardziej, jeżeli je kochają...

Pollyanna tej nocy długo, bardzo długo płakała.

Rano postanowiła spojrzeć sytuacji w oczy. Postanowiła nawet z bladym uśmiechem przypomnieć sobie swą grę w zadowolenie. Przypomniała sobie również słowa wypowiedziane przez Nancy kilka lat temu: „Gdyby wszyscy ludzie na świecie przejęli się twoją grą w zadowolenie, nie byłoby nawet poważniejszych małżeństw!”.

„Na szczęście my nie jesteśmy »poważnieni«, a co najważniejsze, nie jesteśmy i nie będziemy »małżeństwem« — myślała Pollyanna, rumieniąc się mimo woli. — Ale cóż ja mam z tego, że on jest zadowolony, skoro ja zadowolona być nie mogę...” — w tej chwili przyłapała się na tej myśli i zmartwiona opuściła głowę, bo doszła do wniosku, że już sama nie potrafi grać w tę grę, którą innych ludzi potrafiła tak uszczęśliwić.

Uświadomiwszy sobie dokładnie, że Jimmy i pani Carew kochają się naprawdę, Pollyanna coraz bardziej umacniała się w tym mniemaniu. Myśląc o tym ostatnio prawie stale, doszła do wniosku, że właściwie powinna się była tego spodziewać. Najlepszym dowodem były listy pani Carew.

„Bardzo często widuję twego przyjaciela, młodego Pendletona — pisała pani Carew w jednym ze swoich listów — i przyznam, że coraz bardziej go lubię. Nie mogę jednak otrząsnąć się z podświadomego wrażenia, że kiedyś dawno musiałam go gdzieś widzieć”.

I tak we wszystkich listach wspominała o nim, a te właśnie, nic nieznaczące zdania sprawiały najdotkliwszy ból Pollyannie, bowiem świadczyły one o tym, że tylko obecność Jimmy’ego jest dla pani Carew rzeczą ważną i dodaje jej otuchy. Z innych źródeł również Pollyanna miała możliwość zorientować się, że podejrzenia jej były słuszne. Coraz częściej John Pendleton w rozmowach swoich wspominał o Jimmym i o tym, co Jimmy robi. Oczywiście zawsze w takich wypadkach była mowa również o pani Carew. Biedna Pollyanna niejednokrotnie zastanawiała się nad tym, czy John Pendleton nie znajduje już innego tematu i czy myśli jego zajęte muszą być ustawicznie tylko tymi dwiema osobami.

W listach Sadie Dean także była mowa o Jimmym i o tym, jak wiele pomaga on pani Carew. Nawet Jamie, który pisywał dość rzadko, w każdym niemal liście wspominał o młodym Pendletonie. Pewnego wieczoru pisał:

„Jest teraz dziesiąta. Siedzę sam i czekam powrotu pani Carew. Obydwoje z Pendletonem poszli na jakieś tygodniowe zebranie”.

Tylko od samego Jimmy’ego Pollyanna nie otrzymywała prawie wcale wiadomości, co utwierdzało ją w przekonaniu, że musiał się czuć szczęśliwy.

„Pragnąłby pisać jedynie o niej, a prawdopodobnie krępuje się i dlatego wcale nie pisze!” — tłumaczyła sobie, wzdychając.

ROZDZIAŁ XXVII. DZIEŃ, W KTÓRYM POLLYANNA NIE GRAŁA W ZADOWOLENIE

Zimowe dni mijały szybko. Styczeń i luty przyniosły z sobą mnóstwo śniegu, natomiast marzec powiał pierwszym tchnieniem wiosny, zwiastując szybko powracające ciepło.

Pollyanna podczas owych miesięcy nie była zbyt nastrojona do gry w zadowolenie, mimo to grała w nią stale, postanawiając jak najdłużej wytrwać. Ciotka Polly w grze tej nie przyjmowała udziału, co oczywiście utrudniało tylko sytuację Pollyanny. Ciotka Polly była stale nadąsana, niechętna i przygnębiona. Czuła się i fizycznie niezbyt dobrze, co wpływało jeszcze bardziej na jej zły nastrój.

Pollyanna ciągle jeszcze liczyła na zdobycie nagrody. Zrezygnowała już wprawdzie z pierwszego miejsca, pocieszając się jednak, że przypadnie jej któraś z mniejszych nagród. Od owego dnia, kiedy wysłała swą pierwszą nowelę, napisała już kilka następnych i wysłała je również, lecz wszystkie one prawie wróciły z odmowną odpowiedzią redakcji, dzięki czemu wiara Pollyanny w odniesienie jakiegokolwiek sukcesu chwiała się coraz bardziej.

— Całe szczęście, że ciotka Polly nic nie wie o tym — pocieszała się, gniotąc niecierpliwie w rękach jeden z listów „odmownych”, który, mówiąc szczerze, sprawił jej wiele przykrości. — Biedaczka, nie może się chociaż martwić, bo nie wie o niczym!

Ostatni okres życia Pollyanny poświęcony był wyłącznie ciotce Polly, chociaż pani Chilton nie zdawała sobie absolutnie sprawy z tego, że siostrzenica tylko o niej myśli i wszystko robi tylko dla jej dobra.

Był wyjątkowo ponury dzień marcowy, gdy sytuacja osiągnęła punkt kulminacyjny. Pollyanna, obudziwszy się, spojrzała z westchnieniem w niebo, bo ciotka Polly przy pochmurnej pogodzie czuła się zazwyczaj jeszcze gorzej. Nucąc jednak jakąś wesołą piosenkę, Pollyanna pobiegła do kuchni i zajęła się przygotowywaniem śniadania.

— Muszę koniecznie zrobić kukurydziane placki — szeptała do siebie — to może ciotce Polly humor się trochę poprawi i na inne rzeczy nie będzie zwracała uwagi.

W pół godziny później pukala już do drzwi sypialni pani Chilton.

— Już wstałaś, cioteczko? Ach, to doskonale! Sama się nawet uczesałaś dzisiaj?

— Nie mogłam spać absolutnie, więc wolałam podnieść się — westchnęła ciotka Polly niechętnie. — Uczesałam się sama, bo ciebie tu nie było.

— Ależ ja nie przypuszczałam, że ty tak wcześniej będziesz gotowa — tłumaczyła się ze skruchą Pollyanna. — Mniejsza o to jednak. Zrobiłam ci dzisiaj niespodziankę.

— Żadna niespodzianka w takim dniu nie może mnie ucieszyć — zmarszczyła brwi ciotka Polly. — Któż mógłby być zadowolony w taką pogodę? Spójrz, jaki deszcz pada! To już trzeci deszczowy dzień w tym tygodniu.

— Masz słuszność, ale wiesz, że słońce nigdy nie wydaje się takie jasne, jak wtedy, kiedy zabyśnie po kilku deszczowych dniach — uśmiechnęła się Pollyanna, zawiązując zręcznie czarną aksamitkę na szyi ciotki. — Chodźmy już. Śniadanie gotowe. Zdziwiwsz się, jak zobaczysz, co dla ciebie przygotowałam.

Ponurej twarzy ciotki Polly nie zdołały jednak rozchmurzyć nawet kukurydziane placki. Z niczego nie była zadowolona, wszystko wydawało jej się okropne i czuła się tego dnia szkaradnie. Pollyanna powoli traciła cierpliwość, nim jeszcze śniadanie dobiegło końca. Na domiar wszystkiego, dach na oszklonej werandzie przeciekał i poranna poczta przyniosła jakiś wybitnie nieprzyjemny list. Pollyanna robiła, co mogła. Śmiejąc się, oświadczyła, że ona ze swej strony bardzo się cieszy, iż dach przecieka, a co do tego listu, to woli, że nadszedł dzisiaj, niż gdyby miał nadejść dopiero za kilka dni. W każdym razie nieprzyjemna wiadomość należy już w tej chwili do przeszłości, a najgorzej jest wówczas, gdy się coś przykrego ma w najbliższej perspektywie.

Tłumaczenia te zajęły jej prawie cały ranek do południa i wreszcie ciotka Polly, uspokojona nieco, spojrzała niecierpliwie na zegar.

— Ale to już pół do czwartej, Pollyanno! Czy wiesz o tym? — zawołała nagle. — A ty jeszcze nawet łóżek nie posłałaś.

— Nie, cioteczko, ale pościelę. Nie martw się.

— Czy nie słyszałaś, co powiedziałam? Spójrz na zegar, moje dziecko. Przecież to już dawno po trzeciej!

— Nie ma nieszczęścia, cioteczko. Powinniśmy się cieszyć, że nie minęła jeszcze czwarta.

Ciotka Polly machnęła niecierpliwie ręką.

— Tylko ty z takich rzeczy potrafisz się cieszyć — mruknęła z przekąsem.

Pollyanna wybuchnęła śmiechem.

— Bo widzisz, ciociu, zegary są niezwykle usłużne, szczególnie wtedy, kiedy się przestaje na nie liczyć. Do wniosku tego doszłam już bardzo dawno, jeszcze za czasów pobytu w sanatorium. Gdy robiłam coś, co mi sprawiało przyjemność i nie chciałam, żeby czas zbyt szybko mijał, spoglądałam na zegarek na ręku i przekonywałam się, że wskazówki posuwają się bardzo wolno. Innym znów razem, gdy robiono mi jakiś bolesny zabieg w lecznicy, spoglądając na zegarek, usiłowałam tylko patrzeć na sekundnik, który posuwał się szalenie prędko. Rozumiesz teraz, jakie usługi potrafi nam oddawać zegar — mruknęła figlarnie w stronę siedzącej na fotelu opiekunki i wybiegła z pokoju, zanim ciotka Polly zdążyła coś na to odpowiedzieć.

Dzień ten był wyjątkowo wyczerpujący i Pollyanna wieczorem miała twarzyczkę jeszcze bledszą niż zwykle. Ta jej bledłość i zmęczenie stały się jeszcze jednym źródłem zmartwienia dla ciotki Polly.

— Dziecko kochane, przecież ty wyglądasz okropnie! — narzekała pani Chilton. — Co my właściwie dalej będziemy robić, nie mam pojęcia. Gotowaś²⁹ się jeszcze rozchorować!

— Głupstwo, droga ciociu! Jak dotychczas, czuję się doskonale — zapewniała ją Pollyanna, opadając z westchnieniem na kanapę. — Jestem tylko trochę zmęczona. Ach, jakie te poduszki miękkie! Przyjemnie jednak po takim zmęczeniu móc się położyć i wypocząć.

— Przyjemnie, przyjemnie, przyjemnie! Tobie zawsze jest przyjemnie, Pollyanno. Zawsze masz powód do radości. Jeszcze takiej dziewczyny nigdy w życiu nie widziałam. Ach, tak, ja wiem, że to ta twoja gra — ciągnęła dalej, odpowiadając na pełen wyrzutu wzrok Pollyanny. — Doskonała gra, przyznaję, ale przecież wszystko musi mieć swoje granice. Ta nieśmiertelna dewiza, że „mogło być jeszcze gorzej”, działa mi po prostu na nerwy. Byłoby mi o wiele lżej na sercu, gdybyś ty choć raz w życiu była z czegoś niezadowolona!

— Jak to, ciociu? — oburzyła się Pollyanna.

— No tak, to zupełnie zrozumiałe. Mogłabyś kiedyś spróbować, to byś się sama przekonała.

— Ależ, ciociu, ja... — Pollyanna umilkła, spoglądając na ciotkę ze zdziwieniem. Błady uśmiech zamajaczył na jej ustach. Pani Chilton, nie zwracając na nią uwagi, pochyliła się znowu nad swoją robótką, a Pollyanna opadła na poduszki kanapy, nie kończąc rozpoczętego zdania, tylko uśmiechając się do samej siebie tajemniczo.

Deszcz padał znowu, gdy obudziła się następnego ranka, a północny wiatr wyl od czasu do czasu w kominie. Stojąc przy oknie, Pollyanna mimo woli westchnęła, lecz prawie natychmiast twarzyczka jej rozjaśniła się pod wpływem jakiejś myśli.

— Ach, naprawdę, jestem zadowolona... — klasnęła w dłonie. — Mój Boże — wyszeptała cicho, błędząc wzrokiem po mglistym krajobrazie. — Powinnam zapomnieć, powinnam, bo to mi przecież psuje wszystko! Powinnam pamiętać, że nie wolno mi się z niczego cieszyć, z niczego, przynajmniej w dniu dzisiejszym.

Tego ranka Pollyanna nie usmażyła już placków kukurydzianych, przygotowała tylko najłatwiejsze śniadanie i wolnym krokiem udała się do pokoju ciotki.

Panią Chilton zastała jeszcze w łóżku.

²⁹gotowaś — skrót od: gotowa jesteś. [przypis edytorski]

— Widzę, że pada, jak zwykle — zauważyła ciotka Polly na powitanie.

— Pogoda jest okropna, po prostu niemożliwa — jęknęła Pollyanna. — Dzisiaj deszcz pada jeszcze większy niż wczoraj. Nienawidzę takiej pogody.

Ciotka Polly zwróciła się ku wychowawcy z wyrazem zdziwienia w oczach, lecz Pollyanna usiłowała nie patrzeć na nią w tej chwili.

— Masz zamiar teraz wstać? — zapytała zmęczonym głosem.

— Jak to, naturalnie — wyszeptła pani Chilton, jeszcze ciągle wyraźnie zdziwiona. — Co ci się stało, Pollyanno? Jesteś dzisiaj bardzo zmęczona?

— Tak, wyjątkowo. Nie mogłam spać, a strasznie nie lubię bezsennych nocy. Jak się w nocy nie śpi, przychodzi człowiekowi do głowy najbardziej przykre myśli.

— Ja najwięcej mogę o tym powiedzieć — mruknęła ciotka Polly. — Zazwyczaj śpiam tylko do drugiej, a później nawet oka zmrużyć nie mogę. A co będzie z tym dachem? Jak go naprawimy, skoro deszcz nie przestaje padać?

— Ach, tak, i ja o tym myślałam. Zauważyłam dzisiaj, że w dachu zrobiła się nowa szczelina.

— Jeszcze jedna? To już woda łąć się będzie strumieniami!

Pollyanna otworzyła usta. Miała już ochotę powiedzieć: „Powinnyśmy być zadowolone, że zima już niedługo potrwa”, gdy nagle przypomniała sobie swoje postanowienie, opanowała się i wyszeptła bezdźwięcznym głosem:

— Będzie coraz gorzej, ciociu. Ten deszcz chyba nigdy nie przestanie padać. Cała podłoga na werandzie zamoknie i nie będzie jej można nigdy doprowadzić do porządku. Naprawdę, mam już tego wszystkiego dosyć! — Z tym oświadczeniem Pollyanna leniwie wyszła z pokoju.

— Takie to zabawne, a takie trudne jednocześnie. Boję się, że zabrnę za daleko — szeptała do siebie niespokojnie, biegnąc na dół do kuchni.

Po jej wyjściu ciotka Polly, leżąc w łóżku, była coraz bardziej zdziwiona.

Przed szóstą wieczorem miała okazję raz pytająco spojrzeć na Pollyannę. Stanowczo z tą dziewczyną było coś nie w porządku. Na kominku się nie paliło, wiatr dmuchał po wszystkich pokojach, a w dachu oszklonej werandy dostrzeżono jeszcze jedną szczelinę. Poczta przyniosła Pollyannie list, który doprowadził ją do płaczu i żadne perswazje ciotki Polly nie mogły jej uspokoić. Nawet obiad się nie udał, a całe mnóstwo szczegółów po południu zdołało wyprowadzić Pollyannę z równowagi. Dopiero wieczorem ciotka Polly zaczęła coś rozumieć. Jeżeli Pollyanna orientowała się w sytuacji, to absolutnie nie dawała poznać tego po sobie. Nie przestawała być nachmurzona i niezadowolona. Dopiero po szóstej ciotka Polly utwierdziła się w swoim mniemaniu i zaczęła z zaciekawieniem zasympywać siostrzenicę gradem różnorodnych pytań. I co najdziwniejsze, w oczach starszej damy wyraz zdziwienia ustąpił miejsca figlarnemu płomykowi wesołości.

Wreszcie po kilku zamienionych obojętnych słowach, ciotka Polly wyciągnęła do Pollyanny rękę z udaną rozpaczą.

— Już dosyć, już dosyć tego, moje dziecko! Kapituluję na całej linii. Przyznaję się, że zostałam przez ciebie pokonana. Możesz być nadal zadowolona, jeżeli już tak chcesz koniecznie — zakończyła z uśmiechem.

— Dobrze, ciociu, ale sama mówiłaś... — wyszeptła nieśmiało Pollyanna.

— Tak, tak, obiecuję ci jednak, że więcej tego mówić nie będę — przerwała ciotka Polly. — Pomyśl, jaki to był okropny dzień; drugiego takiego nie chciałabym przeżyć. — Zawahała się, rumieniec wystąpił na jej policzki, po czym z wyraźnym wysiłkiem ciągnęła dalej: — Poza tym chciałabym przekonać cię, że doskonale wszystko rozumiem i że ostatnio sama usiłowałam grać w twoją grę, chociaż mi się to dziwnie nie udawało. Ale teraz będę się starała... Gdzie jest moja chusteczka? — dorzuciła ostro, szukając chustki w fałdach swej sukni.

Pollyanna zerwała się z krzesła i podbiegła do ciotki.

— Ach, ciociu Polly, ja nic złego nie chciałam... to był tylko żart — szeptała zrozpaczona. — Nigdy nie sądziłam, że aż tak głęboko weźmiesz sobie moje postępowanie do serca.

— Wiem, że nic złego nie chciałaś — rzuciła ciotka Polly, usiłując ukryć swe wzruszenie. — Wiem, że nie byłaś przygotowana na to. Ale dałaś mi dobrą naukę, która mi się na przyszłość bardzo przyda...

W tej chwili ciotka Polly rozpląkała się i nie dokończyła rozpoczętego zdania, bo już się znalazła w silnych, kochających objęciach Pollyanny.

ROZDZIAŁ XXVIII. JIMMY I JAMIE

Nie tylko dla Pollyanny zima ta była taka ciężka do przetrwania. Przebywający w Bostonie Jimmy Pendleton, mimo wielu zajęć, które zajmowały mu czas i myśli, coraz bardziej przekonywał się, że nic mu nie może zastąpić widoku pewnej pary błękitnych, roześmianych oczu, srebrzystego śmiechu i wesołego, dźwięcznego głosiku.

Mówił sobie, że gdyby nie pani Carew i nie świadomość, że może jej w czymkolwiek pomóc, życie nie przedstawiałoby dlań żadnej wartości. Ale przy pani Carew także nie był zupełnie spokojny, bo towarzyszył jej zazwyczaj Jamie, a Jamie naprowadzał myśli o Pollyannie, myśli przykre i ponure.

Będąc przekonany, że Jamie i Pollyanna kochają się od wielu lat i wmawiając sobie, że nie powinien zagradzać im drogi do przyszłego szczęścia, postanowił zachować się najzupełniej biernie. O Pollyannie wolał nie mówić i nie słyszeć. Wiedział, że zarówno Jamie, jak i pani Carew otrzymują od niej wiadomości i gdy dzielili się z nim tymi wiadomościami, usiłował słuchać uważnie, choć sprawiały mu one dotkliwy ból. Przeważnie jednak starał się możliwie najszybciej zmieniać temat rozmowy, a jeżeli kiedykolwiek zdecydował się napisać do Pollyanny, to zazwyczaj listy te były bardzo obojętne i bardzo krótkie. Bo skoro Pollyanna nie miała nigdy należeć do niego, więc była jedynie źródłem jego bólu i przykrości. Najchętniej pozostawał teraz w Bostonie, starając się nie zaglądać do Beldingsville, gdyż przebywanie tak blisko Pollyanny, która była dlań jednocześnie tak daleka, stało się obecnie torturą nie do zniesienia.

Będąc w Bostonie, usiłował realizować wszystkie śmiałe plany pani Carew, poświęcając temu każdą wolną chwilę, co panią Carew dziwiło czasami, lecz w gruncie rzeczy radowało.

W ten sposób minęła zima i nastala wiosna, złocista, słoneczna wiosna, której Jimmy nawet nie zauważył. Dla niego na świecie nic się nie zmieniło, wszędzie było mglisto i bezbarwnie.

— Żeby chociaż tę sprawę raz załatwili i ogłosili zaręczyny — mruczał do siebie, bardziej jeszcze zdenerwowany podczas ostatnich dni. — Żeby chociaż wiedział coś na pewno, może by mi wtedy było trochę lżej.

Istotnie, pewnego dnia przy końcu kwietnia życzenie jego spełniło się, przynajmniej częściowo. Dowiedział się „czegoś na pewno”.

O dziesiątej rano w niedzielę Mary, pokojówka pani Carew, wprowadziła go do muzycznego salonu, mówiąc:

— Natychmiast zamelduj pana pani Carew, *sir*. Zdaje się, że od dawna już na pana czeka.

W salonie muzycznym Jimmy zastał Jamiego, siedzącego przy pianinie z głową wspartą na rękach. Młody Pendleton chciał już cofnąć się niepostrzeżenie, gdy nagle młodzieniec siedzący przy pianinie podniósł głowę, odsłaniając zaczerwioną twarz i parę płonących gorączkowo oczu.

— Dzień dobry, Carew — wybąkał przybyły. — Czy się coś stało?

— Stało! stało! — wybuchnął Jamie, wymachując rękami. W jednej z nich trzymał otwarty list. — Źle się stało! Jestem ciekawy, jak ty byś się czuł, gdybyś był w więzieniu i nagle ujrzał przed sobą szeroko otwartą bramę? Takiego samego uczucia doznaje człowiek w chwili, gdy nareszcie może ukochanej dziewczynie zaproponować małżeństwo. I ty nie byłbyś lepszy na moim miejscu. Słuchaj, sądzisz, że zwariowałem, ale tak nie jest. Chociaż możliwe, że postradałem zmysły z radości. Chętnie ci to wszystko opowiem. Posłuchasz? Muszę koniecznie komuś o tym powiedzieć!

Młody Pendleton podniósł głowę. Czuł się teraz tak, jakby go ktoś uderzył tępym narzędziem. Twarz mu pobladła, lecz głos miał spokojny, gdy odpowiedział:

— Oczywiście, opowiedz, drogi przyjacielu. Bardzo chętnie posłucham.

Carew jednak nie czekał na zachętę. Poprawił się na krześle, jeszcze trochę onieśmielony.

— Oczywiście dla ciebie nie ma to żadnego znaczenia. Masz zdrowe nogi i jesteś wolny. Posiadasz swoje ambicje i będziesz budował mosty. Ale dla mnie to jest wszystkim.

Otwiera się przede mną perspektywa normalnego ludzkiego życia, może nawet normalnej pracy. Dla mnie to jest coś. To coś przekonało mnie, że jestem komuś potrzebny! Słuchaj. W liście tym donoszą mi, że nowela napisana przeze mnie zdobyła pierwszą nagrodę w wysokości trzech tysięcy dolarów. W tym drugim liście wielka firma wydawnicza zaakceptowała z entuzjazmem moją pierwszą książkę do druku. I obydwa te listy nadeszły dzisiaj rano. Dziwisz się teraz, że oszalałem z radości?

— Nie! Oczywiście, że nie. Winszuję ci serdecznie, Carew, winszuję ci z całego serca — zawołał Jimmy gorąco.

— Dziękuję, masz czego mi winszować. Pomyśl, czym to jest dla mnie. Pomyśl, jak się będę czuł, gdy stanę się niezależny, jak każdy normalny mężczyzna. Pomyśl, jak się będę czuł, gdy pewnego dnia pani Carew będzie mogła wreszcie być ze mnie dumna. Pomyśl, jakie to będzie miało dla mnie znaczenie, gdy będę wreszcie mógł wyznać miłość ukochanej dziewczynie!

— Tak, tak, istotnie, drogi chłopcze! — szeptął Jimmy, blednąc coraz bardziej.

— Chociaż możliwe, że tego ostatniego nawet i teraz nie powinienem robić — zastanowił się Jamie, posępniejąc nagle. — Jestem przecież do tego przykuty — wskazał kule oparte o pianino. — Nie mogę zapomnieć tego ostatniego dnia na wycieczce, gdy ujrzałem Pollyannę... Przekonałem się wówczas, że nigdy nie będę miał możliwości pobiec na ratunek kobiety, gdy ta znajdować się będzie w niebezpieczeństwie.

— Ależ, ależ Carew — zaczął szeptem Jimmy.

Carew podniósł w górę rękę.

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie mów lepiej. I tak tego nie zrozumiesz. Ty przecież nie jesteś przykuty do dwóch martwych kijów. Ty zawsze możesz sobie na wszystko pozwolić. Niejednokrotnie zastanawiałem się nad tym, jak to będzie w przyszłości ze mną i... z Sadie. Będę musiał patrzeć spokojnie, jak inni...

— Sadie! — zawołał oszołomiony Jimmy.

— Tak, tak, Sadie Dean. Jesteś zdziwiony. Czyż nie wiedziałeś o tym? Czyż nie domyślałeś się moich uczuć względem Sadie? — zawołał Jamie. — Czyż tak bardzo je ukrywałem? Starałem się nawet o to, ale... — nie dokończył, uśmiechając się blado i czyniąc jakiś rozpaczliwy gest.

— Istotnie, ukrywałeś się świetnie, mój drogi, przynajmniej przede mną — wybuchnął Jimmy, rumieniąc się mimo woli. Czy jego zabłysły radością. — Więc tu idzie o Sadie Dean? Cudownie! Winszuję ci po raz drugi i naprawdę ogromnie się cieszę. — Jimmy szalał teraz z radości i podniecenia, tak nadzwyczajne wydało mu się to odkrycie, że Jamie nie Pollyannę kochał, lecz Sadie. W pewnej chwili Jamie potrząsnął głową ze smutkiem.

— Na ten temat nie masz mi jeszcze czego winszować, bo wiesz przecież, że jeszcze z nią nie mówiłem. Przypuszczam jednak, że Sadie się domyśla. Sądziłem, że wszyscy o tym wiedzą. Słuchaj, a kogo ty miałeś na myśli, jeżeli nie Sadie?

Jimmy zawahał się, po czym trochę nieśmiało wyszeptał:

— Miałem na myśli Pollyannę.

Jamie uśmiechnął się i wyduł wargi.

— Pollyanna to wspaniała dziewczyna, bardzo ją lubię, ale uczucie moje jest wybitnie braterskie. Zresztą, mam wrażenie, że zajęta jest całkiem kimś innym. Co ty na to?

Młody Pendleton zarumienił się jak mały uczeń.

— Tak sądzisz? — zawołał, usiłując nadać swemu głosowi brzmienie zupełnie naturalne.

— Oczywiście. Zajęta jest Johnem Pendletonem.

— Johnem Pendletonem? — Jimmy zachwiał się.

— Kto mówi o Johnie Pendletonie? — zapytał nagle jakiś głos i ujrzeli przed sobą uśmiechniętą panią Carew.

Jimmy, przed którym świat w ciągu pięciu minut zapadł się w gruzy, zmusił się teraz do grzecznego powitalnego ukłonu. Lecz Jamie, nie orientując się w sytuacji, miał minę zupełnie swobodną.

— Nic, tylko właśnie mówiłem, że zdaje mi się, iż John Pendleton mógłby nam coś bliższego powiedzieć o tym, w kim jest zakochana Pollyanna.

— Pollyanna! John Pendleton! — pani Carew ociężała usiadła na krześle. Gdyby ci dwaj młodzieńcy nie byli w tej chwili tak bardzo zaabsorbowani własnymi sprawami, dostrzegliby z pewnością nagle bladłość na twarzy pani Carew i dziwny wyraz przerażenia w jej oczach.

— Naturalnie — upierał się Jamie. — Czyż wy wszyscy nic nie widzicie? Czy byliście ślepi ostatniego lata? Przecież Pollyanna stała przebywała w jego towarzystwie.

— Mam wrażenie, że i nam dotrzymywała towarzystwa — wyszeptła pani Carew nieśmiało.

— Ale nie tak często, jak jemu — nie ustępował Jamie. — Zresztą, nie pamiętacie, gdy owego dnia mówiliśmy o małżeństwie Johna Pendletona, jak Pollyanna zarumieniła się i powiedziała nam, że kiedyś miał zamiar się ożenić? Wtedy przyszło mi na myśl, że musi coś być między nimi. Nie pamiętacie tej rozmowy?

— Tak, teraz, kiedy mówisz o tym, przypominam sobie — wyszeptła znowu pani Carew — ale zupełnie o tej rozmowie zapomniałam.

— Ja bym sobie to inaczej tłumaczył — wtrącił Jimmy, zwilżając językiem wyschnięte wargi. — John Pendleton istotnie kiedyś był zakochany, ale w matce Pollyanny.

— W matce Pollyanny! — zawołały dwa głosy jednocześnie.

— Tak. Kochał ją przed wielu laty, lecz ona nie odwzajemniła mu tego uczucia, o ile się nie mylę. Kochała się kiedyś w kimś innym, w pastora, i poślubiła go. Był to ojciec Pollyanny.

— Ach! — odetchnęła głęboko pani Carew, poprawiając się na krześle. — I dlatego właśnie więcej się nie ożenił?

— Tak — odparł Jimmy. — Widzicie więc państwo, że trudno go posądzać o miłość do Pollyanny. Kochał naprawdę jej matkę.

— Przeciwnie, mam wrażenie, że to posiada z sobą pewien związek — oświadczył Jamie, kiwając w zadumie głową. — Utwierdza to mnie jeszcze bardziej w tym mniemaniu. Pomyślcie. Kochał kiedyś jej matkę, nie mógł jej zdobyć, teraz byłoby całkiem naturalne, gdyby zakochał się w córce i tym razem z wzajemnością.

— Ach, Jamie, ty niepoprawny zmyślaczu bajek! — zgromiła go pani Carew, śmiejąc się nerwowo. — Przecież to nie jest nowela, to życie realne. Pollyanna jest dla niego za młoda. Pan Pendleton powinien się ożenić z kobietą, a nie z dzieckiem, to znaczy, powinien się ożenić z kimś... — urwała nagle, usiłując swą myśl dokładniej wytłumaczyć.

— Możliwe, ale nie widzę tragedii, jeżeli się ożeni z dziewczyną, którą kocha — argumentował Jamie. — I naprawdę będzie wszystko w porządku. Czyż mieliśmy od niej jakiś list, w którym nie wspomniałaby o Pendletonie? A wiecie przecież, że on także we wszystkich swych listach pisze tylko o niej.

Pani Carew nagle wstała.

— Tak, wiem — wyszeptła, przestawiając nerwowo jakieś drobiazgi na stoliku. — Ale... — nie dokończyła rozpoczętego zdania i po chwili wyszła z pokoju.

Gdy wróciła po pięciu minutach, ku swemu wielkiemu zdziwieniu skonstatowała, że Jimmy już poszedł.

— Jak to, sądziłam, że wybiera się z nami na przyjęcie do dziewcząt! — zawołała.

— I ja tak myślałam — zmarszczył brwi Jamie. — Wytłumaczył mi jednak, że musi nagle wyjechać i że przyszedł tylko po to, aby panią przeprosić. Prawie bez pożegnania wyszedł. Właściwie — oczy Jamiego zapalały w tej chwili — nie wiem, co o tym myśleć, ale podejrzewam... Daje mi to wiele do myślenia. — Zapomniał jednak natychmiast o Jimmym i Pollyannie i położył przed panią Carew dwa listy, które mu przyniosła poranna poczta.

— Ach, Jamie! — zawołała pani Carew wzruszona po przeczytaniu listów. — Jaka ja jestem z ciebie dumna! — Oczy jej nabiegły łzami, gdy spojrzała na rozradowaną twarz swego wychowawca.

ROZDZIAŁ XXIX. JIMMY I JOHN

Na małej stacyjce w Beldingsville wysiadł tej samej soboty wieczorem wysoki młodzieniec o twarzy smutnej, lecz spokojnej. Twarz młodzieńca była jeszcze bardziej blada i smutna, gdy nazajutrz rano szedł większą uliczką w stronę dworku Harringtonów. Dostrzegłszy

z daleka tak dobrze znajomą twarzyczkę, otoczoną puklami jasnych włosów i znikającą wewnątrz altany, młodzieniec minął frontowe wejście i przez ogród ruszył śpiesznym krokiem, kierując się w stronę właścicielki tej uroczej twarzyczki.

— Jimmy! — zawołała Pollyanna, patrząc nań rozradowanym wzrokiem. — Skąd się tutaj wzięłeś?

— Z Bostonu. Przyjechałem wczoraj wieczorem. Chciałem się z tobą zobaczyć, Pollyanno.

— Zobaczyć? Ze mną? — Pollyanna z trudem opanowywała się w tej chwili. Jimmy był taki wysoki, silny i „kochany”, gdy stał tak w drzwiach altany letniej, że lękała się, iż gotów wyczytać w jej oczach ten pełen uwielbienia zachwyt.

— Tak, Pollyanno. Chciałem... to znaczy myślałem... sądziłem, ale bałem się... Ach, dajmy temu spokój, Pollyanno. Nie umiem się jakoś wysłowić. Przystąpię od razu do rzeczy. Widzisz, jest tak, że dotychczas stałem na uboczu, ale teraz nie mam najmniejszej ochoty. Mam już dosyć tej ciągłej niepewności. Przecież on nie jest taki chory, jak Jamie. Ma zdrowe ręce i nogi tak samo, jak ja i jeżeli ma coś zdobywać, to niech zdobywa walką. Uważam, że ja mam takie same prawa!

Pollyanna była szczerze zdziwiona.

— Jimmy Pendletonie, wytłumacz mi, na miłość Boską, o czym mówisz? — zawołała.

Młodzieniec zaśmiał się bezczelnie.

— Nic dziwnego, że nie możesz mnie zrozumieć. Nie jestem zbyt elokwentny, prawda? Ale i tak stałem się odważny od wczoraj, gdy dowiedziałem się od samego Jamiego.

— Dowiedziałeś się od Jamiego?

— Tak. To wszystko dzięki tej nagrodzie, którą otrzymał. Bo widzisz, Jamie zdobył nagrodę i...

— Tak, o tym już wiem — przerwała gorączkowo Pollyanna. — Ależ czyż to nie było nadzwyczajne? Pomyśl, pierwsza nagroda i aż trzy tysiące dolarów! Wysłałam mu wczoraj wieczorem list. Jak zobaczyłam jego nazwisko i zorientowałam się, że to Jamie, nasz Jamie, byłam tak podniecona, że zupełnie zapomniałam szukać swojego nazwiska, a jak później mojego nie mogłam znaleźć, przyzwyczaiłam się już do tej myśli, że nie otrzymałam żadnej nagrody... chciałam powiedzieć, że byłam tak zadowolona, że o całym świecie zapomniałam — poprawiła się w ostatniej chwili, rzucając bezradne spojrzenie na twarz Jimmy'ego i usiłując zatuszować swój nieopatrzny wybuch.

Jimmy jednak był tak w tej chwili zajęty zagadnieniem, które jego nurtowało, że właściwie prawie nic nie słyszał z tego, co mówiła.

— Tak, tak, to naprawdę było wspaniałe. Strasznie się cieszę z tej nagrody. Ale właśnie, Pollyanno, Jamie powiedział mi później o tym, o czym chciałem z tobą pomówić. Widzisz, dotychczas myślałem, że on, że ty kochasz... że kochacie się wzajemnie i...

— Myślałeś, że ja i Jamie kochamy się! — zawołała Pollyanna i na twarzyczce jej pojawił się delikatny rumieniec. — Jak to, przecież Jamie kocha Sadie Dean. Zawsze ją kochał i ona go kochała. Niejednokrotnie opowiadał mi o niej całymi godzinami. Mam wrażenie, że i ona go darzy bardzo gorącym uczuciem.

— Doskonale, i ja mam nadzieję, ale dotychczas o tym nie wiedziałem. Myślałem, że Jamie kocha tylko ciebie, a ponieważ on jest taki nieszczęśliwy, to sądziłem, że nieładnie będzie z mojej strony, jeżeli będę chciał wejść mu w drogę.

Pollyanna pochyliła się nagle i podniosła z ziemi jakiś listek. Gdy wyprostowała się po chwili, twarz jej była już zupełnie spokojna.

— Widzisz, postanowiłem usunąć się na plan dalszy i pozostawić jemu wszelkie możliwości, chociaż mnie to bardzo bolało, moja mała dziewczynko. I dopiero wczoraj rano dowiedziałem się o wszystkim. Ale dowiedziałem się jeszcze o tym, co mi również nie sprawiło radości. Jamie mi powiedział, że jest ktoś, kim ty jesteś poważnie zajęta. Tym razem nie mam zamiaru ustępować, Pollyanno. Nie mam najmniejszego zamiaru, chociaż ten człowiek tak wiele dla mnie zrobił. John Pendleton jest dojrzałym mężczyzną, ma zdrowe ręce i zdrowe nogi, więc niech ze mną walczy. Jeżeli naprawdę go kochasz, jeżeli...

Lecz w oczach Pollyanny odmalowało się teraz zdumienie.

— John Pendleton! Jimmy, co ty wygadujesz? Co ty mówisz o Johnie Pendletonie?

Nieopisana radość przeistoczyła teraz twarz Jimmy'ego. Wyciągnął obydwie ręce.

— Więc to nieprawda, nieprawda? Widzę w twoich oczach, że go nie kochasz!

Pollyanna cofnęła się. Była blada i drżąca.

— Jimmy, co masz na myśli? Co chciałeś przez to powiedzieć? — szeptała błagalnie.

— Podejrzewałem, że jesteś zakochana w wuju Johnie, rozumiesz? Jamie jest przekonany o tym i jest pewny, że i wuj John cię kocha. Nic dziwnego, że i ja w to uwierzyłem. Przecież wuj John mówi tylko o tobie, a kiedyś podobno kochał się w twojej matce...

Z piersi Pollyanny dobył się głuchy szloch. Poblądła nagle twarz ukryła w dłoniach. Jimmy zbliżył się do niej i pieszczotliwie objął ją ramionami, Pollyanna jednak wyrwała się z jego objęć.

— Pollyanno, dziewczynko mała, daj spokój! Łamiesz mi serce — szeptał. — Czy naprawdę wcale mnie nie lubisz? A może kochasz mnie i nie chcesz mi o tym powiedzieć?

Odsłoniła twarz i spojrzała mu prosto w oczy. Patrzyła teraz lękliwie, jak zwierzątko umykające przed kulą myśliwego.

— Jimmy, więc ty sądzisz, że on właśnie żywi dla mnie takie uczucie? — wyszeptala przez zęby.

Jimmy niecierpliwie potrząsnął głową.

— Dajmy teraz temu spokój, Pollyanno. Pewności pod tym względem nie mam. Skąd mógłbym wiedzieć? Ale teraz nie mówmy o tym. Mówmy tylko o tobie. Jeżeli ty go nie kochasz i jeżeli zgodzisz się na to, żebym ja cię mógł kochać... — ujął jej dłoń i usiłował przyciągnąć do siebie.

— Nie, nie, Jimmy, ja nie powinnam! Nie mogę! — obydwoma rękami odepchnęła go od siebie.

— Pollyanno, to chyba nie znaczy, że jednak czujesz coś do niego? — wyszeptala Jimmy pobladłymi wargami.

— Nie, oczywiście, że nie w ten sposób — odparła niedosłyszalnie Pollyanna. — Ale czyż nie rozumiesz, że jeżeli on mnie kocha, ja powinnam także odwzajemnić mu się jakimś uczuciem?

— Pollyanno!

— Nie mów nic! Nie patrz tak na mnie, Jimmy!

— Więc gotowa byłabyś nawet zostać jego żoną, Pollyanno?

— Ach, nie! To znaczy... tak... oczywiście... przypuszczam, że tak — przyznała niepewnie.

Znowu zaszlochała głośno i znowu ukryła twarz w dłoniach. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło, aż wreszcie Pollyanna podniosła głowę i błagalnie spojrzała na Jimmy'ego.

— Ja wiem, wiem — wyszeptala. — Moje serce jest także złamane. Ale trudno. Mogę sobie i tobie zadać ból, lecz jemu mi nie wolno.

Jimmy spojrzał na nią. Oczy płonęły mu niesamowitym ogniem. Z głośnym okrzykiem radości schwycił Pollyannę w objęcia.

— Teraz już wiem, że mnie kochasz! — szepnął jej cichutko do ucha. — Powiedziałaś, że i sobie zadajesz ból. Czy sądzisz, że oddałbym cię teraz komukolwiek? Ach, ty tak mało znasz się na tych rzeczach, Pollyanno, powiedz, że mnie kochasz, niech usłyszę o tym z twoich własnych ust!

Przez dłuższą chwilę Pollyanna pozostawała w jego czułych objęciach, po czym z westchnieniem, które wyrażało jednocześnie radość i smutek, postanowiła się z uścisku wywobodzić.

— Tak, Jimmy, Kocham cię. — Ramiona Jimmy'ego zacisnęły się jeszcze mocniej i chciał ją znowu przytulić do siebie, lecz udaremniło ten jego zamiar pełne wyrzutu spojrzenie dziewczyny. — Kocham cię bardzo, ale nie mogłabym być z tobą nigdy szczęśliwa, wiedząc... Muszę najprzód mieć tę świadomość, że jestem zupełnie wolna.

— Głupstwa pleciesz, Pollyanno! Oczywiście, że jesteś wolna! — spojrzenie Jimmy'ego znowu posmutniało.

Pollyanna potrząsnęła głową.

— Nie jestem wolna, skoro ta świadomość wisi nade mną, Jimmy. Czyż nie rozumiesz? Przecież to moja matka przed laty złamała mi serce, moja rodzona matka. I przez ten czas żył samotnie, przez nikogo niekochany. Gdyby teraz przyszedł do mnie i zaproponował mi małżeństwo, nie mogłabym mu odmówić, Jimmy. Czy ty tego nie rozumiesz?

Ale Jimmy nie rozumiał, nie mógł zrozumieć. Nie rozumiał, chociaż Pollyanna prosiła i tłumaczyła mu długo, ze łzami w oczach. Pollyanna przy tym wszystkim była tak urocza, że Jimmy zamiast bólu i gniewu, odczuwał teraz dziwne zadowolenie.

— Jimmy — postanowiła wreszcie Pollyanna — musimy jeszcze poczekać. To jest wszystko, co mogę ci teraz powiedzieć. Miejmy nadzieję, że on mnie nie kocha, bo ja osobiście uwierzyć w to nie mogę. Chciałabym tylko mieć tę pewność. Zaczekamy jeszcze trochę i przekonamy się, Jimmy, musimy się przecież przekonać!

Propozycję tę Jimmy przyjął, chociaż w głębi duszy buntował się coraz bardziej.

— Dobrze, mała dziewczynko, niech będzie tak, jak sobie życzysz — zrezygnował. — Ale chyba nigdy dotąd nie było takiego wypadku, żeby mężczyzna czekał na odpowiedź dziewczyny, którą kocha z wzajemnością, żeby czekał na jej odpowiedź, bo ona musi się przekonać, czy przypadkiem ktoś inny jej nie kocha!

— To prawda, ale widzisz, najdroższy, trzeba się liczyć z tym, że ten inny kochał kiedyś jej matkę — westchnęła Pollyanna, odwracając twarzyczkę.

— Wobec tego wróć teraz do Bostonu, oczywiście — postanowił po namyśle Jimmy. — Ale niech ci się nie zdaje, że zrezygnowałem. Nie zrezygnuję dopóty, dopóki wiem, że mnie kochasz, moja mała dziewczynko — zakończył, patrząc na nią tak jakoś dziwnie, że teraz już z trudem wyswobodziła się z jego objęć.

ROZDZIAŁ XXX. JOHN PENDLETON WYJAŚNIA SYTUACJĘ

Jimmy wyjechał tego wieczoru do Bostonu w stanie najwyższego podniecenia, uszczęśliwiony i pełen nadziei. W Beldwingsville zostawił dziewczynę, która właściwie nie zdawała sobie jeszcze sprawy z obecnej sytuacji, bo istotnie Pollyanna uradowana świadomością, że Jimmy ją kocha, jednocześnie przerażona była, iż kocha ją również John Pendleton, a ta ostatnia możliwość byłaby przecież męką nie do zniesienia.

Na szczęście niewyjaśniona sytuacja trwała dość krótko, bo już w tydzień po wyjeździe Jimmy'ego John Pendleton przyszedł z wizytą i wypowiedział się całkiem jasno.

Było późne, czwartkowe popołudnie, gdy John Pendleton zjawił się przed Pollyanną. Tak samo jak Jimmy, zastał ją w ogrodzie, nie zaglądał więc zupełnie do wnętrza domu.

Spojrzawszy na jego twarz, Pollyanna uczuła przyspieszone bicie serca.

„Zbliża się, zbliża się ta najstraszniejsza chwila!” — zadrżała i miała w tej chwili ochotę uciec stąd jak najdalej.

— Ach, Pollyanno, zaczekaj chwilę — zawołał pan Pendleton, podbiegając do niej. — Właśnie z tobą chciałem się zobaczyć. Czy nie moglibyśmy wejść tam na chwilę? — zaproponował, wskazując altanę. — Chciałem z tobą o czymś pomówić.

— Ależ tak, naturalnie — wybąkała Pollyanna, siłąc się na wesołość. Zdawała sobie teraz sprawę, że twarzyczka jej spłonęła rumieńcem, a tak bardzo chciała tego uniknąć. Trudno, należało zgodzić się na wszystko, czego od niej żądał. Wolałaby do altany nie wchodzić, bo była ona dla niej jakby świątynią, przepelnioną najdroższymi wspomnieniami o Jimmym.

— I pomyśleć, że to właśnie tutaj się stało! — szeptała do siebie, lecz głośno zawołała z udaną swobodą: — Mamy dzisiaj piękny wieczór, nieprawdaż?

Nie było odpowiedzi. John Pendleton wszedł do altany i usiadł na jednym z koszykowych foteli, nie czekając nawet, aż Pollyanna również zajmie miejsce, co sprzeciwiało się jego wrodzonej kurtuazji. Rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na jego poważną twarz, Pollyanna omal nie wydała pełnego przerażenia okrzyku.

John Pendleton jeszcze ciągle nie zwracał na nią uwagi. Siedział chmurny, zatopiony w swych własnych myślach. Po chwili jednak podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę.

— Pollyanno.

— Słucham panie Pendleton.

— Czy pamiętasz, jakim człowiekiem byłem, gdyś mnie poznała przed kilku laty?

— Hm, tak, sądzę, że pamiętam.

— Potrafiłem poświęcać się dla innych ludzi, prawda?

Mimo przykrego nastroju Pollyanna uśmiechnęła się blado.

— Zawsze pana bardzo lubiłam, *sir*. — Dopiero po wypowiedzeniu tych słów zorientowała się, jakie dziwne brzmienie one posiadały. Chciała już nawet uczynić jakieś

sprostowanie, lecz doszła do wniosku, że i tak na nic by to się nie zdało. Oczekiwała z niecierpliwością tego, co miał teraz powiedzieć John Pendleton. Nie czekała zbyt długo.

— Wiem, żeś mnie lubiła, bo zawsze miałaś dobre serduszko! Twoja przyjaźń dodawała mi już wówczas otuchy. Nie potrafiłem ci okazać, Pollyanno, czym ta twoja dziecięca przyjaźń była dla mnie.

Miała ochotę zaprotestować, lecz dał jej znak, aby milczała.

— O tak, to było dawno! Oprócz ciebie nie miałem nikogo bliskiego na świecie. Ciekaw jestem, czy jeszcze jedno pamiętasz — szeptał po chwili milczenia, dostrzegłszy, że Pollyanna z tęsknotą patrzy w stronę drzwi. — Ciekaw jestem, czy pamiętasz, jak powiedziałem kiedyś, że tylko ręka kobieca lub obecność dziecka może mi stworzyć miłą atmosferę w domu.

Pollyanna uczuła, że krew nabiega jej do twarzy.

— Tak, nie... właściwie tak, przypominam sobie — zaczęła się jąkać. — Ale na pewno dzisiaj już pan tak nie myśli. Dzisiaj w swoim domu musi się pan czuć doskonale...

— Właśnie o tym moim domu pragnę z tobą pomówić, drogie dziecko — przerwał pan Pendleton niecierpliwie. — Wiesz, Pollyanno, jak sobie ten dom kiedyś wyobrażałem, jakie miałem nadzieje, i wiesz także, że nadzieje te się nie ziściły. Nie sądz, moja droga, że żywię jeszcze żal do twojej matki. Jestem daleki od tego. Poszła tylko za głosem swego serca i miała słuszność. Uczyniła lepszy może wybór, bo współżycie ze mną prawdopodobnie byłoby dla niej rozczarowaniem. I czyż dziwne jest, Pollyanno — dorzucił głosem drżącym — że właśnie córka tej ukochanej kobiety potrafiłaby wprowadzić mnie na drogę, którą mogę dojść do prawdziwego szczęścia?

Pollyanna nerwowo zagryzła wargi.

— Ależ, panie Pendleton, ja... ja...

I tym razem pan Pendleton dał jej znak, aby milczała.

— Tak, ty to uczyniłaś, Pollyanno, i twoja gra w zadowolenie.

— Ach! — Pollyanna wyraźnie odetchnęła z ulgą. Wyraz lęku przygasł w jej oczach.

— I w ciągu tych wszystkich lat powoli stawałem się innym człowiekiem, Pollyanno. Tylko jedno w moim życiu się nie zmieniło. — Umilkł na chwilę, po czym skierował smutne spojrzenie w jej stronę. Nie mogłem znaleźć ręki kobiecej, która by zmieniła atmosferę mego domu.

— Tak, ale dziecko pan znalazł — wtrąciła pośpiesznie Pollyanna, patrząc nań znowu z przestraszeniem. — Myślę w tej chwili o Jimmym.

Pan Pendleton zaśmiał się głośno.

— Wiem, ale zdajesz sobie przecież sprawę, że Jimmy już teraz nie jest dzieckiem — zauważył.

— Nie, oczywiście, że nie.

— Zresztą, Pollyanno, doszedłem do wniosku, że najbardziej potrzebna mi jest kobieca ręka i kobiece serce — głos załamał mu się w tej chwili i zadrżał dziwnie.

— Ach, istotnie? — zapytała coraz bardziej przerażona Pollyanna, załamując ukradkiem dłoń. John Pendleton zdawał się tego nie dostrzegać. Podniósł się teraz z fotelika i nerwowym krokiem biegał po altanie.

— Pollyanno — przystanął nagle i spojrzał na nią — gdyby... gdybyś ty była na moim miejscu i gdybyś miała zamiar zwrócić się do ukochanej kobiety z tą jedyną gorącą prośbą, aby weszła do twego domu, wnosząc doń trochę ciepła, jak byś się do tego zabrała?

Pollyanna zerwała się z miejsca. Spojrzenie jej skierowało się znowu w stronę drzwi, tym razem jeszcze bardziej tęskne i szczere.

— Ach, panie Pendleton, ja bym tego w ogóle nie potrafiła — zawołała z rozpaczą. — Jestem pewna, że mógłby pan być o wiele bardziej szczęśliwy niż... niż pan jest w tej chwili.

Pan Pendleton przystanął zdziwiony, po czym zaśmiał się ponuro.

— Na Boga, Pollyanno, czy ze mną jest aż tak źle? — zapytał.

— Źle? — Pollyanna szykowała się już do uciezki.

— Tak. Czy nie masz już dla mnie żadnych innych słów pociechy? Czy nie możesz sobie wyobrazić, jak by się ta kobieta powinna była zachować?

— Nie, nie, oczywiście. Z pewnością odpowiedziałaby „tak”, zgodziłaby się chętnie — zawołała Pollyanna, poważniejąc nagle. — Ale ja myślałam, myślałam... że gdyby ta dziewczyna na przykład nie kochała, to uważam, że później byłby pan szczęśliwszy bez niej i... — spojrzawszy w twarz Johna Pendletona, Pollyanna nie dokończyła.

— Ja bym jej wcale nie chciał, gdybym wiedział, że mnie nie kocha, Pollyanno.

— I ja tak przypuszczałam — Pollyanna czyniła teraz w duchu wyrzuty samej sobie.

— Zresztą, to wcale nie jest taka młoda dziewczyna — ciągnął dalej John Pendleton. — Kobieta, którą kocham, jest zupełnie dojrzała i prawdopodobnie zdaje sobie doskonale sprawę ze swych uczuć. — Głos pana Pendletona był teraz poważny i lekko drżący.

— Ach, ach! — zawołała Pollyanna i przestraszona w jej oczach ustąpił miejsca naglej radości. — Więc pan kocha... — miała zamiar dorzucić „kogoś innego”, lecz w samą porę zapanowała nad sobą.

— Czy kocham kogoś? Przecież ci przed chwilą o tym powiedziałem — zaśmiał się John Pendleton, przejęty nagle gniewem. — Chciałem jedynie wiedzieć, czy mogę liczyć na wzajemność z jej strony. Właśnie w tym wypadku sądziłem, że mi pomożesz, Pollyanno, bo widzisz, ona jest twoją bliską przyjaciółką.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się rozkosznie Pollyanna. — Jeżeli tak, to z pewnością pana pokocha. Już my ją do tego nakłonimy. Może nawet już teraz żywi dla pana gorące uczucie? A któż to taki?

Dłuższą chwilę trwało milczenie, zanim usłyszała odpowiedź.

— Trudno mi, Pollyanno, powiedzieć ci tak szczerze. Czyż nie możesz odgadnąć? Mam na myśli panią Carew.

— Ach! — wyszeptwała Pollyanna, jeszcze bardziej w tej chwili rozradowana. — Jakże to się cudownie składa! Jak ja się strasznie cieszę!

*

W godzinę później Pollyanna wysłała list do Jimmy’ego. List ten zawierał całe mnóstwo nielogiczności, z których Jimmy niewiele mógł zrozumieć. Właściwie zmuszony był czytać między wierszami. Ale czyż mu to przyszło z wielką trudnością?

„Ach, Jimmy, on mnie wcale nie kocha. Kocha kogoś zupełnie innego. Nie mogę ci zdradzić imienia tej kobiety, lecz zapewniam cię, że nie nazywa się ona Pollyanna”.

Jimmy tego wieczoru zdążył jeszcze na ostatni pociąg, odchodzący do Beldingsville.

ROZDZIAŁ XXXI. PO WIELU LATACH

Pollyanna była tak szczęśliwa tego wieczoru po wysłaniu listu do Jimmy’ego, że absolutnie nie mogła znieść swej samotności. Zazwyczaj przed udaniem się na spoczynek wchodziła jeszcze do pokoju ciotki, aby się dowiedzieć, czy pani Chilton czegoś nie potrzebuje. Dzisiaj, po zadaniu zwykłych pytań, zbliżyła się już do drzwi i miała zamiar zgasić światło, gdy nagle jakaś tajemnicza siła popchnęła ją z powrotem do łóżka ciotki. Z lekkim westchnieniem dziewczyna osunęła się na kolana.

— Ciociu Polly, jestem taka szczęśliwa, że muszę się tym szczęściem z kimś podzielić. Pragnę tobie opowiedzieć wszystko. Pozwolisz?

— Mnie opowiedzieć? Co mi masz do powiedzenia, moje dziecko? Oczywiście, że możesz. Czy to jakieś radosne wiadomości dla mnie?

— O tak, cioteczko, mam nadzieję, że tak — zarumieniła się Pollyanna. — Mam nadzieję, że będziesz choć trochę zadowolona ze względu na mnie. Oczywiście, Jimmy któregoś dnia sam ci o tym powie, ale ja pragnę go wyprzedzić.

— Jimmy! — twarz pani Chilton spochmurniała nagle.

— Tak, poprosi cię wtedy o moją rękę — wybąkała Pollyanna, rumieniąc się jeszcze bardziej. — Ach, taka jestem szczęśliwa, że się tą wiadomością mogłam z tobą podzielić!

— Poprosi mnie o twoją rękę? Pollyanno! — Pani Chilton uniosła się na łóżku. — Nie znaczy to chyba, że między tobą i Jimmy Beanem zaszło coś poważnego?

Pollyanna opuściła głowę z przerażeniem.

— Jak to, ciociu, sądziłam, że lubisz Jimmy’ego.

— Owszem, lubię go, ale nie jest on odpowiednim mężem dla mojej siostrzenicy.

— Ciociu Polly!

— Uspokój się, moje dziecko, nie patrz na mnie z takim lękiem. Wszystko to nie ma najmniejszego sensu i cieszę się, że mogę temu zapobiec teraz, kiedy nie jest jeszcze za późno.

— Właśnie, że jest bardzo późno, ciociu Polly — wyszeptwała nieśmiało Pollyanna. — Wiedz o tym, że ja się już nauczyłam kochać... lubić go serdecznie.

— To musisz się odczyścić, Pollyanno, bo ja nigdy nie wyrażę swojej zgody na twoje małżeństwo z Jimmym Beanem.

— Ale dlaczego, ciociu?

— Przede wszystkim dlatego, że my właściwie o nim nic nie wiemy.

— Jak to, ciociu Polly, przecież znam go od dziecka!

— Tak, a czymże on był? Podrzutkiem, który uciekł z sierocińca! Nie wiemy natomiast nic o jego krewnych i o jego rodzicach.

— Ale przecież ja nie wychodzę za mąż za jego krewnych!

Ze zniecierpliwioną miną ciotka Polly opadła z powrotem na poduszki.

— Pollyanno, widzę, że chcesz się stać przyczyną mojej choroby. Mam znowu bicie serca. Jestem pewna, że dzisiaj już przez całą noc oka nie zmruję. Czy nie mogłabyś tej sprawy pozostawić do jutra rana?

Pollyanna podniosła się z kolan z twarzyczką smutną, lecz spokojną.

— Ależ tak, oczywiście, ciociu Polly! Jestem pewna, że do jutra wszystko się zmieni, nawet twoje zapatrywania na tę sprawę. Jestem pewna, że jutro będziesz mówić inaczej — wyszeptwała drżącym głosem, gasząc światło i wychodząc z pokoju.

Lecz zapatrywania ciotki Polly nie zmieniły się nazajutrz rano. Przeciwnie, jeszcze goręcej oponowała przeciwko małżeństwu Pollyanny. Na próżno Pollyanna tłumaczyła i błagała. Na próżno przekonywała ciotkę o tym, że w małżeństwie z Jimmym znajdzie prawdziwe szczęście. Ciotka Polly była nieugięta. Nie chciała słyszeć o niczym. Plan małżeństwa Pollyanny uważała za herezję i ostrzegała dziewczynę o niebezpieczeństwie, jakie groziło jej, gdyby nawet na przekór opiekunce wyszła za mąż za człowieka pochodzącego z „nieznanej rodziny”. Widząc, że nie może przekonać Pollyanny, zaczęła się wreszcie odwoływać do obowiązków wdzięczności, jakie Pollyanna powinna mieć w stosunku do niej, powołując się na dawne lata dzieciństwa swej wychowanki. Dosłownie błagała, aby Pollyanna nie łamała jej serca swoim małżeństwem, jak uczyniła to kiedyś jej matka.

Gdy Jimmy radosny i szczęśliwy zjawił się o dziesiątej rano, zastał zapłakaną i drżącą Pollyannę, siedzącą w kąci przy oknie. Z poblądłą twarzą, otaczając ją jednak stęsknionymi ramionami, zażądał, aby mu wszystko wyjaśniła.

— Pollyanno, co to ma znaczyć?

— Ach, Jimmy, Jimmy, po cóż przyjechałeś? Miałam zamiar napisać do ciebie i wyznać ci wszystko otwarcie — jęczała Pollyanna.

— Przecież napisałaś do mnie wczoraj, kochanie. Otrzymałam list wczoraj wieczorem i zdążyłem jeszcze na ostatni pociąg.

— Nie, nie, ale chciałam napisać po raz drugi. Wtedy jeszcze nie wiedziałam o wszystkim. Nie wiedziałam, że nie będę mogła...

— Że nie będziesz mogła? Pollyanno — czy mu zapłonęły nagle — nie chcesz mi chyba powiedzieć, że jest jednak ktoś, kto cię kocha, i że pragniesz, abym dalej czekał? — mówił teraz z powagą, trzymając ją ciągle w objęciach.

— Nie, nie, Jimmy! Nie patrz tak na mnie. Ja tego nie zniosę.

— Więc powiedz mi jaśniej. Dlaczego nie możesz?

— Nie mogę zostać twoją żoną.

— Pollyanno, czy ty mnie nie kochasz?

— Tak, o tak!

— Wobec tego musisz mnie poślubić — zawołał z triumfem Jimmy, przytulając ją jeszcze mocniej do siebie.

— Nie, nie, Jimmy, ty tego nie rozumiesz. Tu idzie o... ciotkę Polly — wyszeptwała z trudem Pollyanna.

— O ciotkę Polly?

— Tak. Ona mi nie pozwala.

— No! — Jimmy podniósł głowę i wybuchnął śmiechem. — Już my sobie z ciotką Polly damy radę. Lęka się ciebie utracić, ale musimy jej przypomnieć o tym, że jednocześnie zdobędzie nowego siostrzeńca! — zakończył wesoło.

Pollyanna nie zdobyła się na uśmiech: odwróciła bezradnie dłonie.

— Nie, nie, Jimmy, ty nie rozumiesz! Ciotka... ciotka... ach, jak ja ci mam to powiedzieć? Ona się nie chce zgodzić na to, ażebyś ty został moim mężem.

Uścisk ramion Jimmy'ego stał się teraz słabszy. Oczy zasnęła mgła smutku.

— Ach, pod tym względem nie mogę mieć do niej żalu. Może ma słuszność — skinął ze zrozumieniem głową. — Ale ja się postaram — spojrzął znów na Pollyannę kochającym wzrokiem — postaram się jednak, żeby ciotka twoja nie miała żadnych powodów dosprzeciwu.

— I to będzie możliwe? Wiem, że ty wszystko potrafisz — wyszeptła dziewczyna, pełna nowej otuchy.

— Pozwól mi tylko spróbować, Pollyanno; może mi się jakoś uda. Może weźmiemy teraz ślub bez jej zgody, a potem jakoś się wszystko ułoży.

— Ach, tego nie mogę zrobić, w żaden sposób nie mogę. — jęknęła znowu Pollyanna. — Bez jej zgody nigdy bym się nie odważyła. Widzisz, ona tak dużo dla mnie zrobiła, a teraz jest przecież zależna ode mnie. Czuje się bardzo niedobrze, Jimmy. Próbowwała nawet grać w moją grę, ale i na to nie mogła się zdobyć. Płakała, płakała dzisiaj, Jimmy, i prosiła mnie, abym jej nie łamała serca, jak uczyniła to moja matka przed wielu, wielu laty. Nie, Jimmy, nie mogłabym tego zrobić po tym wszystkim, co ona uczyniła dla mnie.

Zaległa chwila ciszy, którą przerwała pierwsza Pollyanna.

— Jimmy, gdybyś... gdybyś mógł powiedzieć coś ciotce Polly o swoim ojcu, o swoich krewnych...

Ręce młodzieńca opadły. Cofnął się o kilka kroków. Twarz miał teraz śmiertelnie bladą.

— Więc o to chodzi? — spytał.

— Tak. — Pollyanna zbliżyła się doń i czule dotknęła jego ramienia. — Nie myśl, ja o to nie dbam, Jimmy. Mnie wszystko jedno. Zresztą wiem, że twój ojciec i twoi krewni byli porządnymi ludźmi. Ale ona... Jimmy, nie patrz na mnie w ten sposób!

Lecz Jimmy z głuchym jękiem odsunął się od niej. W chwilę później, rzuciwszy kilka niezrozumiałych słów, których prawie nie dosłyszała, odwrócił się i wybiegł.

*

Opuściwszy dworek Harringtonów, Jimmy poszedł prosto do domu, postanawiając pomówić z Jonem Pendletonem. Zastał opiekuna w obszernej bibliotece, tej samej, gdzie przed laty najchętniej lubiła przebywać Pollyanna.

— Wuju Johnie, czy pamiętasz tę kopertę, którą mi zostawił ojciec? — zapytał młodzieniec.

— Naturalnie. A co się stało, synu? — Na twarzy Johna Pendletona odmalowało się zdziwienie, gdy spojrzął na swego wychowanka.

— Tę kopertę trzeba otworzyć, *sir*.

— Więc nie dotrzymasz warunków?

— Nie mam na to żadnej rady. Muszę ją otworzyć, i to wszystko. Czy zechcesz to uczynić dla mnie?

— Tak, naturalnie, mój chłopcze, jeżeli się upierasz, ale... — umilkł bezradnie.

— Wuju Johnie, domyślasz się chyba, że kocham Pollyannę. Powiedziałem jej o tym, prosząc, żeby została moją żoną i oczywiście zgodziła się. — Opiekun wydał okrzyk zdziwienia, słuchając wyjaśnień młodzieńca. — Dzisiaj powiedziała mi, że nie może wyjść za mnie za mąż, bo pani Chilton się na to nie zgadza. Po prostu nie chce mieć takiego siostrzeńca.

— Ma coś przeciwko tobie? — oczy Johna Pendletona zapały gniewem.

— Tak. Dowiedziałem się dlaczego, bo Pollyanna prosiła mnie, abym dowiedział się czegoś o moim ojcu i o moich krewnych.

— Do diabła! Myślałem, że Polly Chilton ma więcej rozumu, ale to właściwie do niej podobne. Harringtonowie zawsze byli dumni ze swego pochodzenia — zawołał niechętnie pan Pendleton. — No i co będzie?

— Chciałem już powiedzieć Pollyannie, że nic nie wiem o moim ojcu, gdy nagle przypomniałem sobie tę kopertę. Postanowiłem nic jej o tym nie wspominać, dopóki sami zawartości koperty nie zobaczymy. Przecież istnieje coś, czego ojciec nie chciał mi powiedzieć, dopóki nie skończę trzydziestu lat. Może to „coś” jest właśnie tajemnicą mego życia. Muszę teraz tę tajemnicę bezwarunkowo zgłębić.

— Ależ, Jimmy, chłopcze, nie bądź taki tragiczny. Może ta tajemnica okaże się radosna. Może to właśnie wyjaśni całą twoją sytuację.

— Możliwe. Ale wobec tego, dlaczego ojciec chciał, żebym dowiedział się o niej dopiero po skończeniu lat trzydziestu? Nie, wuju Johnie, widocznie chodziło mu o to, abym był już dojrzały i mocny, żeby mnie ta wiadomość nie złamała. Zrozum, nie mam o to żalu do mego ojca. Cokolwiek by to było, w każdym razie muszę się dowiedzieć. Zechcesz tę kopertę otworzyć? Przecież znajduje się ona pod twoją opieką.

John Pendleton podniósł się z krzesła.

— Zaraz ją przyniosę — rzekł.

W trzy minuty później koperta znajdowała się już na biurku przed Jimmym. Młodzieniec jednak nie otworzył jej od razu.

— Wolalbym, żebyś ty przejrzał jej zawartość, *sir*. Później podzielisz się ze mną.

— Ależ, Jimmy, ja... zresztą, niech i tak będzie. — Zdecydowanym ruchem John Pendleton sięgnął po nóż do papieru, otworzył kopertę i wyjął z niej całą zawartość. Były to jakieś papiery związane razem, oddzielnie zaś leżał duży zapisany arkusz, najwidoczniej list. John Pendleton zdecydował się najprzód przeczytać list. Jimmy z zapartym oddechem obserwował teraz jego twarz. Dostrzegł na niej w pierwszej chwili wyraz zdziwienia, potem radości, a później coś takiego, czego zupełnie określić nie mógł.

— Wuju Johnie, co to takiego? Co to jest? — zapytał.

— Sam przeczytaj — odparł opiekun, podając list młodzieńcowi.

Jimmy zaczął czytać:

„Załączone papiery są legalnymi dowodami, że mój syn Jimmy jest Jamesem Kentem, synem Johna Kenta, ożenionego z Doris Wetherby z Bostonu. W liście tym pragnę wytłumaczyć memu chłopcu, dlaczego trzymałem go przez tyle lat z dala od rodziny matki. Jeżeli koperta ta zostanie otworzona przez syna mego wówczas, gdy skończy on już lat trzydzieści, prawdopodobnie przebaczy on swemu ojcu, który pragnął w dzieciństwie mieć swego chłopca tylko dla siebie. Jeżeli z powodu jego śmierci kopertę tę otworzą ludzie obcy, zwracam się do nich z prośbą, aby zawiadomili natychmiast rodzinę mojej żony, przebywającą w Bostonie i aby przesłali jej załączone przy niniejszym dokumenty.

John Kent”.

Jimmy, błądy i drżący, spojrzął w oczy Johna Pendletona.

— Więc ja jestem zaginiony Jamiem? — wyszeptał.

— Ojciec twój twierdził, że załączone dokumenty świadczyć mogą o tym — skinął głową opiekun.

— Więc jestem siostrzeńcem pani Carew?

— Oczywiście.

— Nie mogę się jakoś pogodzić z tą myślą! — Dłuższą chwilę trwało milczenie, gdy nagle twarz Jimmy’ego rozjaśniła się radością. — Teraz już wreszcie wiem, kim jestem! Będę mógł powiedzieć pani Chilton o moich krewnych.

— Przypuszczam, że tak — odparł sucho John Pendleton. — Rodzina Wetherby jest jedną z najstarszych rodzin w Bostonie. Przypuszczam, że to ją zadowoli. Jeżeli chodzi o twego ojca, to, jak mi mówiła pani Carew, był on trochę dziwakiem, lecz pochodził także z dobrej rodziny.

— Tak. Biedny ojciec! Jakie straszne życie prowadził przez te ostatnie lata, wywalczając dla mnie kawałek chleba. Teraz rozumiem wiele rzeczy, których wówczas wcale zrozumieć nie mogłem. Gospodyni nasza nazwała mnie kiedyś „Jamiem”. Boże, jakież mój ojciec wtedy był wściekły! Teraz pojmuję, dlaczego uciekliśmy tego samego wieczoru, nie czekając nawet na kolację. Biedny ojciec! Wkrótce po tym zachorował. Przestał władać rękami i nogami, a później przestał mówić. Pamiętam, że kiedy umierał, chciał mi coś powiedzieć na temat tej koperty. Na pewno chciał mi powiedzieć, abym ją otworzył i abym zwrócił się do rodziny matki. A może tylko chciał mnie prosić, abym tę kopertę schował i nie pozwolił jej sobie odebrać. Nie rozumiałem jego myśli, lecz obiecałem mu strzec tej koperty. Nie wiem, czy mu to sprawiło ulgę, sądząc raczej, że zmartwił się jeszcze bardziej. Nie rozumiałem go. Biedny ojciec!

— A może teraz zajrzemy do tych papierów — zaproponował John Pendleton. — Wśród tych dokumentów musi jeszcze być jakiś list do ciebie, o ile się nie mylę. Czy nie chciałbyś go przeczytać?

— Tak, naturalnie. A potem... — młodzieniec zaśmiał się nieoczekiwanie i spojrzał na zegarek. — Zastanawiałem się nad tym, jak prędko będę mógł wrócić... do Pollyanny.

Głęboka zmarszczka pojawiła się na czole Johna Pendletona. Spojrzał na swego wychowanka, zawahał się i rzekł:

— Wiem, że pragniesz zobaczyć się z Pollyanną, mój chłopcze, i rozumiem cię doskonale, ale uważam, że w obecnych okolicznościach, powinieneś najprzód udać się z tymi dokumentami do pani Carew.

Jimmy zmarszczył brwi i zamyślił się na chwilę.

— Dobrze, *sir*, masz słuszość — przyznał zrezygnowany.

— Czekaj, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chętnie pojechałbym razem z tobą — ciągnął dalej John Pendleton, dziwnie onieśmielony. — Mam pewną sprawę do niej, więc chciałbym niezwłocznie porozumieć się z... twoją ciotką. Może wyjedziemy jeszcze dzisiaj o trzeciej?

— Dobrze! Pojedziemy, *sir*. Więc ja jestem Jamiem! Nie mogę się jeszcze uspokoić! — Młodzieniec zerwał się z krzesła i niespokojnie zaczął biegać po pokoju. — Ciekawe — przystanął nagle i zarumienił się jak mały chłopiec — przypuszczasz, że ciotka Ruta będzie zadowolona?

John Pendleton skinął poważnie głową. Dawny wyraz smutku pojawił się w jego oczach.

— Przypuszczam, że tak, mój chłopcze. Ale myślę w tej chwili o sobie. Jak sądzisz? Skoro znalazła siostrzeńca, czy mam prawo teraz występować z moją propozycją?

— Ty? Czy sądzisz, że cośkolwiek mogłoby pokrzyżować twoje plany? — oburzył się Jimmy całkiem szczerze. — Możesz się o to nie martwić. Będzie miała teraz swego Jamiego i... — umilkł nagle, przejęty dziwnym niepokojem. — Boże drogi! Wuju Johnie, zapomniałem o Jamiem. Cóż on teraz, biedak, pocznie?

— Tak, i ja o nim myślałem. Chociaż jest przecież zaadoptowany, prawda?

— Tak, ale nie o to chodzi. Lecz o to, że nie jest prawdziwym Jamiem, a sam nie może sobie dać w życiu rady! Ta wiadomość może go zabić. Słyszałem, jak mówił to kiedyś. Zresztą Pollyanna i pani Carew wspominały mi o tym, że przyzwyczał się do myśli, że jest owym zaginionym siostrzeńcem i to mu właśnie daje szczęście. Boże święty! Nie mogę mu odebrać tej złudy. Ale co mam robić?

— Sam nie wiem, mój chłopcze. Nie widzę tu żadnego wyjścia.

Zapadło dłuższe milczenie. Jimmy w dalszym ciągu spacerował po pokoju. Nagle zatrzymał się z rozjaśnioną twarzą.

— Znalazłem wyjście i jestem pewny, że pani Carew na to się zgodzi. Nie powiem nikomu, oprócz pani Carew, a poza tym Pollyannie i jej ciotce. Im muszę powiedzieć — dorzucił zdecydowanie.

— Naturalnie, że musisz, mój chłopcze. A jeżeli chodzi o innych... — John Pendleton umilkł z powątpiewaniem.

— To przecież nikogo nie obchodzi.

— Ale pamiętaj, że czynisz poświęcenie. Powinieneś się nad tym zastanowić.

— Zastanowić? Zastanowiłem się już dokładnie. Szala, na której znajduje się tamten Jamie, musi przeważać, *sir*. Podłogi nie zrobię.

— Rozumiem cię doskonale i uważam, że masz słuszość — zawołał serdecznie pan Pendleton. — Poza tym przypuszczam, że pani Carew zgodzi się z tobą, tym bardziej teraz, kiedy się okaże, że prawdziwy Jamie został odnaleziony.

— A ciągle się upierała, że mnie kiedyś musiała wcześniej widzieć — uśmiechnął się Jimmy. — Kiedy ten pociąg odchodzi? Ja jestem gotów.

— Ale ja jeszcze nie — zaśmiał się John Pendleton. — Na szczęście, mamy jeszcze dwie godziny — dorzucił, wstając i wychodząc z pokoju.

ROZDZIAŁ XXXII. NOWOCZESNY ALLADYN

Przygotowania Johna Pendletona polegały na napisaniu dwóch listów, z których jeden był zaadresowany do Pollyanny, drugi zaś do pani Polly Chilton. Obydwa te listy pan Pendleton zostawił starej gospodyni Zuzannie, prosząc, aby je doręczyła adresatkom po wyjeździe jego i Jimmy'ego. Oczywiście Jimmy o tych dziwnych przygotowaniach nie wiedział.

Zbliżyli się już do Bostonu, gdy pan Pendleton zwrócił się do młodzieńca:

— Drogi chłopcze, mam do ciebie dwie prośby. Pierwsza, to pragnę, abys nic nie mówił pani Carew do jutra po południu. Druga, abys mi pozwolił pomówić z nią w twoim imieniu i nie zjawiał się u niej do godziny czwartej. Zgadzasz się?

— Oczywiście, że tak. — odparł Jimmy z prostotą. — Nie tylko się zgadzam, ale jestem zachwycony. Zastanawiałem się już nad tym, jak mam przełamać pierwsze lody i cieszę się, że ktoś to za mnie uczyni.

— Doskonale! Wobec tego zatelefonuję jutro rano do twojej ciotki i poproszę ją o audyencję.

Wierny danemu przyrzeczeniu, Jimmy zjawił się w mieszkaniu pani Carew dopiero nazajutrz o czwartej po południu. Jeszcze wówczas był bardzo zażenowany i nim zdolał zadzwonić, przechadzał się dłuższą chwilę przed domem, dodając samemu sobie odwagi. Znalazszy się jednak w obecności pani Carew, natychmiast stał się znowu sobą dzięki wrodzonemu taktowi i subtelności gospodyni. Oczywiście na wstępie nie obyło się bez łez i radosnych okrzyków. Nawet John Pendleton musiał śpiesznie sięgnąć do kieszeni po chustkę, lecz wkrótce zapanował zupełny spokój, tylko wyraz radości w oczach pani Carew świadczył o tym, że niedawno otrzymała tę najradośniejszą nowinę.

— I uważam, że to tak szlachetnie z twojej strony, jeżeli chodzi o Jamiego! — mówiła pani Carew po dłuższej chwili milczenia. — Naprawdę, Jimmy, muszę cię jeszcze tak nazywać, bo to imię, bardziej pasuje do ciebie, naprawdę, dochodzę do wniosku, że pod tym względem masz zupełną słuszość. I ja także uczynię małe poświęcenie — ciągnęła dalej ze łzami w oczach — bo z jaką dumą pokazywałabym światu mego odnalezionego siostrzeńca!

— A jednak, ciociu Ruto, ja... — tu przerwał mu nagły okrzyk Johna Pendletona. Odwrócił się i ujrzał stojącego na progu Jamiego i Sadie Dean. Twarz Jamiego była śmiertelnie biała.

— Ciociu Ruto! — zawołał, spoglądając ze zdziwieniem po obecnych. — Ciociu Ruto! Nie znaczy to chyba...

Obydwoje stali przy sobie, nic nie rozumiejąc. Tylko John Pendleton zorientował się natychmiast w sytuacji.

— Tak, Jamie — zawołał — dlaczegoż by nie? Miałem ci to zamiar później powiedzieć, ale powiem ci teraz. — Jimmy postąpił kilka kroków naprzód, lecz John Pendleton dał mu znak spojrzeniem. — Właśnie przed chwilą pani Carew uczyniła mnie najszczęśliwszym z ludzi, odpowiadając „tak” na pytanie, które jej zadałem. Uważam więc, że ponieważ Jimmy nazywa mnie „wujem Johnem”, to dlaczego nie miałby nazywać pani Carew „ciotką Rutą”?

— Ach! — okrzyk radości wyrwał się z piersi Jamiego, a Jimmy uspokoił się od razu. Oczywiście pani Carew uspokoiła się również, zdając sobie sprawę, że niebezpieczeństwo minęło. Jimmy usłyszał tuż przy sobie radosny szept pana Pendletona:

— Widzisz, mój chłopcze, nie mam zamiaru cię zdradzać. Będiesz teraz należał do nas obojga.

Nie przebrzmiały jeszcze okrzyki i powinszowania, gdy Jamie z radosnym błyskiem w oczach zwrócił się do Sadie Dean.

— Sadie, musimy im teraz powiedzieć — oznajmił z triumfem. Na bladej twarzyczce Sadie ukazał się rumieniec, gdy Jamie gorączkowo tłumaczył obecnym sytuację i znowu rozległy się serdeczne okrzyki i gratulacje. Wszyscy ściskali sobie dłonie, wszyscy się śmieli i radowali.

W pewnej chwili Jimmy posmutniał nagle.

— Wam tutaj dobrze — szepnął. — Jesteście tu wszyscy razem, ale skąd ja się tu wzięłam? Gdyby tu była z nami pewna młoda dama, to kto wie, czy i ja nie miałbym wam czegoś do powiedzenia.

— Jedną chwileczkę, Jimmy — wtrącił John Pendleton. — Zabawię się teraz w Al-ladyna. Szkoda tylko, że nie mam lampy. Czy mogę panią poprosić, żeby pani zechciała zadzwonić na Mary? — zwrócił się do pani Carew.

— Ach, tak, naturalnie — odparła gospodyni, patrząc nań ze zdziwieniem.

Po chwili w otwartych drzwiach stanęła Mary.

— Czy się nie mylę, że panna Pollyanna przybyła tutaj przed chwilą? — zapytał John Pendleton.

— Owszem, *sir*. Jest i czeka na dole w hallu.

— Proszę ją tutaj poprosić.

— Pollyanna tutaj! — zawołali wszyscy chórem, gdy Mary wyszła. Twarz Jimmy'ego bladła, to znów czerwieniała.

— Tak. Wczoraj przesłałem jej list przez moją gospodynię. Pozwoliłem sobie zaprosić ją tutaj, choć nie uprzedziłem pani o tym. Doszedłem do wniosku, że dziewczynie należy się trochę wypoczynku, a gospodyni moja dostała polecenie opiekowania się panią Chilton. Napisałem również do pani Chilton — dorzucił, zwracając się do Jimmy'ego i patrząc nań wymownie. — Przypuszczam, że po przeczytaniu mego listu zgodziła się na natychmiastowy wyjazd Pollyanny, zresztą, najlepszy dowód, że Pollyanna jest już tutaj.

Była istotnie i stała już w progu, zarumieniona, nieśmiała, spoglądając po obecnych pytającym wzrokiem.

— Pollyanno, najdroższa! — Jimmy wybiegł na jej spotkanie i po chwili wahania chwycił ją w objęcia.

— Ach, Jimmy, w obecności tylu ludzi! — uczyniła mu wyrzut zażenowana.

— Pocałowałbym cię nawet na samym środku ulicy Waszyngtona — zawołał młodzieniec. — Spójrz na tych „wszystkich ludzi”, a przekonasz się, że nie powinnaś się martwić.

Pollyanna spojrzała i przekonała się...

Po przeciwniejszej stronie, przy oknie, odwróceniu do pokoju plecami stali Jamie i Sadie Dean. Przy drugim oknie, również odwróceniu, szepotali ze sobą czule pan Carew i John Pendleton.

Pollyanna uśmiechnęła się tak uroczo, że Jimmy już bez wahania pocałował ją znowu.

— Ach, Jimmy, czyż to wszystko nie jest nadzwyczajne? — wyszeptwała cichutko dziewczyna.

— I ciotka Polly już teraz wie o wszystkim i przestała się sprzeciwiać. Nawet czuje się dzisiaj lepiej. Jest taka uradowana, a ja jeszcze więcej. Wiesz, Jimmy, że zaczęła nawet grać w moją grę. Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę!

Jimmy odetchnął głęboko, a radość przepelniająca jego serce była tak wielka, że granicyła prawie z bólem.

— Da Bóg, mała dziewczynko, że zawsze będziesz się cieszyła — powiedział nieśmiało, przyciągając ją bliżej do siebie.

— Jestem pewna, że tak będzie — westchnęła Pollyanna, patrząc nań z ufnością.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/porter-pollyanna-dorasta/>

Tekst opracowany na podstawie: Eleanor H. Porter, Pollyanna dorasta. Powieść dla dziewcząt, tłum. Janina Zawisza-Krasucka, Nowe Wydawnictwo, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7073-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.